

Agatha Christie

Dlaczego nie Evans?

Przełożył Michał Madaliński

Tytuł oryginału angielskiego: „Why Didn't They Ask Evans?”

Wypadek

Bobby Jones umieścił piłkę na podstawce, przymierzył się, zrobił staranny zamach i uderzył z mocą i szybkością błyskawicy.

Piłka - zamiast pofrunąć prosto nad torem, wznieść się, poszybować nad zdradliwym zagłębieniem i upaść nie opodal czternastego dołka, w odległości łatwej dobitki - uderzona z góry, potoczyła się po ziemi i wylądowała w samym środku fatalnego zagłębienia.

Jęk zawodu nie podniósł się z trybun. Jedyne świadek tej porażki nie wydawał się zaskoczony. I nic dziwnego - autorem nieudanego strzału był nie amerykański mistrz golfa, lecz tylko czwarty syn anglikańskiego pastora z Marchbolt, miasteczka na wybrzeżu Walii.

Bobby zmełł w ustach przekleństwo.

Był dwudziestoosmioletnim mężczyzną o miłej powierzchowności. Co prawda, nawet najbliższy przyjaciel nie nazwałby go przystojnym, ale miał sympatyczną twarz, a szczerze spojrzenie jego brązowych oczu przywodziło na myśl wiernego psa.

- Z dnia na dzień gram coraz gorzej - mruknął z niesmakiem.

- Twój strzał - rzekł jego towarzysz.

Doktor Thomas był mężczyzną w średnim wieku o szpakowatych włosach i rumianym, wesołym obliczu. Sam nigdy nie próbował dalekich strzałów. Grał krótkie, proste piłki, środkiem toru - i zwykle wygrywał z błyskotliwszymi, ale nierównymi graczami.

Bobby z furią zaatakował piłkę kijem. Udało mu się za trzecim podejściem. Piłka spadła niedaleko pola, które doktor Thomas osiągnął dwoma precyzyjnymi, choć niewyszukanymi strzałami.

- Dołek jest twój - powiedział Bobby.

Przeszli do następnej podstawki. Doktor uderzył pierwszy. Ładny, prosty strzał, ale nie za daleki. Bobby ustawił piłkę, poprawił, zamierzał się dłuższą chwilę, sztywno odchylił się do tyłu, zamknął oczy, uniósł głowę, opuścił prawą rękę, przestrzegając jak nigdy wszystkich zasad prawidłowego uderzenia - i piłka pofrunęła daleko, lądując pewnie w środku toru.

Odetchnął z satysfakcją. Chmura na jego obliczu ustąpiła miejsca radości zwycięstwa.

- Teraz już wiem, na czym polegał mój błąd - stwierdził (zresztą bezpodstawnie).

Jeszcze jeden pewny strzał, potem mała dobitka i czwarty punkt dla Bobby'ego. Przewaga doktora Thomasa zmniejszyła się do jednego.

Podniesiony na duchu Bobby przystąpił do szesnastej podstawki. Znów udało mu się zrobić wszystko poprawnie, lecz tym razem cud się nie zdarzył. Wspaniały, rewelacyjny, prawie nadludzki strzał. Tyle że... piłka poleciała pod kątem prostym do zamierzonego kierunku.

- Gdyby poleciała tak jak trzeba, to ho, ho! - powiedział doktor Thomas.

- Gdyby... - odrzekł Bobby gorzko. - Zaraz, zdaje mi się, że słyszałem krzyk! Mam nadzieję, że nie trafiłem nikogo.

Popatrzył bacznie w prawo. Raziło go światło. Musiał patrzeć pod słońce, które właśnie chyliło się ku zachodowi. Na dodatek znad morza podnosiła się mgła. Krawędź klifu była odległa o kilkaset jardów.

- Wzdłuż urwiska idzie ścieżka spacerowa. Ale chyba piłka aż tam nie doleciała? Tak czy owak, wydawało mi się, że słyszałem krzyk. A pan?

Doktor zaprzeczył. Bobby ruszył na poszukiwanie piłki. Musiał się trochę potrudzić, ale dopadł jej wreszcie. Nie nadawała się do wybicia, beznadziejnie uwięziona w kępie krzaków jałowca. Próbował ją podejść parę razy specjalnym kijem przeznaczonym do użycia w takich sytuacjach, ale w końcu dał za wygraną. Zawołał, że rezygnuje z tego dołka. Doktor zbliżył się, jako że kolejna podstawka znajdowała się tuż przy krawędzi urwiska.

Siedemnasty dołek był przekleństwem Bobby'ego. Przerzucenie piłki nad krawędzią klifu zawsze sprawiało mu kłopot. Odległość może nie za wielka, ale urwisko tuż obok dodawało dreszczyku emocji. Przecięli szlak spacerowy, odbijający tutaj na lewo w głąb lądu i omijający niebezpieczne osuwisko.

Doktor uderzył i piłka wylądowała bezpiecznie po drugiej stronie. Teraz Bobby wziął głęboki wdech, uderzył... i jego piłka smętnie potoczyła się po ziemi i znikła w otchłani.

- Za każdym cholernym razem robię ten sam cholerny, idiotyczny błąd - skomentował smętnie. Okrążył wyrwę wypatrując zguby. W dole połyskiwało morze, jednak nieraz dawało się którąś z piłek odzyskać. Stromizna poniżej łagodniała, tworząc półki skalne.

Szedł powoli wzdłuż krawędzi. Z jednego miejsca dość łatwo można było zejść na dół. Robili

to często chłopcy noszący kije: znikali za krawędzią i triumfalnie, choć zadyszani, pojawiali się z odnalezioną piłką.

Nagle Bobby zeszywniał i zawołał:

- Doktorze, niech pan tu pozwoli. Co to może być?

Jakieś czterdzieści stóp niżej leżało coś, co wyglądało na kupkę starych ubrań. Doktorowi dech zaparło.

- Na Boga, ktoś spadł z urwiska! Musimy się tam dostać.

Zaczęli się wspólnie zsuwać ze skały. Bobby, młodszy i silniejszy, pomagał doktorowi. W końcu dotarli do złowrózbnego ciemnego tobołu. Leżał tam mężczyzna, około czterdziestoletni. Oddychał jeszcze, ale był nieprzytomny.

Doktor zbadał go naprędce, obmacał kończyny, sprawdził tętno, odsunął powieki. Ukląkł przy leżącym i kontynuował badanie. Wreszcie podniósł wzrok na zielonego z wrażenia Bobby'ego.

- Nic się nie da zrobić. Już po nim. Biedak. Ma złamany kręgosłup. Taak. Pewnie nie znał tej ścieżki, mgła się podniosła, nie zauważył przepaści i spadł. A mówiłem władzom gminnym tyle razy, żeby ustawili tu barierkę.

Wstał.

- Pójdę po pomoc. Trzeba będzie wciągnąć ciało na górę. Ściemni się, zanim się z tym uporamy. Poczekasz tu?

Bobby przytaknął.

- Na pewno nic się nie da dla niego zrobić? - upewniał się. Doktor pokręcił przecząco głową.

- Nic. To kwestia najwyżej dwudziestu minut, tętno słabnie szybko. Przed śmiercią może odzyskać przytomność, choć nie sądzę, żeby tak się stało.

- Dobrze, zostanę. Niech pan idzie - Bobby zawahał się. - A jeśli się ocknie? Przecież nie mam nic przeciwbólowego, nic...

- Nie będzie czuł żadnego bólu. Ani trochę.

Doktor odwrócił się i zaczął się energicznie wspinać z powrotem na górę. Zamachał jeszcze ręką na pożegnanie, zanim zniknął za krawędzią urwiska. Bobby spoglądał za nim, a potem zrobił parę kroków wzdłuż wąskiej półki na zboczu, usiadł na występie skały i zapalił. Był wstrząśnięty. Nigdy dotąd nie zetknął się ze śmiercią.

Co za pech! Pasma mgiełki pięknym popołudniem, fałszywy krok i... - nie żyjesz. Mocny, zdrowy mężczyzna - pewnie nigdy w życiu nie chorował. Bładość nadchodzącej śmierci nie zdołała

jeszcze zniweczyć zdrowej opalenizny jego skóry. Człowiek, który przebywał dużo w tropikach. Bobby zaczął się mu przypatrywać dokładnie: sztywne, kręcone, kasztanowate włosy, które na skroniach lekko tknęła siwizna, wydatny nos, mocne szczęki, białe zęby widoczne zza rozchylonych warg. Szerokie ramiona i mocne, męskie dłonie. Nogi rozrzucone pod nienaturalnym kątem. Bobby wzdrygnął się i wrócił spojrzeniem do twarzy leżącego. Była to twarz o regularnych rysach, wyrażająca zdecydowanie i zaradność. Oczy, pomyślał, miał pewnie niebieskie...

W tym momencie powieki mężczyzny uniosły się. Oczy były, rzeczywiście, niebieskie: czystym, głębokim błękitem. Patrzył wprost na Bobby'ego, bez śladu niepewności czy oszołomienia, z uwagą, lecz pytająco.

Bobby poderwał się i ruszył w jego stronę. Zanim dotarł, tamten odezwał się, a jego głos brzmiał zaskakująco czysto i donośnie:

- Dlaczego nie Evans?

Nagle zadygotał, jego powieki się zamknęły, szczeka opadła... Był martwy.

Ojciec się niepokoi

Bobby ukląkł przy mężczyźnie, ale nie było wątpliwości. Ten człowiek z całą pewnością nie żył. Ostatni przeblysłk świadomości, nagłe pytanie i... koniec.

Z pewnym zakłopotaniem Bobby włożył rękę do kieszeni marynarki zmarłego i znalazłszy chusteczkę, nakrył mu nią ostrożnie twarz. Nic więcej nie mógł zrobić. Wtem zauważył, że z kieszeni wysunęło się jeszcze coś - zdjęcie. Zerknął na nie: piękna kobieta, o ogromnych oczach, już nie dziewczyna, bo z pewnością miała pod trzydziestkę, o niebanalnej, zniewalającej urodzie. To była twarz dziwnie niepokojąca i budząca nieokreśloną tęsknotę. Zrobiła na nim wrażenie. Niełatwo zapomnieć taką twarz, pomyślał.

Delikatnie i starannie umieścił fotografię z powrotem w kieszeni, potem znowu usiadł, czekając powrotu doktora.

Czas się dłużył. Przypomniawszy sobie, że obiecał ojcu zagrać na organach do mszy wieczornej o szóstej, a zbliżała się już za dziesięć szósta. Oczywiście, stary zrozumie okoliczności, ale żałował, że nie powiedział doktorowi, by uprzedził ojca. Wielebny Thomas Jones był strasznym zrzędą. Bezustannie marudził i irytował się drobiazgami, co miało fatalny wpływ na jego przewód pokarmowy, który reagował na to silnymi bólami. Bobby uważał ojca za starego żalosego durnia, co nie przeszkadzało mu jednak go uwielbiać. Wielebny Thomas z kolei uważał swojego czwartego syna za młodego żalosego durnia i, nie mając tyle tolerancji co Bobby, starał się zmieniać syna na lepszego.

Biedny stary, pomyślał, będzie się miotał po schodach z góry na dół i z dołu do góry, nie mogąc

się zdecydować, czy rozpocząć mszę, czy nie. Tak się nabuzuje, że zacznie go boleć brzuch i skończy się na tym, że kolacja go ominie. Nie wpadnie mu do głowy prosta, rozsądna myśl, że nie zawiódłbym go bez naprawdę ważnego powodu. Ci po pięćdziesiątce nie mają za grosz rozsądku: potrafią się zamartwiać na śmierć zupełnymi głupstwami. Pewnie tak ich idiotycznie wychowano, nic już nie mogą na to poradzić. Biedny, stary tatulek, za grosz rozsądku!

Siedział tak, rozmyślając o ojcu z mieszaniną czułości i irytacji. Swoje życie w domu rodzinnym uważał za pasmo poświęceń na rzecz ojca. Pan Jones ze swojej strony postrzegał rzecz dokładnie odwrotnie. Uważał, że młode pokolenie nie rozumie ani nie docenia jego poświęceń. Jak widać na tym przykładzie, poglądy na ten sam temat mogą się różnić diametralnie.

Dlaczego doktora jeszcze nie ma? Powinien już się pojawić z powrotem! Bobby podniósł się i zaczął przytupywać ze zniecierpliwienia. Nagle usłyszał coś nad sobą i spojrzał do góry z nadzieją, że oto nadchodzi pomoc i że nie będzie już dłużej potrzebny.

Nie był to jednak doktor, tylko jakiś nieznajomy w pumpach.

- Coś się tu stało? - zawołał przybysz. - Jakiś wypadek? Mogę panu w czymś pomóc?

Głos wysokiego mężczyzny brzmiał przyjemnym tenorem. Bobby nie widział go wyraźnie w szybko zapadającym zmierzchu. Wyjaśnił krótko, co się wydarzyło, a tamten, zaskoczony i wstrząśnięty, zawołał:

- Może mógłbym się na coś przydać? Pójść po pomoc albo co?

Bobby wyjaśnił, że pomoc przyjdzie lada chwila, i zapytał, czy nieznajomy nie widzi czegoś z góry.

- Nie, jak dotąd nikt nie nadchodzi.

- Wie pan - ciągnął Bobby - jestem umówiony na szóstą, mam grać na organach do mszy.

- A nie chce go pan tak zostawić...

- Właściwie nic tu po mnie, gość nie żyje i tak dalej, ale jakoś głupio...

Przerwał, nie umiejąc, jak zawsze gdy był zażenowany, wyrazić słowami swych emocji.

Wyglądało jednak na to, że tamten pojął.

- Rozumiem. Wie pan co, zejść tam do pana, jeżeli tylko zobaczę drogę, i poczekam na tamtych.

- Zechciałby pan? Wie pan, chodzi o mojego ojca. Nie jest najgorszy, ale strasznie przejmuje się głupstwami. Widzi pan drogę? Troszkę w lewo, teraz w prawo, o, tak, tędy. Nie jest tak źle.

Nieznajomy schodził wspomagany tymi wskazówkami, aż stanął przy Bobbym na wąskiej półce skalnej. Nowo przybyły wyglądał na około trzydzieści pięć lat. Na jego twarzy, która aż się prosiła o

monokl i wąsik, gościł wyraz niezdecydowania.

- Jestem nietutejszy - wyjaśnił. - Pan pozwoli, nazywam się Bassington-ffrench. Przyjechałem tu poszukać jakiegoś domu. Ale przykry wypadek! Potknął się na krawędzi?

Bobby przytaknął.

- Podniosła się lekka mgła. To niebezpieczny kawałek ścieżki... No, ja już polecę. Dziękuję panu, bardzo to uprzejmie z pana strony.

- Ależ, nic takiego - zaprotestował tamten. - Każdy by tak postąpił. Nie można przecież zostawić tak biedaka na pastwę losu. To znaczy, jakoś byłoby to nie w porządku.

Bobby gramolił się tymczasem stromą ścieżką. Ze szczytu pokiwał nieznanemu dłonią i ruszył na przelaj ostrym biegiem. Żeby być szybciej na miejscu, nie pobiegł do głównej bramy, lecz przeskoczył przez mur przykościelnego cmentarza, co z dezaprobatą z okna zakrystii obserwował ojciec. Minęła już szósta, ale dzwon bił jeszcze.

Zarzuty i wyjaśnienia zostawiono na potem. Zdyszany Bobby padł na krzesło i zaczął poruszać pedałami staroświeckich organów. Jego palce, wiedzione podświadomym skojarzeniem, zaczęły grać marsza żałobnego Chopina.

Po mszy pastor rozpoczął reprimendę:

- Bobby, synu. Skoro nigdy nie można na ciebie liczyć, lepiej nie zabieraj się do niczego. Ani ty, ani twoi koledzy nie macie poczucia czasu, ale nie wolno nam kazać czekać Panu. Sam z własnej inicjatywy zgłosiłeś się dzisiaj do akompaniowania. Ja cię nie zmuszałem. A ty, nędzniku, wolałeś z kolegami grać w...

Bobby uznał, że lepiej będzie przerwać ojcu, zanim całkiem wyprowadzi samego siebie z równowagi.

- Przepraszam, tato - powiedział lekkim tonem jak to miał w zwyczaju, niezależnie od tematu rozmowy. - Tym razem to nie moja wina. Musiałem czuwać przy zwłokach.

- Co robiłeś?!

- Pilnowałem gościa, który spadł z klifu. Wiesz, tam, gdzie jest ta wyrwa, koło siedemnastego słupka. Była mgła, musiał nie zauważyć zakrętu ścieżki, poszedł prosto i zleciał.

- Wielkie nieba! - zawołał pastor. - Co za tragedia! Czy zginął na miejscu?

- Nie. Ale stracił przytomność. Zmarł zaraz po tym, jak doktor Thomas poszedł po pomoc. Ale wydawało mi się, że powinienem tam zostać. Nie mogłem go tak po prostu zostawić. Potem przyszedł jeszcze jakiś facet, więc powierzyłem mu ten smutny obowiązek i przydrałowałem tu ile sił.

Pastor westchnął.

- Oj, Bobby, mój synu. Czy nie cię nie jest w stanie wytrącić z twojej pożałowania godnej obojętności na krzywdę ludzką? Smuci mnie to bardziej, niż jestem w stanie wyrazić. Stałeś twarzą w twarz ze śmiercią, z nagłą śmiercią. I stroisz sobie z tego żarty! Nie wzruszyło cię to ani na jotę. Nie ma dla ciebie ani twoich rówieśników żadnej powagi, żadnej świętości.

Bobby przestępował z nogi na nogę.

No tak, ojciec nie rozumiał, że o sprawach przykrych czy wzruszających najłatwiej mówić pod przykrywką żartu, i nie ma to nic wspólnego z obojętnością. Jasne, o śmierci czy innej tragedii należy rozprawiać ze śmiertelną powagą. Szkoda słów. Pryki po pięćdziesiątce niczego nie rozumieją. Mają spaczony umysł. To pewnie z powodu wojny, pomyślał usprawiedliwiająco. Przeżyli wstrząs, z którego już się nie podniosą. Wstydił się za ojca i jednocześnie było mu go żal.

- Przepraszam, tato - powiedział widząc, że na nic wszelkie wyjaśnienia.

Pastorowi żal było syna, który wyglądał na zażenowanego. Jednocześnie wstydił się za niego. Chłopak nie ma za grosz powagi. Nawet jego przeprosiny zabrzmiały beztrosko i brakowało w nich skruchy.

Zbliżali się do plebanii, a obaj usilnie starali się znaleźć, jeden dla drugiego, okoliczności łagodzące, co przychodziło im z trudem.

Pastor myślał: Ciekawe, kiedy Bobby znajdzie sobie jakieś zajęcie...

Natomiast Bobby zastanawiał się: Ciekawe, jak długo tu jeszcze wytrzymam...

Ale mimo wszystko bardzo się lubili.

Podróż koleją

Bobby nie był świadkiem wydarzeń, które nastąpiły później w związku z jego przygodą. Nazajutrz rano udał się do Londynu na spotkanie z kolegą, który miał zamiar uruchomić warsztat samochodowy i chciał namówić Bobby'ego, żeby wszedł z nim w spółkę. Ustalenie spraw ku obopólnemu zadowoleniu zajęło dwa dni, po czym Bobby złapał pociąg do domu o 11.30.

Udało mu się to z trudem. Na dworzec Paddington dotarł, gdy zegar wskazywał 11.28, runął do tunelu i wyskoczył na peronie trzecim, kiedy pociąg już ruszał. Dopadł najbliższego wagonu, nie zważając na depczących mu po piętach oburzonych konduktorów i bagażowych. Szarpnął drzwi, otworzyły się, wpadł do wnętrza z impetem. Drzwi z hukiem zatrzęsnały za nim jakiś kolejarz i Bobby znalazł się sam na sam z jedyną pasażerką przedziału.

Był to przedział pierwszej klasy. Pasażerka, brunetka z papierosem, zajmowała miejsce w kącie, przodem do kierunku jazdy. Miała na sobie czerwoną spódnicę, zielony żakiet i

jaskrawoniebieski beret. Pomimo niejakiemu podobieństwu do małpki katarzyniarza - smutne ciemne oczy i zmarszczona buzia - była zdecydowanie pociągająca.

Już miał przeproszać za tak nagłe wtargnięcie, ale urwał pół słowa i zawołał:

- Frankie, to ty? Wieki cię nie widziałem.

- Tak, kopę lat! Siadaj, pogadamy. Bobby uśmiechnął się szeroko.

- Mam bilet drugiej klasy.

- Nie przejmuj się - powiedziała uprzejmie. - Zafunduję ci dopłatę.

- Ta propozycja godzi w moją męską dumę - odparł. - Jakże mógłbym pozwolić, aby płaciła za mnie dama?

- W dzisiejszych czasach...

- Zapłacę sam - rzekł Bobby heroicznie, widząc potężną sylwetkę kontrolera w drzwiach od strony korytarza.

- Zostaw to mnie.

Uśmiechnęła się łaskawie do kontrolera, który zasalutował, biorąc od niej bilet i kasując go.

- Pan Jones zajrzał tu do mnie i chcielibyśmy chwilę porozmawiać. To panu nie przeszkadza, nieprawdaż?

- W porządku, łaskawa pani. Sądzę, że ten dżentelmen nie zabawi tu długo - zakasłał taktownie.

- Wrócę tu dopiero jak miniemy Bristol - dodał znacząco na odchodne.

- Czegóż to nie zdołała uśmiech niewieści - Bobby z westchnieniem oficjalnie zrezygnował z dopłaty.

Lady Frances Derwent potrząsnęła głową z powątpiewaniem.

- To chyba nie uśmiech, ale wynik pięcioszylingowych napiwków ojca.

- Myślałem, że porzuciłaś Walię na dobre, Frankie. Westchnęła.

- Wiesz, jak to jest, mój drogi. Wiesz, jak rodzice potrafią zrządzić. To źle, tamto niedobrze. Nic do roboty, z nikim nie można się spotkać - ludzie dziś po prostu przestali wyjeżdżać za miasto. To się nazywają oszczędności. Za daleko im. No i co dziewczyna ma robić?

Bobby pokiwał głową smętnie, przyznając jej rację.

- Tym niemniej - ciągnęła - w porównaniu z wczorajszą imprezą nawet dom może wydać się

dobry.

- Coś było nie tak?

- Właściwie nic. Zabawa jak zabawa, nawet bardziej rozrywkowa niż zazwyczaj. W Savoyu. Miała się rozpocząć o wpół do dziewiątej. Niektórzy z naszych wpadli tam dopiero kwadrans po dziewiątej i, rzecz jasna, wplątaliśmy się między jakichś ludzi, ale około dziesiątej udało nam się wypłatać. Zjedliśmy kolację i po jakimś czasie poszliśmy do Marionette. Plotkowano, że ma tam wpaść policja. Ale nic takiego się nie zdarzyło, było nudno jak w rodzinnym grobowcu. Troszeczkę wypiliśmy i poszliśmy do Bullringa, gdzie było jeszcze gorzej, więc zmieniliśmy lokal na kafejkę ze stolikami na ulicy, potem na smażalnię frytek, a potem wpadliśmy na pomysł, żeby pójść na śniadanie do wuja Angeli i zobaczyć, czy będzie zgorszony. Nic z tego - wyglądał co najwyżej na znudzonego. Spłynęliśmy więc stamtąd. Klapa. Mówiąc szczerze, Bobby, beznadzieja.

- Tak, na pewno - potwierdził Bobby, tłumiąc ukłucie zazdrości. W najskrytszych marzeniach nie śnił nawet o członkostwie takich klubów jak Marionette czy Bullring.

Jego znajomość z Frankie miała szczególny charakter. W dzieciństwie wraz z braćmi bawił się z dziećmi z zamku. Teraz wszyscy byli dorośli i widywali się z rzadka. W czasie tych spotkań nadal mówili sobie po imieniu. Gdy Frankie bawiła w domu, zapraszała od czasu do czasu Bobby'ego z braćmi na tenisa. Natomiast ona i jej bracia nie bywali na plebanii. Taktownie uznawano, że nie byłaby to dla nich atrakcja. Za to w zamku często brakowało partnerów do tenisa. Stosunki między nimi nie były wolne od pewnego skrępowania. Derwentowie zachowywali się nieco zanadto uprzejmie i miło, trochę jakby chcieli powiedzieć: „nie ma między nami różnicy”. Z kolei Jonesowie byli nieco zbyt oficjalni, żeby nie wyglądało, że robią sobie jakieś wielkie nadzieje. Obie rodziny nie miały ze sobą nic wspólnego, z wyjątkiem mglistych wspomnień z dzieciństwa. Niemniej jednak Bobby bardzo lubił Frankie i cieszył się zawsze z tych rzadkich okazji, kiedy los ich ze sobą stykał.

- Jakże jestem zmęczona tym wszystkim - ze znużeniem dodała Frankie. - A ty?

- Ja? Nie, raczej nie.

- Ależ ci zazdroszczę, mój drogi.

- Nie chcę przez to powiedzieć, że tryskam zadowoleniem - Bobby nie chciał jej urazić. - Nie znoszę typów tryskających zadowoleniem.

- Znam takich - mruknęła. - Są potworni. Spojrzeli po sobie ze zrozumieniem.

- Ale, ale - przypomniała sobie Frankie - co z tym facetem, który spadł z klifu?

- Znaleźliśmy go z doktorem Thomasem. Skąd wiesz?

- Piszą o tym w gazecie. Spójrz - pokazała palcem małą notatkę zatytułowaną: „Śmiertelny wypadek w nadmorskiej mgle”.

Wczoraj późnym, wieczorem zidentyfikowano ofiarę tragedii w Marchbolt. Posłużyła do tego

fotografia znaleziona przy zmarłym. Przedstawiła panią Leo Cayman, którą niezwłocznie zawiadomiono o wypadku. Pani Cayman przybyła do Marchbolt i zidentyfikowała zwłoki swojego brata, pana Pritcharda. Wrócił on niedawno z Syjamu, gdzie przebywał 10 lat. Ostatnio przygotowywał się do pieszej wyprawy przez Anglię. Jutro odbędą się w Marchbolt oficjalne przesłuchania świadków.

Myśl Bobby'ego powędrowała do niepokojącej twarzy z fotografii.

- Pewnie będę musiał zeznawać.

- Ale to podniecające! Przyjdę na przesłuchanie.

- Nie sądzę, żeby w tym było coś podniecającego. Facet spadł, a myśmy go po prostu znaleźli.

- Był martwy?

- Jeszcze żył. Zmarł jakiś kwadrans później. Byłem przy nim. Przerwał.

- To smutne - Frankie zrozumiała to, czego nie mógł pojąć ojciec Bobby'ego.

- Nic nie czuł, na szczęście. - Tak?

- Ale tak czy owak, no, wiesz, wyglądał normalnie, taki sobie facet... co za paskudna śmierć, mgła, jeden fałszywy krok i...

- Wiem, co czujesz - powiedziała z sympatią i zrozumieniem. - Widziałeś tę jego siostrę? - zmieniła temat.

- Nie. Byłem dwa dni w stolicy. Rozkręcam z przyjacielem biznes w branży samochodowej. Znasz go. To Badger Beadon.

- Znam go?

- No jasne. Przecież musisz pamiętać Badgera, tego fajtlapę. Taki zezowaty.

Frankie zmarszczyła brwi.

- Śmiał się tak zabawnie, jakoś tak: ho, ho, ho... - kontynuował wyjaśnienia Bobby.

Frankie ciągle marszczyła brwi.

- Spadł z kucyka, kiedy byliśmy dziećmi - ciągnął Bobby. - Wpadł głową w błoto i trzeba go było wyciągać za nogi.

- Aha! - odzyskała pamięć. - Teraz sobie przypominam. Jąkał się.

- To mu nie przeszło - obwieścił z dumą Bobby.

- Czy to nie on prowadził kurzą fermę i splajtował? - dopytywała się.

- Właśnie.

- A potem poszedł pracować w biurze maklerskim i wylali go po miesiącu?

- Tak, to ten.

- A potem został wysłany do Australii i wrócił?

- Tak.

- Bobby, mam nadzieję, że nie pakujesz w ten jego interes żadnych pieniędzy?

- Nie mam złamanego grosza.

- To na jedno wychodzi.

- Badger, oczywiście, próbował znaleźć kogoś z niewielkim kapitałem, ale to nie takie łatwe.

- Patrz, a już myślałam, że ludzie nie mają za grosz rozsądku, tymczasem widać nie stracili go do końca.

Do Bobby'ego dotarta wreszcie jej ironia.

- Ojej, Frankie, przecież Badger to najprzypoitszy człowiek pod słońcem.

- Tacy są najgorsi.

- Jak to?

- Tacy, co to wracają z Australii po miesiącu. Skąd weźmie pieniądze na rozkręcenie interesu?

- Jakaś ciotka czy ktoś tam zostawił mu w spadku funkcjonujący warsztat na sześć samochodów, z trzema pokojami na piętrze. Pracownicy zrobili zrzutkę i mają sto funtów, żeby za to kupować używane auta. Nie masz pojęcia, jakie pieniądze można zrobić na używanych samochodach.

- Kupiłam kiedyś grata z drugiej ręki. To bolesny temat, zmienmy go. Dlaczego wystąpiłeś ze służby w marynarce? Przenieśli cię w stan spoczynku? W twoim wieku?

Bobby poczerwieniał.

- Wzrok... - wyjaśnił opryskliwie.

- Pamiętam, zawsze miałeś kłopoty z oczami.

- To prawda, ale jakoś dawałem sobie radę. Potem ta służba w tropikach, oślepiające słońce, to mnie dobiło. Więc rozumiesz, musiałem zrezygnować.

- Smutne - westchnęła Frankie, patrząc w okno. Zapadła wymowna cisza.

- W każdym razie wstyd - wyrzucił z siebie. - Mój wzrok nie jest całkiem do niczego. I nie pogarsza się. Poradziłbym sobie jeszcze doskonale.

- Nic po tobie nie widać - spojrzała głęboko w jego szczerze brązowe oczy.

- Tak więc sama rozumiesz. Wchodzę w spółkę z Badgerem. Frankie pokiwała głową.

- Podają drugie śniadanie - poinformował zaglądając do przedziału pomocnik konduktora.

- Idziemy? - spytała Frankie.

Przeszli do wagonu restauracyjnego. W porze kolejnej kontroli biletów Bobby wycofał się strategicznie.

- Nie narażajmy na szwank zawodowego sumienia kontrolera - powiedział.

Frankie odparta, że jej zdaniem kontrolerzy są go pozbawieni. Do Sileham, gdzie wysiadali, pociąg dotarł tuż po piątej.

- Czeka na mnie samochód. Podrzucę cię do Marchbolt - zaoferowała się Frankie.

- Dzięki. To mi oszczędzi dźwigania tego cholerstwa przez dwie mile - kopnął swoją walizkę ze złością.

- Trzy mile, nie dwie.

- Dwie mile, jeżeli pójdzie się na skróty ścieżką przez pole golfowe.

- Tą, z której...

- Tak, z której spadł ten facet.

- Myślę, że nikt go nie zepchnął, co? - Frankie wręczyła kuferek pokojówce.

- Zepchnął? O, Boże, chyba nie! A dlaczego?

- No... byłoby ciekawiej, nie uważasz? - zakończyła od niechcenia.

Rozprawa u koronera

Rozprawa wstępna w sprawie śmierci Alexandra Pritcharda odbyła się nazajutrz. Najpierw zeznawał doktor Thomas. Chodziło o okoliczności znalezienia ofiary.

- Czy ten człowiek jeszcze żył? - brzmiało pytanie koronera.

- Tętno denata było wyczuwalne, jednakże jego stan uznałem za beznadziejny. - W tym miejscu doktor rozpoczął ściśle medyczny wywód.

Koroner pospieszył ławnikom z pomocą:

- Czyli, mówiąc językiem potocznym, miał złamany kręgosłup?

- Można to tak określić - z rezygnacją zgodził się doktor. Następnie opowiedział, co się działo dalej: jak ruszył po pomoc, pozostawiając Bobby'ego przy umierającym.

- Jaka jest, zdaniem świadka, przyczyna wypadku?

- Ująłbym to następująco: ponieważ nic nie wiemy o stanie umysłu zmarłego przed wypadkiem, należy przyjąć, że według wszelkiego prawdopodobieństwa niechcący przestąpił on krawędź urwiska i spadł w przepaść. Znad morza wznosiła się mgiełka, a w miejscu, o którym mowa, ścieżka gwałtownie skręca w głąb łądu. Denat musiał przeoczyć zakręt i pójść prosto. Wystarczyły dwa kroki, żeby znalazł się nad przepaścią.

- Czy świadek zauważył jakieś ślady przemocy? Takie, które mogły zostawić osoby trzecie?

- Te urazy, które zaobserwowałem, można całkowicie wytłumaczyć upadkiem na skałę z wysokości pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu stóp.

- Pozostaje jeszcze możliwość samobójstwa.

- Tak, tego oczywiście nie można wykluczyć. Nie jestem w stanie stwierdzić, czy denat rzucił się w przepaść, czy spadł przez nieuwagę.

Przyszła kolej na Roberta Jonesa. Bobby wyjaśnił, że grali z doktorem w golfa, a on przypadkowo wybił piłkę w kierunku morza. Wydawało mu się, że słyszał krzyk, i zastanawiał się przez chwilę, czy piłka nie trafiła jakiegoś spacerowicza. Potem stwierdził jednak, że nie mogła dolecieć tak daleko.

- Czy świadek znalazł piłkę?

- Tak, upadła jakieś sto jardów od ścieżki.

Następnie opowiedział, jak przeszli do kolejnej podstawki, tuż przy urwisku, i jak jego piłka nie dotarła do przeciwnej krawędzi uskoku.

Koroner, znając relację doktora, zrezygnował z dalszych pytań. Wrócił jednakże do sprawy krzyku, który Bobby słyszał, czy też wydawało mu się, że słyszał.

- To był po prostu krzyk.

- Wołanie o pomoc?
- Nie, raczej wrzask. Prawdę powiedziawszy, ledwie go słyszałem, nie mogę być pewien.
- Okrzyk przestרחu? - odpowiedział koroner.
- Coś w tym rodzaju - potwierdził Bobby z wdzięcznością. - Taki okrzyk może wydać ktoś, kto niespodziewanie zostanie uderzony piłką.
- Albo jeśli zrobi krok w przepaść myśląc, że jest na ścieżce?
- Właśnie.

Wysłuchawszy informacji, że ofiara zmarła jakieś pięć minut PO tym, jak doktor udał się po pomoc, koroner zwolnił Bobby'ego. Widać było, że zamierza szybko zakończyć tę prostą i nie budzącą wątpliwości sprawę. Wezwano panią Leo Cayman.

Rozczarowanie Bobby'ego nie miało granic. Gdzie się podziała ta niezapomniana twarz ze zdjęcia, które wypadło z kieszeni marynarki zmarłego? Z niesmakiem pomyślał, że fotografowie to kłamcy nad kłamcami. Zdjęcie pewnie musiało być zrobione dawno, ale jeśli nawet, trudno było uwierzyć, że czarująca piękność o ogromnych oczach mogła zmienić się w tę kobietę o wyzywającym wyglądzie, wyskubanych brwiach i ewidentnie farbowanych włosach. Czas, przyszło mu do głowy, robi z ludźmi straszne rzeczy. Jak też będzie wyglądać Frankie za dwadzieścia lat? Wzdrygnął się lekko.

Tymczasem rozpoczęto przesłuchanie Amelii Cayman, zamieszkałej przy St. Leonard's Gardens 17 w Paddington.

Świadek zidentyfikowała ofiarę jako Alexandra Pritcharda, swego jedyne go brata. Ostatnio widziała się z nim w przeddzień tragedii. Zapowiadał, że wybiera się na pieszą wycieczkę po Walii. Wrócił niedawno z Dalekiego Wschodu.

- Czy był zadowolony i czuł się normalnie?
- Jak najbardziej. Alex był zawsze pogodny i wesoły.
- Czy na pewno nic nie zapowiadało tragedii?
- Cieszył się na tę wyprawę.
- Czy wiadomo coś świadkowi o kłopotach finansowych denata albo jakichś innych?

- Trudno mi coś powiedzieć. Wrócił niedawno, a przez ostatnie dziesięć lat nie widzieliśmy się. Nie pisywał wiele. Ostatnio zaprosił mnie parę razy do teatru i restauracji, wręczył kilka upominków, więc nie podejrzewałabym go o jakieś kłopoty z pieniędzmi. Poza tym był w tak dobrym nastroju, że naprawdę nie sądzę, by mu coś nie szło.

- Czym brat się zajmował?

Pani Cayman wyglądała na lekko zakłopotaną.

- Prawdę mówiąc, nie bardzo jestem zorientowana. Zdaje się, że poszukiwaniami geologicznymi. Bardzo rzadko bywał w Anglii.

- Czy świadek zna jakiś powód, dla którego mógłby chcieć targnąć się na swoje życie?

- Och, z pewnością nie było nic takiego. To musiał być wypadek.

- Jak można wyjaśnić fakt, że denat nie posiadał żadnego bagażu, żadnego plecaka?

- Nie lubił nic nosić. Zaplanował to tak, że miał co drugi dzień wysyłać rzeczy pocztą do miejsca kolejnego noclegu. Przed wyjazdem wysłał paczkę ze zmianą bielizny i przyborami toaletowymi. Pomylił się w adresie i napisał Derbyshire zamiast Denbigshire, więc doszła dopiero dzisiaj.

- To wyjaśnia nam tę zastanawiającą sprawę.

Pani Cayman kontynuowała, opowiadając o tym, jak została o wszystkim zawiadomiona za pośrednictwem fotografa. Jego pieczętka była na odwrocie zdjęcia, które znaleziono w kieszeni brata. Przyjechała do Marchbolt z mężem i bez trudności zidentyfikowała zwłoki. Mówiąc to, pociągnęła głośno nosem i rozplakała się.

Koroner próbował ją pocieszyć, potem pozwolił odejść. Następnie zwrócił się do ławników. Mieli oni za zadanie oficjalnie ustalić przyczynę śmierci. Na szczęście sprawa wyglądała na bardzo prostą. Nic nie wskazywało na to, że pan Pritchard był czymś zaniepokojony, pogrążony w depresji albo że miał jakieś powody do samobójstwa. Przeciwnie, cieszył się dobrym zdrowiem i samopoczuciem, i szykował do przyjemnego wypoczynku. Niestety, tak się zdarzyło, że niebezpieczną ścieżkę nad klifowym urwiskiem zasnuła morska mgła. Koroner zwrócił się do ławy, aby wystąpiła z wnioskiem do władz lokalnych o zabezpieczenie tego miejsca na przyszłość.

Postanowienie sądu było łatwe do przewidzenia: „Stwierdza się, że przyczyną śmiertelnego zejścia Alexandra Pritcharda był nieszczęśliwy wypadek. Sąd zwraca się do rady miasta o niezwłoczne podjęcie działań mających na celu umieszczenie płotu lub poręczy od strony morza w miejscu, gdzie szlak spacerowy dochodzi do urwiska.”

Koroner przytaknął z aprobatą. Rozprawa była skończona.

Państwo Cayman

Po powrocie Bobby'ego na plebanię okazało się, że jego udział w sprawie wypadku Alexa

Pritcharda nie jest jeszcze zakończony. W gabinecie ojca oczekiwali go pan i pani Cayman. Bobby wszedł i zorientował się, że ojciec rozpaczliwie próbuje podtrzymać zamierającą konwersację, co przychodzi mu z widocznym trudem.

- Ach, oto i Bobby - rzekł z wyraźną ulgą w głosie.

Pan Cayman podniósł się i ruszył ku Bobby'emu z wyciągniętą dłonią. Był to tęgi mężczyzna o rumianej twarzy, a jego wymuszony serdeczny sposób bycia nie szedł w parze z chłodnym, umykającym w bok spojrzeniem. Pani Cayman, która mogła się niektórym podobać - jeśli ktoś miał słabość do pospolitych i wyzywających kobiet - niczym nie przypominała; swojej fotograficznej podobizny z lat młodości. Uleciał gdzieś tęskny wyraz twarzy. Bobby pomyślał, że gdyby ona sama nie rozpoznała się na tym zdjęciu, nikt inny z pewnością nie wpadłby na to, że właśnie ją przedstawiało.

- Przeprowadziłem żonę - powiedział, ściskając boleśnie dłoń Bobby'ego. - Nie mogę jej zostawić, rozumie pan, jest wstrząśnięta.

Pani Cayman pociągnęła nosem.

- Wpadliśmy, wie pan - ciągnął pan Cayman - bo szwagier skonał, jakby to powiedzieć, na pańskich rękach. Żona chciałaby usłyszeć od pana o jego ostatnich chwilach.

- Oczywiście, jak najbardziej - żałobnym tonem zapewnił Bobby. Skrzywił się nerwowo i usłyszał, jak ojciec westchnął - było to westchnienie chrześcijańskiego pogodzenia się z losem.

- Biedny Alex - zaszlochała pani Cayman - biedny, biedny Alex.

- Rozumiem - powiedział Bobby. - To bardzo smutne. - Czuł się niezręcznie. Zaczął się wiercić.

- Może pan - ciągnęła pani Cayman patrząc z nadzieją na Bobby'ego - usłyszał jego ostatnie słowa, może przekazał jakąś wiadomość, bardzo mi na tym zależy.

- Niestety, wydaje mi się, że nic nie przekazał.

- Nic, zupełnie? - Pani Cayman spojrzała z niedowierzaniem i rozczarowaniem.

Bobby przybrał przepaszający wyraz twarzy.

- Nie, zupełnie nic.

- Tak było dla niego lepiej - z namaszczeniem stwierdził pan Cayman - odejść z tego świata bez świadomości, bez bólu. Pomyśl o tym, Amelio.

- Tak, pewnie masz rację. Jest pan pewien, że nie czuł bólu?

- Zapewniam panią.

Pani Cayman westchnęła głęboko.

- Tak, lepiej, że tak się stało. Miałam nadzieję, że zostawił jakąś ostatnią wiadomość, ale widzę teraz, że to w sumie lepiej. Biedny Alex. Tak lubił kontakt z naturą, ciągnęło go w teren.

- Właśnie tak myślałem - Bobby przypomniał sobie jego ogorzałą twarz, błękitne oczy. Ten Alex Pritchard musiał być interesującym człowiekiem, było w nim coś pociągającego, nawet w chwili śmierci. I ten człowiek miał taką siostrę i takiego szwagra, niesamowite. Zasługiwał na coś lepszego.

- Wiele panu zawdzięczamy - oświadczyła pani Cayman. - Ależ, nic takiego. To znaczy, no, po prostu... nic nie mogłem... no, wiecie państwo... - zaplątał się bezradnie.

- Zachowamy pana w pamięci - zapewnił pan Cayman. Bobby musiał znów odcierpieć jego boleśnie silny uścisk dłoni.

Pani Cayman ofiarowała swoją dłoń bezwładnie. Do pożegnań dołączył się ojciec. Bobby odprowadził Caymanów do wyjścia.

- A czym pan się zajmuje, młody człowieku? - zaciekawiał się Cayman. - Spędza pan w domu urlop czy coś w tym rodzaju?

- Intensywnie poszukuję pracy - powiedział Bobby i zamilkł na moment. - Służyłem w marynarce.

- Ciężkie czasy dziś mamy - pokiwał głową Cayman. - No, życzę szczęścia, na pewno się panu uda.

- Dziękuję bardzo - grzecznie odpowiedział Bobby.

Patrzył za nimi, gdy odchodzili zachwaszczonym podjazdem plebanii. Zatopił się w rozmyślaniach. Najróżniejsze myśli przechodziły mu przez głowę, sprzeczne refleksje: zdjęcie dziewczyny o ogromnych oczach, z burzą blond włosów, a dziesięć - pięć - naście lat później pani Cayman - tapeta na twarzy, świńskie oczka zatopione w zwałach tłuszczu, agresywnie farbowany włos. Ani śladu młodzieńczej urody i niewinności. Jaka szkoda! Wszystko pewnie z powodu małżeństwa z takim krzepkim łobuzem, jak ten Cayman. Gdyby wyszła za kogoś innego, postarzałaby się może z większą klasą. Cień siwizny na włosach, piękne oczy patrzące ze szczupłej, jasnej twarzy. Ale pewnie tak czy inaczej... Bobby westchnął i pokręcił głową.

- To właśnie jest najgorsze w małżeństwie - stwierdził ponuro.

- Co mówiłeś?

Bobby ocknął się z rozmyślań i zauważył Frankie, która zbliżyła się niepostrzeżenie.

- Cześć - przywitał ją.

- Cześć. W jakim małżeństwie? Czyim?

- To była refleksja natury ogólnej.

- To znaczy?

- Na temat zgubnych skutków małżeństwa.

- Mów konkretnie.

Bobby wyjaśnił, ale nie znalazł u Frankie zrozumienia.

- Gadasz bzdury. Ta kobieta wygląda identycznie jak na: zdjęciu.

- Widziałaś ją? Byłaś na rozprawie?

- Jasne, że byłam. A co myślisz? Przecież tu się można zanudzić na śmierć. Taka atrakcja spadła mi jak z nieba. Nigdy nie widziałam czegoś takiego. Byłam strasznie podniecona. Oczywiście wolałabym, żeby to było jakieś tajemnicze otrucie, z rzeczoznawcami, mnóstwem świadków i zawilości, ale mówi się trudno, jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma. Do końca miałam jednak nadzieję, że coś wyjdzie na jaw, ale - stwierdzam to z żalem - sprawa okazała się banalna.

- Jesteś żądna krwi!

- Tak, wiem. To jakiś atawizm, nie sądzisz? Podejrzewam, że mam to po moich przodkach - małpach. Pamiętasz? W szkole mówili na mnie „małpia gęba”.

- Czyżby małpy były żądne krwi? - powątpiewał Bobby.

- Ojej, nudziarz z ciebie.

- No dobrze. Ale wracając do pani Cayman, nie zgadzam się z tobą. Na zdjęciu była śliczna.

- Retusz i tyle - przerwała mu.

- To znaczy, że było wyretuszowane po mistrzowsku, nigdy bym jej nie poznał na podstawie zdjęcia.

- Nie masz oczu. Fotograf użył z pewnością całej swojej sztuki, żeby coś z niej zrobić, ale paskudna baba pozostanie paskudną babą.

- Absolutnie się z tobą nie zgadzam - chłodno stwierdził Bobby. - A właściwie, gdzie widziałaś to zdjęcie?

- W miejscowym „Echu Wieczornym”.

- Pewnie fatalnie wydrukowali.

- Po prostu zwariowałaś! - Frankie straciła panowanie nad sobą. - Wytapetowana dziwka, tak, dobrze słyszysz, dziwka, wierna podobizna tej Cayman.

- Frankie, zaskakujesz mnie! Stoisz przed plebanią, czyli, że tak powiem, nieomal na ziemi świętej.

- Ojej, bo matoł z ciebie.

Zapadło milczenie. Po chwili Frankie uspokoiła się.

- Doprawdy dziwi mnie, że kłócimy się o jakąś głupią babę. A przyszedłam tu zaprosić cię na rundkę golfa.

- Tak jest, szefie - ucieszył się Bobby.

Wyruszyli już w zgodzie i harmonii, gwarząc o arkanach sztuki golfowej.

Ostatnie tragiczne wydarzenia zupełnie wywietrzały im z głowy, aż Bobby gdzieś koło jedenastego dołka nagle podskoczył, jakby sobie coś przypominając.

- Co się stało?

- Właściwie nic. Przypomniałem sobie coś.

- Co takiego?

- No więc ci Caymanowie byli u mnie i pytali, czy ten facet coś powiedział, zanim umarł, a ja im powiedziałem, że nic.

- I co z tego?

- A teraz sobie przypomniałem, że jednak coś powiedział.

- Wygląda na to, że dzisiejszego poranka nie byłeś w swojej szczytowej formie umysłowej.

- No wiesz, im chodziło o jakieś posłanie, ostatnie słowo... To nie było nic w tym rodzaju.

- A co powiedział?

- Powiedział: „Dlaczego nie Evans?”.

- Też coś! Nic poza tym?

- Nie. Zwyczajnie otworzył oczy, powiedział to trochę nieoczekiwanie, i umarł, biedaczysko.

Frankie zastanowiła się chwilę i stwierdziła:

- No dobrze, nie masz się czym martwić. To nic ważnego.

- No jasne, że nie. Ale jednak żałuję, że im o tym nie wspomniałem. Powiedziałem, że zmarł bez słowa.

- To przecież na jedno wychodzi. To znaczy, że to nie było nic w rodzaju: „Powiedz Gladys, że zawsze ją kochałem „Testament jest w orzechowym biurku”, ani żadne prawdziwe romantyczne Ostatnie Słowo, jak w książkach.

- A może napisać o tym do nich?

- Nie zwracaj sobie tym głowy. To nie może być nic ważnego.

- Myślę, że masz rację - Bobby wrócił do gry ze zdwojoną energią.

Sprawa jednak nie dawała mu spokoju. Niby drobiazg, ale go to trapiło. W zasadzie zgadzał się z Frankie, że rzecz nie miała żadnego znaczenia. Ale trochę gryzło go sumienie. Powiedział, że mężczyzna, zmarł bez słowa. To nie była prawda. Głupia i banalna sprawa, ale mu doskwierała. Wreszcie wieczorem usiadł i napisał do pana Caymana list.

Szanowny Panie!

Poniewczasie przypomniałem sobie, że pański szwagier jednak powiedział coś przed śmiercią. Jego słowa brzmiały: „Dlaczego nie Evans?” Proszę mi wybaczyć, że nie wspomniałem o tym w naszej dzisiejszej rozmowie, ale usłyszawszy te słowa, nie - przy wiązałem do nich wagi i umknęły mi z pamięci.

Pozostaję z szacunkiem -

Robert Jones

Następnego dnia otrzymał taką oto odpowiedź (pisaną ręką pana Caymana):

Szanowny Panie!

Właśnie otrzymałem pański list z dnia 6 bm. Ogromnie dziękuję - za dosłowne przytoczenie ostatnich słów mojego nieodżałowanego szwagra, pomimo że nie zawierają one żadnego ważnego przesłania. Moja małżonka miała nadzieję na jakieś istotne informacje. Niemniej jednak jesteśmy bardzo wdzięczni za pańską skrupulatność.

Łączę wyrazy szacunku -

Leo Cayman

Bobby poczuł, że jego dobry uczynek został zlekceważony.

Koniec pikniku

Następnego dnia Bobby otrzymał całkiem odmienną w charakterze korespondencję. Bazgranina Badgera, był to bowiem list od niego, nie zdradzała żadnych wpływów drogiej prywatnej szkoły, w której odebrał przecież wykształcenie:

Wszystko załatwione, stary. Wczoraj dostałem pięć wozów, dałem za to piętnaście funciaków. To austin, dwa morrissy, i dwa rovery. W tej chwili nie na chodzie, ale wypicujemy je cacy, zobaczysz. Do cholery, auto to tylko auto. Nabywca powinien się cieszyć, jeśli dowiezie go do domu i nie rozkraczy się drodze. Chcę otworzyć biznes za tydzień od poniedziałku, tero wszystko zależy od ciebie, nie zawieź mnie, stary. Stara ciotka Carrie szarpnęła się. Od czasu, kiedy wytłukłem okno u tego nudziarza, co mieszkał obok niej i dokuczał jej kotom, tata o mnie i zawsze przysyłała piątaka na Gwiazdkę. No, a raz to.

Sprawa musi wypalić. To murowany interes. Znaczy, samochód to samochód. Ochlapiesz go farbą i każdy dureń się na nabierze. Ruszamy z fasonem. Nie zapomnij, od poniedziałku: tydzień. Liczę na ciebie.

Twój Badger

Bobby powiadomił ojca, że za tydzień od najbliższego poniedziałku pojedzie do Londynu podjąć pracę. Informacja o charakterze tego zajęcia nie wzbudziła w pastora szczególnego entuzjazmu. Należy dodać, że osoba Badgera Beadona nie była mu obca. Pastor ograniczył się do przydługiego wykładu na temat niebezpieczeństw, jakie pociąga za sobą branie na siebie odpowiedzialności materialnej. Nie był ekspertem od spraw ekonomiczno-finansowych, więc jego rady były mętne, ale intencje nie budziły wątpliwości.

W środę Bobby otrzymał jeszcze jeden list. Koperta zaadresowana była obco wyglądającym, pochyłym charakterem pisma. Zawartość zaskoczyła młodego człowieka całkowicie.

Pismo wyszło z firmy Henriquez i Dalio w Buenos Aires i, mówiąc krótko, proponowano w nim Bobby'emu posadę w firmie z uposażeniem tysiąca funtów rocznie.

Przez dobrą minutę albo dwie Bobby'emu zdawało się, że śni. Tysiąc funtów rocznie! Przeczytał jeszcze raz uważniej. Była mowa o doświadczeniu wyniesionym z marynarki i o tym, że

kandydatura Bobby'ego została podsunęta przez kogoś nie wymienionego z nazwiska. Musi zdecydować się natychmiast i w ciągu tygodnia przygotować się do wyjazdu do Buenos Aires.

- Do jasnej cholery! - wykrzyknął Bobby, dając w ten nieco niezręczny sposób upust swoim emocjom.

- Bobby!

- Przepraszam, tato. Zapomniałem, że tu jesteś.

Pan Jones odchrząknął.

- Muszę stwierdzić synu, że twoje...

Bobby wiedział, że za wszelką cenę musi zapobiec temu, na co się zanosilo. Uznał, że najlepiej będzie zrobić to w najprostszy sposób:

- Tato, dają mi tysiąc funtów rocznie!

Pastor przez dobrą chwilę stał z otwartymi ustami, nie mogąc zdobyć się na żaden komentarz. Zbiłem go z pantałyku, Pomyślał Bobby z satysfakcją.

- Mój drogi, twierdzisz, że ktoś proponuje ci pensję w wysokości tysiąca funtów rocznie? Tysiąc?

- Trafiłeś, tato.

- Niemożliwe!

Ten wyraźny brak wiary w możliwości syna wcale nie uczu Bobby'ego. Miał o sobie niewiele lepsze niż ojciec manie.

- Musieli zwariować - zgodził się wspaniałomyślnie.

- Kto, ee.. kim są ci ludzie?

Bobby wręczył ojcu list. Pastor podejrzliwie wpatrywał się w pismo, macając wokół w poszukiwaniu binokli. Przystudiował je dwukrotnie.

- Nadzwyczajne - rzekł w końcu. - Nadzwyczajne.

- To szaleńcy - powtórzył Bobby.

- Ależ, mój chłopcze! Teraz widzisz, jak to wspaniale być Anglikiem. Prawość. To nasza cecha. Marynarka rozstawiła ją po całym świecie. Słowo Anglika! Ci Latynosi docenili wartość młodego człowieka o kryształowej uczciwości i niezachwianej lojalności.

- Jasne, tato. Masz rację.

Pastor spojrzał na syna podejrzliwie. Coś w jego tonie zabrzmiało mu niezupełnie szczerze. Młody człowiek miał je że kamienny wyraz twarzy.

- Tak czy inaczej, tato, dlaczego ja?

- Co znaczy „dlaczego ja”?

- Anglia roi się od Anglików. Ambitnych, kipiących energią i pełnych zalet. Dlaczego wybrali akurat mnie?

- Może twój ostatni dowódca z marynarki polecił cię komuś?

- Tak, to całkiem możliwe - powiedział z powątpiewaniem Bobby. - Zresztą, to nie ma znaczenia, i tak nie podejmę tej pracy.

- Nie podejmiesz?! A to dlaczego?

- Mam inne zobowiązania, rozumiesz? Badger.

- Badger? Badger Beadon. Bzdura, mój drogi. To, co tu mamy, to jest poważna propozycja.

- Niestety, nie wchodzi w grę.

Nawet przez chwilę nie można traktować poważnie jakichś dziecinnych umów z tym młokosem.
- on liczy na mnie, tato.

- Młody Beadon jest kompletnie nieodpowiedzialny. Z tego co wiem, jak dotąd jego rodzice mają przez niego tylko kłopoty i wydatki.

- Miał pecha. Badger jest bezgranicznie łatwowierny.

- Pecha! W życiu nie kiwnął palcem!

- Nonsens, tato. Harował dzień w dzień, od świtu do nocy, karmiąc te parszywe kurczaki. To nie jego wina, że padły na jakieś paskudztwo.

- Nigdy nie wyraziłem zgody na ten pomysł z warsztatem. Fanaberia! Musisz dać sobie z tym spokój.

- Nie da rady, szefie. Dałem słowo. Nie mogę zawieść starego przyjaciela. Liczy na mnie.

Konwersacja toczyła się dalej w tym duchu. Pastor, uprzedzony do Badgera, nie uznawał żadnych umów z nim za wiążące. Syn, jego zdaniem, jest uparty jak osioł i za wszelką cenę chce wieść łatwe życie w najgorszym możliwym towarzystwie. Bobby, nie siląc się na oryginalność, powtarzał z uporem, że nie może zawieść przyjaciela.

W rezultacie pastor wyszedł zagniewany, a Bobby pokręcił się i usiadł, aby napisać odmowny list do firmy Henriquez i Dalio. Wzdychał przy tym ciężko. Odrzucał okazję, która pewnie nigdy się nie powtórzy. Ale nie miał wyjścia.

Potem, na polu golfowym, wyłuszczył rzecz Frankie. Wysłuchała go uważnie.

- Miałbyś wyjechać do Ameryki Południowej?

- Tak.

- Masz na to ochotę?

- A czemu nie?

Frankie westchnęła.

- Myślę, że postąpiłaś słusznie - orzekła zdecydowanie.

- Chodzi ci o Badgera?

- Tak.

- Nie można przecież tego drania zawieść, co?

- Prawda. Ale uważaj z „tym draniem”, jak go nazywasz. Żeby on cię w coś nie zrobił.

- O, będę uważać. Poza tym nie mogę na tym źle wyjść. Niej w to nie wkładam.

- Zazdroszczę ci.

- Czego?

- Nie wiem. To przedsięwzięcie... po prostu zapowiada się,] że będzie fajnie, nie musicie się niczym martwić. Kiedy tak] o tym myślę, to okazuje się, że ja też niewiele mam. To znaczy, ojciec daje mi pieniądze na wydatki, jest wiele domów, w których mogę mieszkać, ubrania, pokojówki, jakieś koszarnej klejnoty rodowe i prawie nieograniczony kredyt w sklepach. Alej to wszystko należy do rodziny, tak naprawdę nie jest moje.

- No, ale jednak... - Bobby nie dokończył.

- Wiem, to nie to samo.

- Właśnie. Zupełnie nie to samo - Bobby'ego ogarnęła fala przygnębienia. W milczeniu przeszli do następnej podstawki.

- Jutro jadę do Londynu - oznajmiła Frankie, kiedy ustawiał piłkę do strzału.

- Jutro? Szkoda, właśnie miałem cię zaprosić na piknik.

- Bardzo żałuję, niestety, to już ustalone. Wiesz, ojciec miał znów atak podagry.

- Musisz zostać i zająć się nim?

- Nie lubi, jak się nim opiekować. To go okropnie denerwuj je. Jeszcze najlepiej to idzie drugiemu lokajowi. Jedyne on ma nic przeciwko temu, żeby rzucać w niego różnymi rzeczami i nazywać cholernym głupcem.

Bobby'emu znów nie udało się strzał i piłka wylądowała w za głębieniu, z którego trudno będzie ją wybić.

- Trudny ten tor - powiedziała Frankie i oddała śliczny strzał, bez trudu przerzucając piłkę ponad przeszkodą. - Ale ale... Moglibyśmy się spotkać w Londynie. Kiedy tam będziesz?

- W poniedziałek. Ale... hm... to chyba nie wypada?

- Co znaczy „nie wypada”?

- No, wiesz, ja będę przecież pracował jako mechanik. Znaczy...

- I co z tego? Podejrzewam, że jesteś w stanie wyelegantować się na przyjęcie koktajlowe nie gorzej niż ktokolwiek z moich przyjaciół.

Bobby tylko pokręcił głową.

- No dobra, jeśli wolisz, urządzę wieczorek z piwem i kiełbaskami - starała się go zachęcić.

- Ale, słuchaj, Frankie, co z tego wyjdzie? Nie możesz mieszać środowisk. Twoje środowisko jest zupełnie inne niż moje.

- Zapewniam cię, że moje środowisko jest co najmniej mieszane.

- Nie udawaj, że nie rozumiesz.

- Możesz wziąć Badgera, jeśli chcesz. Przecież to twój przyjaciel.

- Zdawało mi się, że nie przepadasz za Badgerem?

- Tylko za jego jękaniem. Jak słyszę kogoś jękającego się, sama zaczynam się jękać.

- Ale posłuchaj, Frankie, to nie wypada, wiesz przecież. Tu nasze kontakty są na miejscu. Nie masz nic ciekawszego do roboty i moje towarzystwo jest dla ciebie lepsze niż żadne. Jesteś zawsze dla mnie bardzo uprzejma i tak dalej, i bardzo ci jestem wdzięczny. Ale wiem, gdzie jest moje miejsce, no, że jestem nikim, wiesz...

- Jeżeli już skończyłeś wałkować swój kompleks niższości - rzekła lodowato - może spróbowałbyś wybić tę swoją nieszczęsną piłkę z tego dołu odpowiednim kijem, a nie tym czymś, co

masz w ręku.

- O, rany! Co ja robię! - odłożył do torby kij, który trzymał w ręku i wziął właściwy. Frankie przyglądała się z drwiącą satysfakcją, gdy pięć razy z rzędu próbował wybić piłkę z zagłębienia. Wokół nich wznosiły się tumany piachu.

- Poddaję się - Bobby podniósł piłkę ręką.

- Na to wygląda. A to znaczy, że wygrałam partię.

- Zagramy jeszcze?

- Chyba nie. Mam mnóstwo roboty.

- No tak, oczywiście.

W milczeniu wracali do klubu.

- A więc - rzekła Frankie, wyciągając do niego rękę - do widzenia, mój panie. Miło mi było mieć pana na podorędziu i korzystać z pana usług w czasie pobytu w Marchbolt. Nie omieszkam znów się do pana zwrócić, jeżeli nie będę miała nic lepszego do roboty.

- Ależ posłuchaj, Frankie...

- Gdyby zechciał pan łaskawie zaszczyścić moje nędzne progi swoją obecnością na tym podłym przyjęciu, czułabym zaszczyconą. O ile dobrze się orientuję, perłowe guziki dostanie pan niedrogo u Woolwortha.

- Frankie! - jego głos utonął w warkocie zapuszczanego silnika bentleya. Ruszyła pozdrawiając go niedbałym skinieniem dłoni.

- A niech to diabli! - powiedział do siebie Bobby z najgłębszym przekonaniem. Uważał, że Frankie zachowała się skandalicznie. Być może on nie potrafił zbyt taktownie przedstawić swojego punktu widzenia, ale, do licha, to, co mówił, to najprawdziwsza prawda. Może jednak nie należało tego ubierać w słowa.

Następne trzy dni ciągnęły się w nieskończoność. Pastora bolało gardło, co ograniczyło jego możliwości głosowe do szeptu. Był obrażony, odzywał się niewiele i traktował obecność swojego czwartego syna w domu jak dopust boży.

W sobotę Bobby poczuł, że nie da rady dłużej znosić napiętej domowej atmosfery. Poprosił panią Roberts, która wraz z mężem prowadziła na plebanii całe gospodarstwo domowe, o parę kanapek na drogę, uzupełnił prowiant flaszką piwa kupionego w Marchbolt i wyruszył na samotną wycieczkę.

Okrutnie brakowało mu Frankie przez te ostatnie parę dni. Starzy mogą człowieka wykończyć. Trują i trują.

Bobby wyciągnął się wygodnie na porośniętym orlicą nasypie i zaczął rozważać, czy powinien najpierw zjeść kanapki, a potem się przespać, czy odwrotnie. Zanim doszedł do ostatecznych wniosków, zapadł w drzemkę, co jakby samoistnie rozwiązało problem.

Obudził się dopiero o wpół do czwartej. Skrzywił się na myśl, co by powiedział ojciec widząc, jak jego syn spędza dzień. Zdaniem pastora młody, zdrowy człowiek powinien odbywać długie piesze wycieczki, co najmniej po dwanaście mil. Po takiej przechadzce ojciec wygłaszał sakramentalne: „No, to zasłużyliśmy na drugie śniadanie”. Bzdura, pomyślał Bobby. Po co „zasługiwać” na kanapki długim marszem, za którym się specjalnie nie przepada? Po co? Jeżeli ktoś lubi chodzić - to co innego: oddaje się przyjemności, ale jeśli się tego nie lubi - to po prostu głupota.

Po czym rzucił się na swoje nie zasłużone kanapki i zjadł je, aż mu się uszy trzęsły. Z westchnieniem rozkoszy odkorkował butelkę z piwem. Niezwykle gorzkie to piwo, ale bardzo orzeźwiająca...

Położył się znów, wyrzuciwszy pustą butelkę w kępę wrzośca. Czuł się bosko, tak się wylegując. Świat miał u stóp. Jakie to piękne zdanie. Mógł zrobić wszystko, czego tylko by zapragnął. Przez głowę przepływały mu wielkie plany i śmiałe pomysły. Poczul znów senność. Zapadł w ciężki, kamienny sen.

O włos od śmierci

Frankie podjechała swoim wielkim zielonym bentleyem do krawężnika i zatrzymała się vis-à-vis dużego staroświeckiego budynku, nad którego drzwiami wisiała tablica z napisem „St. Asaph's”. Wskoczyła z wozu, odwróciła się i wyciągnęła z środka wielki bukiet lilii. Zadzwoiła. Drzwi otworzyła jej kobieta w uniformie pielęgniarki.

- Czy mogę się widzieć z panem Jonesem? - spytała Frankie.

Wzrok pielęgniarki spoczął najpierw na bentleyu, następnie przeniósł się na lilie i w końcu na samą Frankie. Malowało się w nim żywe zaciekawienie.

- Kogo mam zaanonsować?

- Lady Frances Derwent.

Pielęgniarka była wyraźnie poruszona, akcje Bobby'ego skoczyły w górę. Zaprowadziła Frankie po schodach do sali na pierwszym piętrze.

- Mamy odwiedziny, panie Jones. Niech pan zgadnie, kto przyszedł? Niespodzianka! - wszystko to powiedziane zostało rozkosznie radosnym tonem, jak to pielęgniarki mają w zwyczaju mówić.

- O, rany! - zaskoczenie Bobby'ego nie mogło być większe, - To chyba nie może być Frankie!

- Jak się masz, Bobby. Przyniosłam ci obowiązkowe kwiaty. Trochę cmentarne, ale nic innego nie było.

- Ach, lady Frances - wtrąciła się pielęgniarka - są prześliczne. Wstawię je do wazonu. - Wyszła.

Frankie usiadła na krześle, przeznaczonym najwidoczniej dla odwiedzających.

- No i co, Bobby? O co ten cały hałas?

- Mnie się pytasz? Jestem tu autentyczną sensacją. Ponad pół grama morfiny, ani trochę mniej! Napiszą o mnie w „Lancecie” i w „BMJ”.

- Co to jest *BMJ*?

- *British Medical Journal*.

- W porządku. Jedź dalej. Poproszę jeszcze parę skrótów.

- Czy jest ci wiadomo, drogie dziecko, że dawka śmiertelna wynosi zaledwie trzy setne grama? Powinienem zemrzeć już szesnaście razy. Co prawda, w annałach medycyny notowany jest przypadek uratowania kogoś po dawce ponad jednogramowej, ale pół grama to niezły wynik, nie sądzisz? Jestem bohaterem tej placówki. Nigdy nie mieli tu takiego przypadku.

- To miło z ich strony.

- Prawda? Mają co opowiadać innym pacjentom. Pielęgniarka wróciła z liliami w wazonie.

- Mam rację, prawda, siostrzo? Nigdy nie mieliście takiego przypadku.

- Ojoj! Powinno tu pana nie być. Uciekł pan grabarzowi spod łopaty. Ale mówią, że tylko dobrzy ludzie umierają młodo - zachichotała z własnego dowcipu i wyszła.

- Widzisz. Będę sławny na całą Anglię.

Gadał bez końca. Po objawach kompleksu niższości, wyraźnych podczas poprzedniego spotkania z Frankie, nie zostało ani śladu. Z widocznym samozadowoleniem zagłębiał się w szczegóły patofizjologii.

- Już dosyć - Frankie przerwała potok jego wymowy. - Płukanie żołądka nie jest tematem, którym byłabym jakoś wyjątkowo zainteresowana. Z tego, co mówisz, można by wysnuć wniosek, że jesteś pierwszym w historii przypadkiem próby otrucia.

- Ale diablo niewielu udało się wykaraskać po półgramowej dawce morfiny. Do licha, wygląda na to, że nie zrobiło to na tobie wystarczająco silnego wrażenia.

- Ci, co cię truli, mieli pecha.

- Tak, zmarnowali sporo pierwszorzędnej morfiny.

- To było w piwie, tak?

- Tak. Ludzie, pojmujesz, znaleźli mnie śpiącego jak kamień, próbowali dobudzić i nie dali rady. To ich zaniepokoiło, zanieśli mnie na farmę i posłali po lekarza...

- Znam dalszy ciąg - przerwała ze zniecierpliwieniem.

- Tu z początku myśleli, że wzięłem to świństwo naumyślnie. Kiedy im opowiedziałem, jak sprawa wyglądała, odnaleźli wyrzuconą butelkę po piwie, oddali do analizy. Wystarczył osad na dnie, żeby coś stwierdzić.

- Jak to się dostało do butelki?

- Zupełnie nie wiadomo. Sprawdzali pub, gdzie ją kupiłem. W żadnej butelce nic takiego nie było.

- A więc ktoś musiał „wzmocnić” to piwo, kiedy spałeś?

- Właśnie. Przypominam sobie, że kapsel zszedł lekko.

Frankie pokiwała głową w zamyśleniu.

- No, tak. Wygląda na to, że miałam rację wtedy w pociągu.

- A co mówiłaś?

- Że ten facet, Pritchard, został zepchnięty w przepaść.

- To nie było w pociągu. Powiedziałaś to na stacji - sprostował niepewnie.

- Co za różnica? - Ale dlaczego...

- Kochanie, to dziecinnie proste. Niby dlaczego ktoś miał nastawać na twoje życie? Nie jesteś dziedzicem wielkiego majątku ani nic w tym rodzaju.

- A może? Może jakaś bogata cioteczna babka w Nowej Zelandii albo gdzieś tam, o której nigdy nie słyszałem, zapis mi fortunę?

- Pleciesz. Musiałaby cię znać. A jeśli cię nie znała, to czego miałaby ci zapisywać pieniądze? Czwartemu synowi? Nie, sprawa jest oczywista. Nikt nie dziedziczy majątku po twojej śmierci, więc wykluczamy tę ewentualność. A więc w grę wchodzi zemsta. Czy nie uwiodłeś przypadkiem córki aptekarza?

- Nie przypominam sobie - odparł Bobby z godnością.

- Znam takich! Uwodzą na kopy niewiniątka, tak że tracą w tym rachubę. Ale bez ceremonii: myślę, że nie uwiodłeś dotąd żadnej.

- Frankie, rumienię się przez ciebie. A tak przy okazji, dlaczego akurat córkę aptekarza?

- Łatwy dostęp do morfiny, sam rozumiesz. Niełatwo jest ją zdobyć.

- No, dobrze. Powiem prawdę. Nie uwiodłem córki aptekarza.

- A masz ty jakichś wrogów? Bobby zaprzeczył.

- A więc mamy pełną jasność sytuacji - obwieściła triumfalnie. - To musi chodzić o tego gościa, który został zepchnięty z urwiska. Co sądzi policja?

- Twierdzą, że to jakiś szaleniec.

- Bzdury. Szaleńcy nie krążą dokoła z nieograniczonymi zapasami morfiny, szukając butelek piwa, żeby tam wrzucać po pół grama. Nie. Ktoś zepchnął Pritcharda ze skały. Ty zjawiasz się chwilę później, a ten ktoś myśli, że go widziałeś i całe zajście, a więc decyduje się usunąć cię z drogi.

- To się nie trzyma kupy.

- A to czemu?

- Zaczniemy od tego, że ja nic nie widziałem.

- Tak, ale on o rym nie wie.

- Gdybym widział cokolwiek, powiedziałbym na przesłuchaniu.

- No rzeczywiście - przyznała niechętnie. Zastanawiała się Przez dłuższą chwilę. - Może myśli, że widziałeś coś, o czym nie wiesz, że ma znaczenie... Nie brzmi to może zbyt klarownie, ale wiesz, o co mi chodzi? Bobby potwierdził:

- Tak, rozumiem, co masz na myśli, ale jakoś nie wydaje mi się to zbyt prawdopodobne.

- Jestem przekonana, że ta sprawa z urwiskiem ma z tym coś wspólnego. Byłeś pierwszą osobą, która się tam znalazła.

- Był tam też doktor Thomas - przypomniał jej Bobby - a jego nikt nie próbował otruć.

- Ale może to zrobią - ożywiła się radośnie. - Albo nie udało im się.

- Chyba posuwasz się za daleko.

- Mnie się to wydaje logiczne. Jeżeli zdarzają się dwa niezwykle wypadki w takiej dziurze jak

Marchbolt... Ale, zaraz, jest jeszcze coś!

- Co?

- Ta propozycja pracy dla ciebie. To drobny fakt, ale musisz przyznać, że też dziwny. Nie słyszałam dotąd o zagranicznych firmach uganiających się za niczym nie wyróżniającymi się oficerami marynarki w stanie spoczynku.

- Czy ja dobrze usłyszałam? Powiedziałaś „niczym nie wyróżniającymi się”?

- Wtedy jeszcze nie dostałeś się na łamy „BMJ”. Rozumiesz, o co mi chodzi? Widziałeś coś, czego nie powinieneś być widzieć, tak przynajmniej oni myślą, kimkolwiek są. Dobrze. Najpierw próbują się ciebie pozbyć, oferując ci pracę za granicą.] Gdy to spala na panewce, szukają innego sposobu.

- Nie uważasz, że posunęli się do zbyt drastycznych metod? Poszli przecież na wielkie ryzyko.

- O, pamiętaj, że mordercy bywają strasznie nierozważni.] Im więcej zbrodni popełnią, tym więcej jeszcze im przychodzi do głowy.

- Tak jak ten z „Trzeciej plamy krwi”? - Bobby przypomniał sobie jedno ze swych ulubionych dzieł literackich.

- Właśnie. W rzeczywistości też tak się zdarza, weź Smitha i jego żony albo Armstronga i jego ofiary.

- W porządku, Frankie. Ale co takiego, u diabła, mogłem zobaczyć?

- To jest trudność - przyznała Frankie. - Zgadzam się z tobą, tu nie idzie o sam akt pchnięcia faceta w przepaść, bo o tym przecież powiedziałbyś koronerowi. Tu musi chodzić o coś, co dotyczy nieboszczyka. Może miał jakieś znamię albo zrosnięte palce, albo jakieś inne znaki szczególne.

- Widzę, że głowę masz pełną doktora Thomdyke’a. To nie mogło być nic takiego, bo zauważyłaby to też policja.

- Jasne. Głupi pomysł. Niełatwa sprawa, nieprawdaż?

- Twoja hipoteza łechce moją próżność. Poczuję się ważny, ale to tylko hipoteza.

- Jestem przekonana, że mam rację. - Frankie wstała. - Muszę już lecieć. Mam znów wpaść jutro?

- Jasne, koniecznie. Rozkoszne gaworzenie pielęgniarek już mi zaczyna wychodzić uszami. Ale, ale, tak szybko wróciłaś z Londynu?

- Mój drogi, skoro tylko usłyszałam o tobie, przyleciałam tu jak na skrzydłach. To takie ekscytujące mieć romantycznie otrutego przyjaciela.

- Nie wydaje mi się, żeby morfina była szczególnie romantyczna - zauważył Bobby.

- Dobra, będę jutro. Mam cię pocałować?

- Nie jestem chory zakaźnie - rzekł zachęcająco.

- A więc jutro przychodzę znów odbębnić swój obowiązek u łóżka chorego.

Pocałowała go lekko.

- Do zobaczenia jutro.

Po jej wyjściu pojawiła się pielęgniarka z herbatą.

- Często widzę jej zdjęcia w gazetach. Nie jest podobna. No i widywałam ją w samochodzie, ale nigdy tak twarzą w twarz. Nie jest wyniosła, prawda?

- Frankie? Wszystko, tylko nie to.

- Tak mówiłam przełożonej. Jest taka naturalna! Wcale nie sztywna. Powiedziałam przełożonej - jest taka sama jak my.

Bobby pozostawił to bez odpowiedzi, dając w ten sposób wyraz swojemu sprzeciwowi wobec jej opinii. Siostra, rozczarowana jego małomównością, opuściła pokój. Bobby został sam swoimi myślami.

Wypił herbatę. Rozwagał różne aspekty szalonej hipotezy Frankie i po namyśle, choć z niechęcią, odrzucił ją.

Zaczął się rozglądać za czymś, czym mógłby się zająć. Jego wzrok przyciągnął wazon z liliami. To strasznie sympatyczny ze strony Frankie, że przyniosła mu tyle kwiatów. Były rzeczywiście śliczne, ale żałował, że zamiast nich nie dostał od Frankie paru kryminałów. Rzucił okiem na stolik przy łóżku, tam dwie książki i egzemplarz „Marchbolt Weekly Times” zeszłego tygodnia. Sięgnął po jedną z powieści, „John Halifa dżentelmen”.

Po pięciu minutach miał dosyć. Dla jego umysłu, wykarmionego na pozycjach typu „Trzecia plama krwi”, „Zabójstwo arcyksięcia”, „Niezwykłe przygody Florentyny Dagger”, taka książka, jak „John Halifas, dżentelmen”, była nudna jak flaki z olejem.

Z westchnieniem wziął do ręki ubiegłotygodniowy numer „Marchbolt Weekly Times”.

W parę chwil później dusił przycisk dzwonka przy łóżku z taką gwałtownością, że zmusił pielęgniarkę do klusa.

- Co się stało, panie Jones? Źle się pan poczuł?

- Proszę natychmiast zatelefonować do zamku - zawołał i powiedział lady Frances, że ma się

tu stawić natychmiast.

- Ależ, panie Jones! Nie może pan żądać czegoś takiego.

- Nie mogę? Gdybym tylko mógł wstać z tego przeklętej łóżka, przekonałaby się siostra, czy mogę, czy nie. Ale ponieważ nie mogę, siostra musi to zrobić za mnie.

- Przecież jeszcze nie dojechała na miejsce.

- Nie zna siostra jej Bentleya.

- Na pewno nie skończyła herbaty.

- Posłuchaj, dziewczyno! Nie stój tutaj i nie spieraj się ze mną. Zadzwoń, jak ci mówię. Powiedz jej, że ma tu być natychmiast, bo odkryłem coś bardzo ważnego i muszę jej o tym powiedzieć.

Przekonana, choć nie do końca, pielęgniarka oddaliła się niechętnie. Rozmawiając przez telefon, pozwoliła sobie trochę uzupełnić polecenie Bobby'ego: „Jeżeli to nie sprawi kłopotu lady Frances, pan Jones byłby wielce zobowiązany, gdyby zechciała tu przybyć, ponieważ ma jej coś do przekazania, ale oczywiście, jeżeli sprawiłoby jej to kłopot, niech, broń Boże, nie czuje się zmuszona...”

Lady Frances lakonicznie odpowiedziała, że zaraz będzie.

- Wierzcie mi, ona ma do niego słabość! Tak się sprawy mają! - obwieściła pielęgniarka koleżankom.

Wkrótce zjawiała się Frankie, zelektryzowana do granic możliwości.

- Cóż ma znaczyć to gwałtowne wezwanie? - zażądała wyjaśnień.

Bobby, z wypiekami na twarzy, siedział na łóżku wymachując egzemplarzem „Marchbolt Weekly Times”.

- Spójrz tylko, Frankie!

Frankie spojrzała.

- No, co? - dalej domagała się wyjaśnień.

- To o to zdjęcie ci chodziło, kiedy mówiłaś, że jest retuszowane, ale całkiem podobne do tej Cayman?

Palec Bobby'ego wskazywał nieco zamazaną, fotografię w gazecie. Podpis brzmiał: „Zdjęcie znalezione przy zabitym, które umożliwiło jego identyfikację. Pani Amelia Cayman, siostra ofiary”.

- No właśnie, to jest to zdjęcie. Ale nie widzę tu nic, z czego trzeba by robić aferę.

- Zdjęcie jak zdjęcie.

- Ale powiedziałaś, że...

- Wiem, co powiedziałem. Widzisz Frankie - Bobby przybrał uroczysto-tajemniczy ton - to nie jest to zdjęcie, które znalazłem w kieszeni nieboszczyka!

Spojrzeni po sobie.

- A więc, znaczy to - zaczęła Frankie powoli - że albo był dwie fotografie...

- Co jest niezbyt prawdopodobne... - Albo...

Umilkli.

- Tamten facet... Jak się nazywał? - spytała Frankie.

- Bassington-ffrench!

- To musiał być on!

Zagadka fotografii

Patrzyli po sobie, próbując oswoić się z nową sytuacją.

- To nie mógł być nikt inny. Tylko on miał okazję.

- Chyba że były dwa zdjęcia.

- Zgodzisz się, że to mało prawdopodobne. Gdyby były dwa, skorzystano by z obydwu, poszukując kogoś, kto mógłby zidentyfikować ofiarę.

- Zresztą, możemy to łatwo sprawdzić. Zapytamy na policji. Założmy tymczasem, że było tylko jedno zdjęcie, to, które widziałeś i włożyłeś mu z powrotem do kieszeni. Było tam, gdy odchodziłeś, a nie było go, gdy przybyła policja. Wynika stąd, że jedyną osobą, która mogła je wziąć i podłożyć inne, jest ten Bassington-ffrench. Co to za gość?

Bobby zmarszczył czoło, usiłując sobie przypomnieć szczegóły.

- Taki nieokreślony facet... Miły głos... Dżentelmen i tak dalej - Prawdę mówiąc, nie przyjrzałem się mu dokładnie. Powiedział, że jest nietutejszy, i że rozgląda się za domem.

- Tak czy owak możemy to sprawdzić. Jedyna w okolicy agencja nieruchomości to Wheeler i Owen. - Nagle wzdrygnęła się.

- Bobby, czy przyszło ci do głowy, że to ten Bassington-ffrench mógł zepchnąć biednego Pritcharda?

- To byłoby przykre. Wyglądał tak sympatycznie i miło. Ale posłuchaj, Frankie, nie możemy być pewni, że tamtego zepchnięto.

- Przecież zgadzałeś się ze mną.

- Niezupełnie. Po prostu pozwalałem ci spekulować, trochę dla rozrywki.

- Teraz to już jest prawie pewne. Wszystko pasuje do koncepcji zabójstwa. Twoje niespodziewane pojawienie się pomieszało mordercy szyki. Znalazłeś zdjęcie, a więc trzeba cię było sprzątnąć.

- Jest tu pewien słaby punkt.

- Jaki? Tylko ty widziałeś fotografię. Gdy tylko Bassington-ffrench znalazł się sam na sam ze zmarłym, zamienił zdjęcie, które oglądałeś tylko ty.

Bobby nadal kręcił głową.

- Nie, to nie przejdzie. Załóżmy na chwilę, iż to zdjęcie jest naprawdę takie ważne, że trzeba mnie „sprzątnąć”, jak była łaskawa to określić. Brzmi to nieprawdopodobnie, ale przypuśćmy, że tak jest. W takim razie, należało zrobić ze mną porządek natychmiast. Nie mogli liczyć na to, że pojedę do Londynu i nie zobaczą fotografii w gazecie lokalnej. To był czysty przypadek. Rachunek prawdopodobieństwa wskazywałby na to, że powiem na przesłuchaniu: „To nie jest to zdjęcie, które widziałem”. Dlaczego czekali na zakończenie przesłuchania, które tak gładko poszło?

- Coś w tym jest - przyznała Frankie.

- I jeszcze jedno. Nie dam sobie uciąć głowy, ale mógłbym prawie przysiąc, że Bassington-ffrench nie było, kiedy chowałem zdjęcie z powrotem. Zjawił się jakieś pięć-dziesięć minut później.

- Mógł cię obserwować cały czas.

- Nie bardzo wiem, jak. To miejsce, gdzie siedziałem, j« widoczne tylko z jednego punktu na górze. Dalej urwisko jest przewieszane, więc z góry nie widać jego ścian. Jest tylko jedno miejsce, skąd można zajrzeć w głąb, i kiedy Bassington-ffrench tam się pojawił, usłyszałem go natychmiast. Kroki odbijają się echem od powierzchni morza w dole. Mógł być w pobliżu, ale nie mógł wyglądać zza krawędzi - na to mogę przysiąc.

- A więc, twoim zdaniem, nie wiedział o tym, że widziałeś fotografię?

- Nie mam pojęcia, jak by tego dokonał.

- I nie powinien się obawiać, że go widział, jak to robił, myślę o zabójstwie, bo - jak sam powiedziałaś - nie ma to sensu. Nie utrzymałbyś języka za zębami. A więc chodzi o jeszcze coś innego.

- Tylko co?

- Coś, o czym oni dowiedzieli się dopiero po przesłuchaniu. Właściwie dlaczego powiedziałam „oni”?

- A dlaczego nie? Poza tym Caymanowie też muszą być w to wmieszani. To pewnie jakiś gang. Uwielbiam gangi.

- To objaw złego smaku - powiedziała, myśląc o czym innym. - Morderstwo indywidualne to jest coś. Bobby!

- Co?

- Co powiedział Pritchard... zanim umarł? Pamiętasz, mówiłeś mi o tym przy golfie. Takie dziwne pytanie...

- „Dlaczego nie Evans?”

- Może to jest właśnie to?

- Ale to bez sensu.

- Owszem, tak z pozoru wygląda, ale może być ważne, naprawdę. Bobby, jestem pewna, że to jest właśnie to. O, nie, ale ze mnie idiotka, przecież nie mówiłeś o tym Caymanom, prawda?

- Prawdę mówiąc, powiedziałem - rzekł z wolna.

- Naprawdę?!

- Tak. Napisałem im o tym tego wieczoru. Dodając, oczywiście, że to pewnie nic ważnego.

- A co potem?

- Cayman odpisał, uprzejmie przyznając mi rację, że to nic ważnego i dziękując za fatygę. Zbyt mnie.

- A dwa dni później dostałeś ten list od tajemniczej firmy, Spraszający cię do Ameryki Południowej?

- Tak.

- No tak. Czego jeszcze ci potrzeba? Najpierw spróbowali cię wywabić z kraju. Pokrzyżowałaś ich plany, więc śledzili cię i przy nadarzającej się okazji wsypali ci końską dawkę

morfiny do piwa.

- Czyli Caymanowie naprawdę są w to wmieszani?

- Jasne że są. Po same uszy.

- Taak - rzekł Bobby z namysłem. - Jeżeli twoja koncepcji jest słuszna, muszą brać udział w spisku. A więc według aktualnej hipotezy, sprawa wyglądała następująco. Nieboszczyk, nazwijmy go X, został rozmyślnie zepchnięty w przepaść, prawdopodobnie ręką jakiegoś BF (zbieżność inicjałów nieprzypadkowa). Nie powinien zostać zidentyfikowany, więc do kieszeni włożono mu portret pani C. a zdjęcie nieznaney blondynki usunięto. Wciąż o niej myślę...

- Trzymaj się tematu - Frankie upomniała go surowo.

- Pani C. czeka, aż jej zdjęcie ukaże się w gazetach, zgłasza się jako pogrążona w żalu siostra i identyfikuje zmarłego jako przybysza z dalekich krajów.

- Nie sądzisz, że to jednak mógł być naprawdę jej brat? - W żadnym wypadku. To ludzie z różnych światów. Ten nieboszczyk to był człowiek z klasą, prawdziwy dżentelmen.

- A o Caymanach, nawet przy maksimum dobrej woli, niej można tego powiedzieć?

- Nawet przy maksimum dobrej woli.

- A więc, kiedy już wszystko poszło Caymanom jak po maśle: ciało pomyślnie zidentyfikowane, sąd orzekł o śmierci wskutek nieszczęśliwego wypadku, pojawiaasz się ty i wywracasz wszystko do góry nogami - Frankie zadumała się.

- „Dlaczego nie Evans?” - powtarzał Bobby w zamyśleniu. Wiesz, nie mam pojęcia, co u licha w tym zdaniu mogłoby napędzić komuś stracha?

- Ba, nie rozumiesz go. To tak, jak przy układaniu krzyżówki. Dajesz opisy haseł, które wydają ci się dziecinnie proste i jesteś strasznie zdziwiony, kiedy ludzie nie potrafią odgadnąć ich znaczenia. „Dlaczego nie Evans?” musi mieć dla nich okropnie ważne znaczenie, a nie zdają sobie sprawy z tego, że dla ciebie to puste słowa.

- To świadczy o ich głupocie.

- Pewnie, że tak. Ale mogą też myśleć, że Pritchard powiedział jeszcze coś, co wyleciało ci z głowy, ale może ci się przypomnieć w swoim czasie. Po prostu nie chcieli ryzykować. Było bezpieczniej cię unieszkodliwić.

- Podjęli duże ryzyko. Dlaczego nie zaaranżowali kolejnego „wypadku”?

- O, co to, to nie. To byłaby z ich strony głupota. Dwa wypadki w ciągu tygodnia? To by zasugerowało jakiś związek przyczynowo - skutkowy między nimi, śledztwo mogłoby wrócić do pierwszego. Nie, ich metoda, chociaż prostacka, jest sprytna.

- Ale powiedziałeś przedtem, że niełatwo jest zdobyć morfinę.

- To prawda. Rejestrowane recepty i tak dalej. Tak! To jest jakaś wskazówka. Ktokolwiek to zrobił, musiał mieć ułatwiony dostęp do źródeł morfiny.

- Lekarz, pielęgniarka, aptekarz - poddał Bobby.

- Albo... Pomyślałam o przemytnikach narkotyków.

- To już przesada, nie mnożmy rodzajów przestępstw.

- Popatrz, zaletą tego rozwiązania jest brak widocznego motywu. Nikt nie korzysta na twojej śmierci. Co wtedy myśli policja?

- Że to szaleniectwo. I tak właśnie pomyśleli.

- A widzisz? Dziecinnie proste. Bobby roześmiał się nagle.

- Co cię tak rozbawiło?

- Pomyśl, jacy muszą być rozczarowani i wściekli. Tyle morfiny na marne. Dawka, którą można wysłać na tamten świat Pięć lub sześć osób. A ja żyję i mam się dobrze.

- Oto jeden z przejawów ironii losu - filozoficznie stwierdzić Frankie.

- Pytanie brzmi: co zrobimy teraz?

- O, mnóstwo rzeczy - odparta szybko.

- Na przykład, co?

- No, trzeba dowiedzieć się o zdjęcia, czy były dwa czy jedno. Sprawdzić, czy i gdzie Bassington-ffrench poszukiwał domu.

- Posłuchaj, Frankie, zastanów się. Dam głowę, że Bassington-ffrench należy do tych, których nie da się złapać na głupi błędzie. Okaże się poza wszelkimi podejrzeniami. Będzie czysty jak łąka. Nie tylko nie doszuka się jego związku z zabitym, ale na pewno okaże się, że miał murowany powód, żeby być tutaj. Może i wymyślił sobie to polowanie na dom ad hoc, ale załóż, się, że potem zaczął się tym zajmować naprawdę. Nie mógł się narażać na sytuację typu: „w pobliżu miejsca wypadku widziano tajemniczego przybysza”. Wydaje mi się, że nie posunął się do kłamstwa, Bassington-ffrench to jego prawdziwe nazwisko i że to jeden z takich, co to zawsze są poza wszelkimi podejrzeniami.

- Tak... - Frankie znów się zamyśliła. - Twoja dedukcja jest bez zarzutu. Na pewno nie uda nam się znaleźć żadnych związków Bassington-ffrench z Alexem Pritchardem. W takim razie zastanówmy się, czy wiemy, kim był nieboszczyk...

- I tu zaczyna się problem.

- Sprawa identyfikacji ciała musiała być kluczowa dla Caymanów, stąd ta cała mistyfikacja. To było ryzykowne.

- Zapominasz, że pani Cayman zidentyfikowała ciało prawie natychmiast. Nawet jeżeli były jakieś zdjęcia w gazetach, to ludzie mogliby najwyżej powiedzieć: „Zobacz jak ten Pritchard, co spadł z klifu, jest bardzo podobny do pana X”.

- Tu było z pewnością jeszcze coś. X musiał prowadzić taki tryb życia, że jego nieobecność nie zwraca uwagi. Nie mógł te, być rodzinny typ, którego żona zaraz poleci na policję i zgłosi jego zaginięcie - zauważyła bystro.

- Jeden zero dla ciebie, Frankie. - Musiał właśnie wybierać się za granic? albo dopiero co przyjechać. Był ogorzały, jakby wrócił z polowania na grubego zwierza w Afryce. Zapewne nie miał bliskich krewnych, którzy wiedzieliby, gdzie się podziewa.

- Jesteśmy mistrzami dedukcji. Mam nadzieję, że nasze rozumowanie nie prowadzi w maliny.

- Wszystko możliwe. Ale sądzę, że to, do czego doszliśmy dotychczas, jest solidnie umotywowane. Oczywiście zakładając, że cały ten szaleńczo nieprawdopodobny pomysł jest prawdziwy.

Frankie niedbałym gestem zbyła uwagę o szaleńczym nie - prawdopodobieństwie.

- Najważniejsze, co teraz robić. Wydaje mi się, że możemy uderzyć z trzech stron.

- Proszę, mów dalej, Sherlocku.

- Po pierwsze - ty. Targnęli się na twoje życie. Pewnie spróbują znowu. Musimy zastawić na nich pułapkę. Używając ciebie jako przynęty, rzecz jasna.

- Nie, dziękuję bardzo - rzekł Bobby z pełnym przekonaniem. - Tym razem miałem szczęście, ale następnym mogę się nie wywinąć, zwłaszcza gdyby zechcieli posłużyć się tępym narzędziem. Właśnie postanowiłem bardziej dbać o siebie w przyszłości. Pomysł z przynętą uważam za skreślony.

- Tego się, niestety, obawiałam - westchnęła. - Gdzie ci mężczyźni! Tata twierdzi, że dzisiejsza młodzież lęka się niewygód, niebezpieczeństw i czarnej roboty. Wielka szkoda.

- Wielka szkoda - powtórzył Bobby, ale powtórzył to z pewnością siebie. - Jaki mamy plan alternatywny?

- Wziąć na tapetę zdanie: „Dlaczego nie Evans?”. Przyjmijmy, że nieboszczyk przyjechał tu spotkać się z jakimś Evansem. Gdyby udało nam się znaleźć Evansa...

- Ilu twoim zdaniem Evansów - wtrącił się Bobby - mieszka w Marchbolt?

- Jakieś siedem setek - wyraziła przypuszczenie Frankie.
- Co najmniej! Może tą drogą uda nam się coś osiągnąć, bardzo wątpię.
- Możemy sporządzić listę wszystkich Evansów i pójść tylko do tych, którzy...
- I o co ich pytać?
- No właśnie. Jest pewna trudność.
- Musielibyśmy wiedzieć coś więcej. Wtedy możemy do tej koncepcji. A jaki mamy plan numer trzy?
- Bassington-ffrench. Tu mamy jakiś punkt zaczepienia. Nazwisko jest niespotykane. Zapytam ojca. Zna te wszystkie hrabiowskie rody wraz z odgałęzieniami.
- Dobra. Tu mamy jakieś możliwości.
- A tak w ogóle, to zabieramy się do tego?
- Jasne, że tak. Myślisz, że po to łyknąłem pół grama morfiny, aby teraz spocząć na laurach?
- Duch bojowy w narodzie nie upada.
- A poza tym muszę zmyć hańbę płukania żołądka.
- Koniec tego tematu. Jeżeli cię nie powstrzymam, znów zaczniesz babrać w tych fizjologicznych detalach.
- Nie ma w tobie ani krzty prawdziwie kobiecego współczucia.

Pan Bassington-ffrench

Frankie bez zwłoki zabrała się do dzieła. Jeszcze tego wieczoru przypuściła atak na ojca.

- Ojczy - spytała - czy znasz Bassington-ffrenchów?

Lord Marchington, zagłębiony akurat w lekturze artykułu o polityce, puścił pytanie mimo uszu.

- Nie tyle Francuzi, ile Amerykanie - wygłaszał surowo. - Te ich idiotyzmy, konferencje, marnowanie państwowych pieniędzy i czasu...

Frankie poczekała, dopóki lord Marchington, jak toczący się utartym torem pociąg, nie dojedzie do przystanku, i ponowiła pytanie.

- Bassington-ffrenchowie? A co z nimi?

Frankie nie wiedziała, co z nimi. Zaryzykowała jednak, wiedząc, że jej ojciec pasjami lubi się sprzeciwiać:

- Są z Yorkshire, prawda, tato?

- Nonsens, z Hampshire. Jest jeszcze, oczywiście, gałąź shropshirska, no i irlandzka. Których znasz?

- Nie jestem pewna - odparła Frankie, godząc się na zarzut, że zadaje się z nieznajomymi.

- Nie jesteś pewna? Co to ma znaczyć? Musisz być pewna.

- Ludzie tak często się dzisiaj przenoszą, to tu, to tam - usprawiedliwiała się.

- Przenoszą się, przenoszą, tylko tym się zajmują. Za moich czasów pytało się człowieka: skąd jesteś? - i już się wiedziało, kto zacz. Ten mówi, że jest z gałęzi z Hampshire - i jesteśmy w domu. Jego babka wyszła za mojego kuzyna drugiego stop nią. To tworzy mocne więzi.

- To były piękne dni - stwierdziła Frankie - ale dziś naprawdę nie ma czasu na genealogiczne czy geograficzne poszukiwania.

- Oczywiście, na nic nie macie dziś czasu, tylko na sączenie tych trujących koktajli.

Lord Marchington wydał bolesny jęk, uraziwszy się w podagryczną nogę, której stan nie uległ poprawie, pomimo kuracji polegającej na regularnym przyjmowaniu sporych dawek starego porto z rodzinnej piwniczki.

- Czy powodzi im się dobrze?

- Bassington-ffrenchom? Nie potrafię powiedzieć. Gałąź ze Shropshire miała poważne kłopoty, z tego co wiem. Jakieś podatki spadkowe do zapłacenia, czy coś takiego. Jeden a gałęzi hampshirskiej ożenił się z jakąś milionerką. Amerykanką.

- Któryś z nich był tutaj parę dni temu. Zdaje się, że poszukiwał domu do kupna.

- Idiotyczny pomysł. Po co komu dom w tej dziurze?

To jest pytanie, pomyślała. Nazajutrz wkroczyła do biura panów Wheelera i Owena, Pośrednictwo w Handlu Nieruchomościami. Pan Owen we własnej osobie wstał, aby ją powitać. Frankie uśmiechnęła się wdzięcznie i spoczęła na krześle, które jej podsunął.

- Cóż panią do nas sprowadza, lady Frances? W czym moglibyśmy być pomocni? Nie zamierza chyba pani sprzedać zamku? Ha, ha, ha! - Własny dowcip bardzo rozśmieszył Owena.

- Żałuję, chętnie bym go sprzedała. A przychodzę w następującej sprawie: kilka dni temu był u

panów mój znajomy. Bassington-ffrench. Szukał domu.

- Ach, oczywiście, tak. Pamiętam świetnie. Dwa „f” w nazwisku.

- No właśnie.

- Chciał kupić jakąś niewielką posiadłość. Musiał wracać następnego dnia, więc mógł obejrzeć tylko parę domów, ale zdaje się, że za bardzo się mu nie spieszy. Po jego wyjeździe zgłoszono mi jedną czy dwie interesujące nieruchomości, więc napisałem do niego. Nie otrzymałem dotąd odpowiedzi.

- Pisał pan do Londynu, czy do... ee... na jego wiejski adres?

- Zaraz... niech sprawdzę. - Zawołał pomocnika. - Frank, znajdź mi adres pana Bassington-ffrench.

- Wielmożny pan Roger Bassington-ffrench, Merroway Court, Staverley, Hants - płynnie przeczytał pomocnik.

- Ojej, więc to nie był mój znajomy. To pewnie jego kuzyn. A już myślałam: był tu i nie zajrzał do nas.

- Tak, tak - ze zrozumieniem pokiwał głową pośrednik.

- Kiedy on był u pana? We środę?

- Tak jest. Tuż przed zamknięciem, o szóstej trzydziści. Pamiętam dobrze, bo to było tego samego dnia, kiedy wydarzył się ten smutny wypadek. Ten człowiek spadł z urwiska. To właśnie pan Bassington-ffrench pilnował zwłok, dopóki nie przyszła policja. Był jeszcze tym rozstrojony, kiedy tu przyszedł. Co za nieszczęście! Najwyższy czas, żeby władze coś zrobiły z tą ścieżką. Moim zdaniem, lady Frances, radzie miejskiej należą się cięgi. Bardzo niebezpieczne miejsce. To cud, że nie zdarzyło się tam więcej wypadków.

- Prawdziwy cud - przyznała mu rację.

Wyszła z biura zamyślona. Tak jak spodziewał się Bobby, Wszystkie działania Bassington-ffrencha były czyste i najzupełniej legalne. Należał do hampshirskiej linii Bassington-ffrenchów, podał swój właściwy adres, nie ukrywał przed pośrednikiem swojego udziału w tragedii. Więc może pan Bassington-ffrench jest rzeczywiście całkowicie niewinny, skoro wszystko na to wskazuje?

Frankie ogarnęły wątpliwości. Uporała się z nimi jednak. Powiedziała sobie: człowiek, który chce kupić dom, przyjeżdża rano albo zostaje na drugi dzień. Nie idzie się do agencji pośrednictwa o wpół do siódmej po południu, kiedy właśnie zamykają, i nie wyjeżdża nazajutrz rano. Po co w ogóle w razie podróz? Dlaczego po prostu nie list? Taak. Bassington-ffrench należy do grona podejrzanych.

Następnie Frankie udała się na posterunek policji. Inspektor Williams był jej starym znajomym. Udało mu się kiedyś zdemaskować pokojówkę, która najęła się do pracy, posługując się fałszywymi

referencjami, i ulotniła z częścią biżuterii Frankie.

- Dzień dobry, inspektorze.

- Dzień dobry, wasza lordowska mość. Mam nadzieję, że złego się nie stało.

- Jak dotąd nie, ale chyba wkrótce będę musiała zrobić pad na bank, bo zaczyna mi brakować pieniędzy.

Inspektor roześmiał się tubalnie, uznając to za świetny:

- W zasadzie przyszedłam tu zadać panu parę pytań z czystej ciekawości.

- Ach, tak?

- Niech mi pan powie, inspektorze, czy ten człowiek, który spadł w przepaść, Pritchard, czy jak mu tam...

- Tak jest, Pritchard.

- ...miał przy sobie tylko jedno zdjęcie? Ktoś mi mówił, miał ich trzy!

- Tylko jedno. Zdjęcie siostry. Przyjechała tu i zidentyfikowała zwłoki.

- Co za bzdury opowiadają o trzech zdjęciach!

- Ach, to proste, lady Frances. Ci dziennikarze przesadzają bez opamiętania i myślą się nie rzadziej niż co drugi raz.

- Wiem - potwierdziła Frankie. - Słyszałam już niestworzone historie. - Przerwała, po czym dała upust fantazji. - władają, że kieszenie miał wypchane dokumentami dowodząc mi, że był bolszewickim agentem, czy też narkotykami, i w dodatku, że miał przy sobie masę fałszywych banknotów. Inspektor roześmiał się z całego serca.

- A to dobry dowcip!

- Naprawdę to myślę, że miał przy sobie zwyczajne rzeczy.

- A i tego niewiele. Chusteczka do nosa, bez inicjałów. Trochę drobnych, paczka papierosów, kilka banknotów luzem, bez portfela. Żadnych listów. Mielibyśmy kłopot z identyfikacją, gdyby nie to zdjęcie. Można powiedzieć, że spadło nam z nieba.

- Kto wie - rzekła Frankie. Zwrot „spadło z nieba” był, jej zdaniem, dziwnie nie na miejscu. Zmieniła temat.

- Wczoraj odwiedziłam pana Jonesa, syna naszego pastora. Tego, którego próbowano otruć. Cóż to za historia!

- Tak, musi pani przyznać, że to rzeczywiście nadzwyczajna sprawa. Nigdy jeszcze o czymś takim nie słyszałem. Spokojny młody dżentelmen, żadnych kłopotów, żadnych wrogów, a tu - masz. Wie pani, lady Frances, tylu dziwaków krąży wokół nas. Ale z drugiej strony, nie słyszałem jeszcze o mordercy - szaleńcu, który działałby w ten sposób.

- Czy są jakieś wskazówki co do sprawcy? - Frankie była jednym wielkim pytaniem. - Słucha się pana z takim zainteresowaniem - dodała.

Inspektor aż spuchł z ukontentowania. Konwersacja z córką takiego arystokraty jak lord Marchington to był dla niego zaszczyt. A na dodatek rozmówczyni nie była ani sztywna, ani wyniosła.

- W okolicy widziano samochód - poinformował ją. - Ciemnoniebieski talbot z numerem rejestracyjnym GG 8282, zdążający do St. Botolph's.

- Co pan o tym sądzi?

- GG 8282 to numer samochodu biskupa z Botolph's.

Frankie zabawiała się przez chwilę koncepcją: biskup-morderca, który składa ofiary z synów swoich księży, ale z westchnieniem zrezygnowała z niej.

- Biskup chyba nie jest podejrzany?

- Stwierdziliśmy, że samochód jego eminencji nie opuszczał w tym dniu garażu.

- Czyli fałszywe tablice?

- Tak. Śledztwo posuwa się naprzód.

Przyoblekwszy twarz w pełną podziwu minę, Frankie opuściła posterunek. Oszczędziła inspektorowi krytycznych uwag, pomyślała, że ciemnoniebieskich talbotów musi być w sporo.

Po powrocie do domu wzięła książkę telefoniczną Marchbolt z biblioteki i zaniósła do swojego pokoju. Studiowała ją godzin. Rezultat nie był zachęcający. Znalazła czterystu osiemdziesięciu dwóch Evansów.

- Cholera! - wyrwało się jej. Zaczęła snuć plan dalszej akcji.

Planowanie kraksy

Tydzień później Bobby dołączył do Badgera w Londynie. Od Frankie otrzymał kilka lakonicznych listów, w większości nabazgranych tak, że trzeba było zgadywać, o co jej chodzi. Ich ogólna wymowa była następująca: Frankie ma plan działania, a on (Bobby) ma spokojnie czekać na

znak od niej. Było mu to na rękę, ponieważ nie narzekał na nadmiar wolnego czasu. Badgerowi udało się z rzadką maestrią wplątać siebie i swoje przedsięwzięcie w takie kłopoty, że Bobby miał pełne ręce roboty z wyciąganiem przyjaciela z potwornego bigosu, w jaki się wpakował.

Po doświadczeniu z pół gramem morfiny Bobby zaczął bardzo uważać. Sprawdzał podejrzliwie wszystko, co jadł i pił, a ponadto wziął ze sobą swój pistolet z czasów służby w marynarce, którego posiadanie uważał dotąd za zbędny kłopot.

Już zaczynał powoli uważać całą rzecz za wytwór mrocznej wyobraźni Frankie, kiedy pewnego dnia zielony bentley pojawił się z pomrukiem silnika na ulicy Mews i zatrzymał przed warsztatem. Bobby w poplamionym smarami kombinezonie wyszedł na powitanie. Frankie siedziała za kierownicą, a jej pasażerem był ponury młodzian.

- Cześć, Bobby - przywitała się. - Przedstawiam ci George'a Arbuthnota. Jest lekarzem, będziemy go potrzebować.

Przez oblicze Bobby'ego przemknął lekki grymas, kiedy zdawkowo witali się z doktorem.

- Jesteś przekonana, że będzie nam potrzebny lekarz? Czyżbyś była taką pesymistką? - spytał na boku.

- Nie o to chodzi. Potrzebujemy go do realizacji planu, który ułożyłam. Słuchaj, czy tu można gdzieś usiąść i porozmawiać?

Bobby rozejrzał się wokół. - Bo ja wiem... Chyba w moim pokoju.

- Świetnie - ucieszyła się Frankie.

Wysiadła z samochodu i oboje, wraz z George'em Arbuthnotem, podążyli za Bobbym po schodkach. Weszli do malej sypialni.

- Nie jestem pewien - powiedział Bobby, rozglądając z powątpiewaniem - czy jest tu na czym usiąść.

W rzeczy samej - nie było na czym. Jedyne krzesło było rzucone garderobą Bobby'ego, najwidoczniej całą, jaką posiadał.

- Może być łóżko - stwierdziła Frankie.

Opadła na nie. W jej ślady poszedł George Arbuthnot. Sprężyny odpowiedziały jękiem protestu.

- Wszystko ułożyłam - zaczęła Frankie. - Na początek potrzebuję wozu. Może być któryś z waszych.

- Mam rozumieć, że chcesz kupić któreś z naszych aut?

- Tak.

- To bardzo miło z twojej strony, Frankie - z ciepłą wdzięcznością w głosie odparł Bobby - ale wcale nie musisz. Istnie pewne granice naciągania znajomych. Nie należy ich przekraczać i ja tego przestrzegam.

- Nic nie rozumiesz. To nie to. Wiem, co masz na myśli - kupowanie jakichś koszmarnych ciuchów czy kapeluszy przyjaciółki, która właśnie otworzyła sklep. Nie ma się ochoty, ale trzeba to zrobić. Nie, mnie nie chodzi o coś takiego, prawdę potrzebny mi samochód.

- A co z bentleyem?

- Bentley jest do niczego.

- Oszalałaś! - oświadczył Bobby.

- Skąd, jestem przy zdrowych zmysłach. Bentley nie nadaje się do naszych celów.

- To znaczy?

- Do skraksowania go.

Bobby jęknął i przyłożył dłoń do czoła.

- Chyba nie czuję się dziś najlepiej.

George Arbuthnot przemówił po raz pierwszy. Głos miał głęboki i melancholijny.

- Frankie chciała powiedzieć, że będzie miała wypadek.

- A skąd wie o tym? - ożywił się Bobby. Frankie westchnęła z rezygnacją.

- Coś mi się zdaje, że nie możemy dojść do porozumienia - powiedziała. - Teraz posłuchaj spokojnie, Bobby, wysil swe nieliczne szare komórki i postaraj się pojąć, co mam do powiedzenia. Nie powinno to przekraczać pułapu twojego intelektu, jeżeli, oczywiście, skupisz się na tym, co mówię.

Po chwili przerwy podjęła:

- Tropię Bassington-ffrencha.

- Słucham, słucham.

- Ten Bassington-ffrench, o którego nam chodzi, mieszka w rezydencji Merroway Court opodal osady Staverley w Hampshire. Merroway Court jest własnością jego brata. Nasz Bassington-ffrench mieszka tam razem z nim i żoną.

- Czyją żoną?

- Brata, rzecz jasna. Zresztą nieważne. Ważne jest, jak się tam wślizgnąć. Albo ty, albo ja, albo my oboje. Byłam tam i zrobiłam rozpoznanie terenu. Staverley to miścinka. Każdy przybysz wystaje z tłumu jak bolący palec. Tam się nie ma gdzie ukryć. Musiałam więc wypracować plan gry. Oto, co się wydarzy: lady Frances Derwent, prowadząc auto z nadmierną prędkością, nieadekwatną do jej umiejętności, kraksuje się na murze otaczającym Merroway Court. Samochód rozbity w drobny mak, lady Frances w niewiele lepszym stanie. Trzeba ją przenieść do domu, gdzie musi koniecznie pozostać czas jakiś i kurować się ze wstrząsu mózgu i ogólnego szoku.

- Kto jej to zaleci?

- George. Widzisz już, gdzie zaczyna się rola George'a. Nie możemy ryzykować, że jakiś miejscowy lekarz się zorientuje, że nic mi nie jest, albo jakiś nadgorliwiec, widząc mnie leżącą ducha, zapakuje mnie do pobliskiego szpitala. Nie możemy tego dopuścić. Dalszy ciąg będzie następujący: Doktor Arbuthnot, który zupełnym przypadkiem właśnie przejeżdża swoim samochodem (będziesz nam musiał sprzedać jeszcze jedno auto), jest świadkiem wypadku i udziela mi pierwszej pomocy. - Jestem lekarzem, proszę się odsunąć - mówi, oczywiście, jeżeli będzie jakakolwiek namiastka tłumu gapiów. - Trzeba zaraz zabrać pod dach. Jak się nazywa ta posiadłość, Merroway Court? Muszę natychmiast dokładnie zbadać poszkodowaną.

I wtedy zanoszą mnie do gościnnego pokoju, Bassington-ffrenchowie są albo współczujący, albo opierają się z lekka, ale nie mają innego wyjścia, George jest górą. Przeprowadza badanie i wychodzi z orzeczeniem. Na szczęście sprawa nie jest tak groźna, jak mogłoby to wyglądać. Nie ma złamań, ale jest podejrzenie wstrząsu mózgu. Pod żadnym pozorem nie można mnie stąd zabierać przed upływem dwóch lub trzech dni, potem będę w stanie wrócić do Londynu. George wyjeżdża, a staram się przypodobać gospodarzom.

- A jaka jest moja rola? - zaniepokoił się Bobby.

- Żadna.

- Ależ Frankie, posłuchaj...

- Mój drogi, musisz pamiętać, że Bassington-ffrench może cię poznać. Mnie natomiast nie widział na oczy. A poza mam strasznie mocną pozycję: jestem arystokratką. Widzisz jak to się przydaje. Nie jestem byle jaką młodą kobietą, starają ca się dostać do domu w nie wiadomo jakim celu. Jestem córką lorda, należy mi się szacunek. A George jest naprawdę lekarzem, więc jesteśmy poza wszelkimi podejrzeniami.

- Hm, mam nadzieję, że to się uda.

- Uważam mój plan za genialny - rzekła Frankie bez fałszywej skromności.

- A dla mnie nie ma nic do zrobienia? - Bobby czuł się zraniony jak pies, któremu niespodziewanie odebrano kość. Przecież tę zbrodnię uważał za swoją własność, a wyrzucono go

poza nawias wydarzeń.

- Oczywiście, że jest. Będziesz zapuszczał wąsy.

- Zapuszczał wąsy???

- Tak. Ile ci to zajmie?

- Myślę, że ze dwa-trzy tygodnie.

- Wielkie nieba! Nie sądziłam, że to tak czasochłonny proces! Czy nie dałoby się jakoś tego przyspieszyć?

- Nie sądzę. Może założę sztuczne?

- Sztuczne nigdy nie wyglądają dobrze. Przekrzywiają się, odpadają albo śmierdzą klejem kauczukowym. Zaraz, czekaj, zdaje się, że charakteryzatory teatralni potrafią zrobić takie specjalne, co to przykleja się oddzielnie każdy włos, zupełnie nie do odróżnienia. Zgłoś się do teatru.

- Pomyślą, że próbuję ujść karzącej ręce sprawiedliwości.

- A niech sobie myślą, co chcą.

- Jak już będą te wąsy, to co mam robić?

- Założyć uniform szofera i przyprowadzić bentleya do Staverley.

- Aha! - Bobby rozpromienił się.

- Widzisz, mój pomysł opiera się na założeniu, że nikt nie patrzy na szofera jak na osobę. A poza rym, Bassington-ffrench widział cię tylko przez chwilę, i to wtedy, kiedy zastanawiał się, jak zamienić zdjęcia, więc nie w głowie mu było przyglądać ci się. Dla niego jesteś po prostu jakimś durniem z kijem golfowym w ręku. Z Caymanami byłoby co innego, siedzieli naprzeciwko ciebie i wnikliwie obserwowali w trakcie rozmowy. A Bassington-ffrench nie rozpozna cię w uniformie szofera, nawet bez wąsów. Może pomyśleć, że mu kogoś przypominasz, ale nic ponadto. Z wąsami będziesz całkowicie bezpieczny. No i co myślisz o moim planie?

Bobby chwilę analizował go w myślach.

- Prawdę mówiąc, Frankie - powiedział wspaniałomyślnie uważam, że jest całkiem niezły.

- W takim razie - zawołała Frankie ochoczo - chodźmy być parę wozów. O! Zdaje się, że twoje łóżko zarwało się George'em.

- Proszę się nie przejmować - rzekł Bobby uprzejmie - łóżko nigdy nie było za wygodne.

Zeszli do garażu, gdzie chłopak o nerwowych ruchach, dziwnie uformowanym podbródku i

miłym uśmiechu przywitał ich bełkotliwym „dziń, dziń, dziń!”. Drobnym mankamentem jego urody były oczy, które miały dziwną, acz wyraźną skłonność do patrzenia każde w innym kierunku.

- Hej, Badger - powiedział Bobby - pamiętasz Frankie, prawda?

Badger bez wątpienia nie pamiętał, ale uprzejmie powlec „dziń, dziń, dziń!” jeszcze raz.

- Kiedy cię ostatnio widziałam - rzekła Frankie - tkwiłeś głową w błocie i musieliśmy cię wyciągać za nogi.

- Na...na...naprawdę? Tttto mu...musiało chyba być w Wal... Wal...Walii.

- Masz całkowitą rację, to było w Walii.

- Za...wsze by...byłem beznadziejnym jeźdźcem - rzekł Badger. - Prawdę mówiąc na...na...nadal jestem - uzupełnił ponuro.

- Frankie chce kupić samochód - zdradził Bobby.

- Dwa samochody - sprostowała. - George też potrzebuje jeden, a jego własny jest właśnie rozbity.

- Możemy mu jakiś wypożyczyć - zaproponował Bobby.

- D...d...dobrze. Chodźmy zo...zobaczyć, co jest na składzie - rzekł Badger.

- Wyglądają elegancko - stwierdziła Frankie, nieco oślepli na krzyczącymi odcieniami szkarłatu i jaskrawej zieleni.

- Wyglądają - rzekł Bobby smętnie.

- T...ten używany chrysler tt...tto znakomita okazja - zachęcał Badger.

- Nie, tylko nie ten - zaoponował Bobby. - Jej potrzebny samochód, który przejedzie jeszcze przynajmniej czterdzieści mil.

Badger posłał współnikowi spojrzenie pełne wyrzutu.

- Ten standard jest już na ostatnich nogach - głośno zastanawiał się Bobby - ale powinien was dowieźć na miejsce. Tamten essex jest trochę za dobry do naszych celów. Przejedzie jeszcze przynajmniej dwieście, zanim się rozleci.

- Dobra - zdecydowała Frankie. - Biorę standarda. Badger odciągnął współnika nieco na stronę.

- Ii...ile we...we...weźmiemy? Nnnie chciałbym zanadto naciągnąć twoich znajomych. D...d...dziesięć funtów?

- Może być dziesięć funtów - wtrąciła się do dyskusji Frankie. - Płacę na miejscu.

- Kim ona jest? - teatralnym szeptem spytał Badger. Bobby odszepnął.

- Ppierwszy raz widzę kogoś z a...ary...arystokracji, kto płaci gg...go...gootówką - oznajmił z szacunkiem.

Bobby odprowadził dwójkę do bentleya.

- Kiedy zaczynacie cały ten interes? - zapytał.

- Im prędzej, tym lepiej - odparła Frankie. - Zamierzamy rozpocząć jutro po południu.

- Posłuchaj, a nie możecie wziąć mnie z sobą? Przykleję sobie brodę, jeśli chcesz.

- Tylko nie brodę! Broda zrujnowałaby cały plan, odpadając w najmniej spodziewanym momencie. Ale dlaczego nie mógłbyś być motocyklistą w pilotce i goglach? Co o tym sądzisz, George?

George Arbuthnot przemówił po raz drugi:

- W porządku. Im nas więcej, tym weselej.

Głos miał jeszcze bardziej melancholijny niż poprzednio.

Wielka kraksa

Spotkanie grupy do zadań specjalnych wyznaczono przy zjeździe z szosy prowadzącej do Andover, w kierunku Staverley, o jakąś milę od samego miasteczka. Wszyscy troje przybyli bez szwanku, chociaż w standardzie Frankie przed każdym pagórkiem występowały niewątpliwe objawy zajeżdżenia na śmierć. Czas spotkania wyznaczono na godzinę pierwszą południu.

- Nie chcę, żeby nam ktoś przeszkadzał, gdy będziemy przygotowywać przedstawienie - mówiła Frankie. - Zdaje mi się, prawie nikt tamtędy nie jeździ, a w porze lunchu powinna być całkowita pustynia.

Podjechali pół mili drogą na Staverley i tam Frankie pokazała im miejsce, które wybrała.

- Moim zdaniem ta lokalizacja jest idealna - rzekła. - Droga prowadzi prosto w dół ze wzgórza, a dalej, jak widzicie, zakręca raptownie, omijając występ muru. To mur Merroway Court. Jeżeli uruchomimy wóz i puścimy go w dół, rąbnie w mur i powinien się porządnie rozwalić.

- To dobry pomysł - zgodził się Bobby - ale ktoś musi obserwować drogę za zakrętem, żeby

sprawdzić, czy nikogo widać z przeciwka.

- Racja. Nie chcemy, by ktoś przy okazji został skrzywdzony czy okaleczony na całe życie. George tam pojedzie i zakręci, jakby jechał z przeciwka. Gdy da znak chusteczką, będzie to znaczyło, że droga jest wolna.

- Jesteś bardzo blada, Frankie - zatroskał się Bobby. - Na pewno dobrze się czujesz?

- To charakteryzacja - wyjaśniła. - Objawy wstrząsu mózgu. Nie mogę się przecież pokazać z policzkami tryskającymi zdrowiem.

- Kobiety są genialne - zauważył Bobby z podziwem. - Wyglądasz zupełnie jak chora małpka.

- Z przykrością stwierdzam, że jesteś katastrofalnie wychowany. No, dobrze, teraz idę obserwować bramę Merroway Court, to tam, za rogiem. Całe szczęście, że przy bramie nie ma domku stróża. Kiedy George da znak chusteczką, a ja swoją - ruszaj.

- W porządku. Zostanę w samochodzie i będę starał się kierować tak długo, jak tylko się da. Gdy wóz się rozpędzi - wyskoczę.

- Nie zrób sobie krzywdy - przestrzegła Frankie.

- Będę uważał. Prawdziwy wypadek w miejsce sfingowanego bardzo by skomplikował nasz plan.

- Dobrze, zapalaj, George - zakomenderowała Frankie.

George przytaknął, wskoczył do drugiego samochodu i zaczął powoli zjeżdżać ze wzgórza. Bobby i Frankie stali i patrzyli za nim.

- Będiesz na siebie uważać, dobrze, Frankie? - z nagłą szorstkością w głosie odezwał się Bobby. - Nie wpakuj się w jakąś kabałę.

- Nic mi się nie stanie. Pełna ostrożność. A propos, lepiej nie będę pisała do ciebie bezpośrednio. Napiszę do George'a albo do mojej pokojówki, albo jeszcze do kogoś, kto ci przekaże wiadomości.

- Dobrze. Co do George'a wątpię, czy będzie dobrym lekarzem.

- Dlaczego?

- Widzisz, zdaje mi się, że brak mu gawędziarskiej swady, tak użytecznej w tej profesji, zwłaszcza przy łóżku chorego.

- To przyjdzie z czasem. No, a teraz muszę już zaczynać. Dam ci znać, kiedy masz przyprowadzić bentleya.

- Będę zajęty hodowaniem wąsów. Na razie, Frankie. Spojrzeli po sobie i Frankie, kiwnąwszy mu głową, zaczęli schodzić ze wzgórza. George tymczasem zawrócił samochód i objechał występ muru. Frankie znikła na chwilę i pojawiła znów, powiewając chusteczką. Druga chusteczka pokazała na zakręcie drogi.

Bobby stojąc na bocznym stopniu wrzucił trójkę i zwolnił hamulec ręczny. Samochód potoczył się z góry, szarpiąc i podskakując na biegu. Stok był jednak wystarczająco stromy. Silnik zaskoczył. Samochód nabierał tempa. Bobby ustawił kierownicę i w ostatnim momencie wyskoczył.

Wóz toczył się dalej i w końcu z dużą siłą uderzył w mur rozbijając się z łomotem. Wszystko poszło dobrze - wypadek udał się nad podziw.

Bobby ujrzał Frankie biegnącą szybko na miejsce przestępstwa i rzucającą się do wraku. Zza zakrętu wychynał samochód George'a i podjechał tam, gdzie się zdarzył wypadek.

Bobby z westchnieniem ulgi wsiadł na motor i odjechał w kierunku Londynu.

Na miejscu katastrofy sprawy toczyły się szybko.

- Czy mam się trochę poturlać po drodze, żeby się ubrudzić? - zapytała Frankie.

- To nawet niezły pomysł. O, daj mi swój kapelusz - polecił George.

Wziął go i brutalnie zgniótł. Frankie krzyknęła boleśnie.

- Tu mamy twój wstrząs mózgu - wyjaśnił. - Teraz leż jak trusia, tu gdzie jesteś. Zdaje się, że słyszę dzwonek roweru.

W tym właśnie momencie zza zakrętu wyjechał pogwizdując wesoło chłopak lat około siedemnastu. Zatrzymał się jak wmurowany, rozkoszując oczy niespodziewanym widokiem.

- O, rany! - wykrzyknął.. - Wypadek?

- Nie - odparł George z sarkazmem - ta młoda dama zrobiła to specjalnie.

Przyjmując to - jak można się było spodziewać - za drwinę, choć było najczystsza prawdą, chłopak powiedział z widocznym upodobaniem:

- Nieźle rąbnęła, no nie? Trup?

- Jeszcze żyje, ale natychmiast trzeba ją gdzieś przenieść. Jestem lekarzem. Co to za miejsce?

- Merroway Court, własność pana Bassington-ffrench. To sędzia pokoju.

- Zaniesiemy ją tam - stwierdził George autorytatywnie. - Zostaw tu rower i pomóż mi.

Chłopakowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Oparł rower o mur i pospieszył z

pomocą. Nieśli Frankie podjazdem do ładnego, na oko staroświeckiego pałacyku.

Zbliżających się musiano zauważyć od razu, bo wyszedł im na spotkanie starszy kamerdyner.

- Miał tu miejsce wypadek - oznajmił zwięźle George. - Czy znajdzie się jakiś pokój, dokąd mógłbym zanieść tę damę? Natychmiast trzeba jej udzielić pierwszej pomocy.

Kamerdyner cofnął się do holu w widocznym pośpiechu. George i chłopak postępowali tuż za nim, dźwigając bezwładne ciało Frankie. Kamerdyner wszedł do pokoju po lewej stronie i wyłonił się z niego z jakąś kobietą. Była wysoka, ruda, około trzydziestki. Miała duże jasnobłękitne oczy.

Energicznie zarządziła:

- Jest wolna sypialnia na parterze. Zanieście ją tam. Czy mam zadzwonić po lekarza?

- Ja jestem lekarzem - wyjaśnił George. - Właśnie przejeżdżałem мимо i widziałem, jak to się stało.

- Och, szczęście w nieszczęściu. Proszę tędy. Zaprowadziła ich do przyjemnej sypialni z oknami wychodzącymi na ogród.

- Czy jest poważnie ranna?

- Jeszcze nic nie mogę powiedzieć.

Pani Bassington-french zrozumiała, co doktor miał myśli, i wycofała się z pokoju. Chłopak poszedł za nią i z ożywieniem zaczął opowiadać o wypadku tak, jakby sam przy tym był.

- Rozwaliła się o mur. Cały samochód w drobiazgi. Leżała bez życia, kapelusz pognieciony. Ten pan właśnie przejeżdżał...

Gadał bez przerwy i poszedł dopiero gdy dostał półkoronówkę.

Tymczasem Frankie i George rozmawiali ostrożnym szeptem.

- George, mój drogi, mam nadzieję, że to nie zrujnuje ci kariery. Możesz mieć kłopoty z izbą lekarską.

- Pewnie tak, gdyby rzecz wyszła na jaw - stwierdził ponuro.

- Nic się nie wyda. Nie przejmuj się, George. Nie pozwól żebyś miał nieprzyjemności. - Po namyśle dodała: - Była świetny. Nigdy cię nie słyszałam mówiącego tak wiele.

George westchnął i spojrzał na zegarek.

- Badanie musi potrwać jeszcze ze trzy minuty.

- Co z samochodem?

- Załatwię, żeby go zabrano.

- Dobrze.

George śledził wskazówki. Wreszcie rzekł z ulgą.

- No, już czas.

- George - powiedziała Frankie - jesteś aniołem. Nie wiem, czemu tyle dla mnie zrobiłeś.

- Prawdę mówiąc, ja też nie wiem. To przecież idiotyzm. Skinął jej głową.

- Cześć. Baw się dobrze.

- Zastanawiam się, czy mi się uda.

Myślała o gospodyni, o jej chłodnym bezosobowym głos z lekkim akcentem amerykańskim.

George poszedł szukać jego właścicielki i znalazł ją w salonie.

- Stwierdzam, że stan jest lepszy, niż można by się spodziewać - oznajmił rzeczowo. - Nieznaczny wstrząs mózgu, właściwie już mija. Powinna pozostać tu na miejscu, w spokoju, przez dzień lub dwa. - Po chwili dodał: - Ta pani to lady Frances Derwent.

- A to dopiero! - ucieszyła się pani Bassington-french. - To znaczy, że znam jej kuzynów, Draycottów, i to całkiem dobrze.

- Obawiam się, że jej pobyt może stanowić dla państwa kłopot, ale z medycznego punktu widzenia powinna tu zostać kilka dni... - tu George przerwał.

- Ależ to żaden kłopot. Postaramy się jej zapewnić spokój, doktorze...

- Arbuthnot. Zajmę się również samochodem, będę przejeżdżał koło warsztatu.

- Wielkie dzięki, doktorze Arbuthnot. Jakie to szczęście, że akurat pan tędy jechał. Jutro wezwę do niej lekarza, żeby sprawdził, czy jest poprawa.

- To nie będzie konieczne - zapewnił ją George. - Potrzeba jej tylko spokoju.

- Ale to ją uspokoi. Poza tym muszę zawiadomić jej rodzinę.

- Ja się tym zajmę. A jeżeli idzie o lekarza, wie pani, wygląda na to, że ona należy do sekty uznającej, że wszelkie niedomagania należy zwalczać jedynie wiarą. Kiedy się ocknęła, nie była zachwycona widząc, że ją badam. Za żadną cenę nie zgodzi się na lekarza.

- Coś takiego!

- Ale proszę się nie martwić. Nic jej nie będzie - uspokoił ją George. - Ma pani moje słowo.

- Jeśli naprawdę pan tak uważa, doktorze Arbuthnot... - Powiedziała z powątpiewaniem.

- Jestem pewien - rzekł George. - O, do licha, zostawiłem w pokoju jeden z moich instrumentów.

Wrócił do sypialni i przypadł do łóżka Frankie.

- Słuchaj - szepnął - wierzysz tylko w uzdrawianie wiarą, rozumiesz?

- Ale o co chodzi?

- Nie chcesz lekarza, nie zapomnisz?

- W porządku. Nie zapomnę.

W jaskini lwa

A więc jestem tu, w samej jaskini lwa, pomyślała Frankie. Teraz wszystko zależy ode mnie.

Rozległo się pukanie do drzwi i wkroczyła pani Bassington-ffrench. Frankie uniosła się nieco na poduszkach.

- Tak niezmiernie mi przykro - zaczęła słabym głosem - że sprawiam państwu tyle kłopotu.

- Ależ skąd! - znów ten chłodny, przyjemny głos, przeciągający samogłoski, lekki akcent amerykański. Frankie przypomniawszy sobie, że ojciec wspominał, iż jeden z Bassington-ffrenchów z gałęzi hampshirskiej ożenił się z Amerykanką, dziedziczką wielkiej fortuny. - Doktor Arbuthnot twierdzi, że wszystko będzie dobrze, potrzeba pani tylko paru dni spokoju.

Frankie wydawało się, że powinna teraz wspomnieć o potędze wiary i o tym, że medycyna jest zbędna, ale bała się przesadzić.

- Taki sympatyczny. Starał się mi pomóc.

- Sprawił na mnie wrażenie kompetentnego. Co za szczęśliwcy zbieg okoliczności, że akurat przejeżdżał.

- Tak, chociaż, naturalnie, lekarz nie był mi wcale potrzebny.

- Niech pani się nie męczy mówieniem - ciągnęła gospodyni. - Już posyłam pokojówkę, żeby przyniosła parę niezbędnych drobiazgów i przebrała panią do łóżka.

- To naprawdę niezwykle uprzejmie z pani strony.

- Ależ to nic takiego.

Gdy wyszła, Frankie poczuła wyrzuty sumienia.

Miła i sympatyczna istota, pomyślała. I zupełnie niczego podejrzewa.

Czuła się nieswojo, że oszukuje naiwną gospodynię. Jej myśli były dotąd tak opanowane wizją okrutnego Bassington-ffrencha, spychającego w przepaść niewinną ofiarę, że zupełnie nie wzięła pod uwagę innych, drugoplanowych postaci dramatu.

No, dobrze. Muszę sobie jakoś z tym poradzić. Ale wolałabym, żeby nie była taka sympatyczna, pomyślała.

Spędziła nudne popołudnie i wieczór, leżąc w łóżku w ciemnym pokoju. Pani Bassington-ffrench zajrzała raz i drugi, nie wchodziła.

Następnego ranka Frankie zapragnęła światła dzienne i towarzystwa. Gospodyni przyszła posiedzieć z nią chwilę. W rozmowie znalazły wielu wspólnych znajomych i pod koniec dnia Frankie z poczuciem winy stwierdziła, że są zaprzyjaźnione.

Pani Bassington-ffrench opowiadała jej o mężu i ma synku, Tommym. Wyglądało na to, że jest kobietą prostolinijną, przywiązaną do domu, choć, jak wydawało się Frankie z jakiegoś powodu nie była w pełni szczęśliwa. W jej z pozoru pogodnych oczach chwilami pojawiał się nieokreślony lęk.

Na trzeci dzień Frankie poznała pana domu. Był to mężczyzna potężny, o obwisłych policzkach, uprzejmy, ale sprawiający wrażenie trochę nieobecnego. Większość czasu spędzał zamknięty w swoim gabinecie. Frankie doszła do wniosku, że kocha swoją żonę, chociaż prawie zupełnie nie przejmując sprawami.

Tommy, mały siedmiolatek, wyglądał na dzieciaka zdrowego i psotnego. Sylvia Bassington-ffrench w sposób widoczny go uwielbiała.

- Jak tu miło u państwa - rzekła Frankie z westchnieniem. Wyciągnęła się na leżaku w ogrodzie.
- Może to z powodu tego urazu głowy, ale wcale nie chce mi się stąd ruszać. Miałabym ochotę wylegiwać się tu całymi dniami.

- Nie mam nic przeciwko temu - odparła Sylvia spokojnie i niespiesznie, jak to miała w zwyczaju. - Naprawdę proszę u nas zostać i nie spieszyć się z powrotem do Londynu. Widzi pani - ciągnęła - to dla mnie ogromna przyjemność mieć towarzystwo. Jest pani taka inteligentna i ciekawie się z panią rozmawia. Podnosi mnie pani na duchu.

A więc trzeba ją podnosić na duchu, przemknęło Frankie przez myśl. Poczowała wstyd.

- Myślę, że stałyśmy się prawdziwymi przyjaciółkami - stwierdziła pani domu. Frankie zawstydzila się jeszcze bardziej. To, co robiła, to świństwo, okropne świństwo. Musi dać temu

spokój i wracać do Londynu.

Gospodyni mówiła dalej:

- Jutro wraca mój szwagier. Będzie ciekawiej. Polubi go pani, jestem pewna. Wszyscy lubią Rogera.

- Mieszka z państwem?

- Wciąż wyjeżdża. Nie usiedzi chwili na miejscu. Mówi o sobie, że jest czarną owcą w rodzinie, i chyba jest w tym trochę racji. Nie ma stałego zajęcia, prawdę mówiąc, nie skalał się dotąd prawdziwą pracą. Ale niektórzy właśnie tacy są, zwłaszcza w starych rodzinach. Mają za to urok osobisty. Roger jest cudownie sympatyczny. Nie wiem, co bym bez niego poczęła wiosną, kiedy Tommy chorował.

- A co mu dolegało?

- Miał wypadek na huśtawce. Była umocowana do gałęzi, która okazała się spróchniała i złamała się. Roger się strasznie zdenerwował, bo to on właśnie był wtedy z Tommym, wie pani, bujał go tak, jak dzieciaki lubią, wysoko, wysoko. Baliśmy się, że to uraz kręgosłupa, ale wszystko skończyło się dobrze, to były tylko potłuczenia. Nic mu już nie jest.

- Na to wygląda - roześmiała się Frankie, słysząc z odła odgłosy zabawy i radosne okrzyki małego.

- Tak, jest już w świetnej formie. Co za ulga. Mały ma pecha. Zeszłej zimy omal nie utonął.

- Co pani powie! - Frankie zastanowiła się. Nie myślała już o wyjeździe. Poczucie winy gdzieś się rozpułyło.

Wypadki! Czyżby Roger Bassington-ffrench był w tej dziedzinie specjalistą?

- Jeżeli rzeczywiście jest pani pewna, że nie będę sprawiała kłopotu, z przyjemnością jeszcze bym została. Ale czy mąż pani nie będzie miał tego za złe? - dodała.

- Henry? - pani Bassington-ffrench wyduła wargi. - nie. Henry nigdy niczego nie ma za złe. Ostatnio mało co go w ogóle obchodzi.

Frankie spojrzała na nią z zainteresowaniem. Szkoda, że lepiej nie znamy, bo może powiedziałaaby coś więcej, pomyśl. Wydaje się, że w tym domu dzieją się różne dziwne rzeczy.

Zasiedli do podwieczorku. Frankie przyglądała się wnikliwie gospodarzowi. Było w nim coś dziwnego. Na pozór zwyczajny, jowialny, lubiący sporty ziemianin. Ale taki typ nie powinien wiercić się przy stole, z nerwami napiętymi jak postronki, widać na pierwszy rzut oka. Nie powinien chwilami to uciekać myślą tak, że nie sposób z nim nawiązać kontaktu, to znowu docinać złośliwie i sarkastycznie towarzystwu przy stole, było to normalne zachowanie. Za to wieczorem przy kolacji kazał się z zupełnie innej strony: żartował, śmiał się, opowiadał anegdoty, był, jak na niego, wprost

błyskotliwy. Zbyt błyskotliwy, pomyślała Frankie. Znow jest nienaturalny. Ma dziwne oczy, budzą lęk.

Jednak to nie Henry Bassington-ffrench jest podejrzany, jego brat, a nie on, był fatalnego dnia w Marchbolt.

Spotkania z Rogerem Frankie oczekiwała z niecierpliwością i zainteresowaniem. Według jej i Bobby'ego koncepcji to on był mordercą. Miała się spotkać z zabójcą twarzą w twarz. Odczuwała lekkie zaniepokojenie. A jeśli on nabierze podejrzeń? A jeśli jakoś powiąże jej obecność tutaj ze zbrodnią w Marchbolt? Nie, to niemożliwe, strach ma wielkie oczy.

Roger Bassington-ffrench przybył następnego dnia. Frankie poznała go dopiero przy podwieczorku. Do tego czasu odpoczywał.

Kiedy pojawił się w ogrodzie, gdzie nakryto do herbaty, Sylvia przedstawiła ich z uśmiechem:

- Mój szwagier, a to nasza inwalidka, lady Frances Derwent.

Frankie ujrzała wysokiego, szczupłego mężczyznę po trzydziestce, o miłym spojrzeniu. Chociaż pojęła, co Bobby miał na myśli mówiąc, że jego oblicze prosiło się o monokl i wąsy, większe wrażenie uczynił na niej intensywny błękit jego oczu. Przywitali się.

- Słyszałem, że usiłowała pani zdemolować nam ogrodzenie.

- Muszę przyznać, że jestem najgorszym kierowcą na świecie. A tym razem prowadziłam jakiegoś okropnego grata. Mój własny wóz oddałam właśnie do przeglądu, więc musiałam coś kupić.

- Została wyratowana przez przystojnego młodego doktora - dodała Sylvia.

- Był bardzo miły - zgodziła się Frankie.

W tym momencie pojawił się Tommy i z okrzykami radości rzucił się wujowi na szyję.

- Czy przywiozłeś mi kolejkę od Homby'ego? Obiecałeś! Obiecałeś!

- Och, Tommy, to nieładnie tak się dopraszać! - upomniała Całego Sylvia.

- Daj spokój, Sylvio. Naprawdę mu obiecałem. Mam dla ciebie kolejkę, stary. - Spojrzał przelotnie na bratową. - Henry nie Przyjdzie na herbatę?

- Chyba nie. - Zawahała się. - Nie czuje się dziś najlepiej, mi się zdaje. - I nagle dodała impulsywnie: - Rogerze, ciesz się, że wróciłeś.

Położył jej rękę na ramieniu.

- W porządku, dziewczyno.

Po podwieczorku Roger z chłopcem bawili się kolejką, kiedy się im przyglądała, mając w głowie kompletny zamęt. To typ, który z zimną krwią może zepchnąć człowieka w przepaść. Ten uroczy mężczyzna, nie mógł być mordercą. Ale w takim razie ona i Bobby mylili się całkowicie. Przynajmniej, co do Rogera.

Wierzyła teraz, że to nie Bassington-ffrench zepchnął Ptirchara z urwiska.

Zatem kto to zrobił? Nadal była pewna, że to nie mógł wypadek. Kto go popchnął? Kto do piwa Bobby'ego dodał morfiny?

Morfina... Nagle przypomniały jej się dziwne oczy Henry'ego Bassington-ffrencha, oczy ze źrenicami maleńkimi jak łebek od szpilki.

Czyżby Henry Bassington-ffrench był narkomanem?!

Alan Carstairs

Podejrzanie Frankie potwierdziło się już nazajutrz. Stało się to za sprawą Rogera.

Po meczu tenisowym sączyli drinki z lodem, gawędząc o tym i owym, a Frankie czuła, że coraz bardziej jest pod urokiem Bassington-ffrencha. Zamyśliła się. Objechał prawie cały świat. Cóż z tego, że uważany jest w rodzinie za „czarną owcę”, myślała. W porównaniu z ociężałym, poważnym bratem miał tyle uroku.

Jej rozmyślania przerwał Roger. Mówił teraz zupełnie innym niż wczoraj tonem.

- Lady Frances, dopiero co poznaliśmy się, a już chciałbym zwrócić się do pani ze szczególną prośbą, chociaż... Czuję instynktownie, że mogę liczyć na pani radę.

- Radę? - Frankie była zaskoczona.

- Tak. Nie wiem, co mam robić.

Przerwał. Siedział pochylony ku niej, z rakieta między kolanami, na czole zmarszczka. Wyglądał na zmartwionego i zdenerwowanego.

- Tu chodzi o mojego brata, lady Frances.

- Słucham.

- Bierze narkotyki. To pewne.

- Skąd to podejrzenie?

- Wszystko na to wskazuje. Jego wygląd. Zmiany nastroju.

Zachowanie. Zwróciła pani uwagę na jego źrenice? Są jak łebek od szpilki.

- Zauważyłam to. Co on, pana zdaniem, bierze?

- Morfinę albo coś podobnego.

- Od dawna to trwa?

- Wydaje mi się, że zaczęło się jakieś pół roku temu tam, że bardzo się uskarżał na bezsenność. Nie mam skąd dostał narkotyki, ale to musiało zacząć się wtedy.

- W jaki sposób je zdobywa? - zapytała Frankie praktycznie.

- Chyba dostaje pocztą. Czy zauważyła pani, że bywa szczególnie podenerwowany około podwieczorku?

- Tak, zauważyłam.

- Myślę, że wtedy kończy mu się zapas i czeka na dostawę. Potem, kiedy o szóstej przychodzi poczta, zamyka się w gabinecie i przy kolacji pojawia się w kompletnie innym nastroju.

Frankie przytaknęła. Pamiętała jego nienaturalną rozmowność przy kolacji.

- Ale skąd te dostawy?

- Tego nie wiem. Żaden uczciwy lekarz nie dostarczałby: narkotyków. Ale sądzę, że istnieją inne możliwości. Można stać narkotyki w Londynie, oczywiście za grube pieniądze.

Frankie pokiwała głową w zamyśleniu. Przypomniała sobie, że mówiła Bobby'emu o przemytnikach narkotyków, i że Bobby nie chciał się tym zajmować. To ciekawe: znów natykali się tę sprawę. A jeszcze ciekawsze, że główny podejrzany sam prowadził ją na ślad. To tym bardziej przekonywało ją o niewinności Rogera Bassington-frencha.

Ale była jeszcze nie wyjaśniona sprawa zamienionych fotografii. Tu, upomniała samą siebie, dowody przeciwko niemu były nadal niepodważalne. Na jego korzyść przemawiały tylko cechy osobowości. Ale, o czym wie każdy czytelnik kryminałów, mordercy zawsze są czarujący!

Otrząsnęła się z tych rozważań i zwróciła do towarzysza: - Po co właściwie mi pan o tym mówi? - spytała otwarcie.

- Bo nie wiem, czy powinienem o tych podejrzaniach mówić Sylvii - odrzekł po prostu.

- Uważa pan, że ona nic nie podejrzewa?

- Jestem tego pewien. Powiedzieć jej?

- To trudna sprawa...

- Wyjątkowo trudna. Właśnie dlatego pomyślałem, że pani mogłaby mi pomóc. Sylvia darzy panią wielką sympatią. Ona nie ma nikogo bliskiego w tej okolicy. Panią polubiła od razu, sama mi to powiedziała. Co mam robić, lady Frances? Jeżeli Sylvii powiem, przysporzy jej to zmartwień.

- Gdyby wiedziała, mogłaby może jakoś temu zaradzić - podsunęła Frankie.

- Wątpię. Na narkomana nikt nie ma wpływu, nawet najbliżsi i kochający.

- Nie ma więc nadziei...

- Ale to fakty. Są, oczywiście, sposoby. Gdyby tylko Henry zgodził się na terapię odwykową, mamy tu niedaleko ośrodek. Prowadzi go doktor Nicholson.

- Ale on się pewnie nie zgodzi...

- Może by się zgodził, gdyby był w odpowiednim nastroju. Czasem narkomani, kiedy opadną ich wyrzuty sumienia, chcą się leczyć i godzą się na wszystko. Jestem przekonany, że Henry łatwiej dałby się przekonać do kuracji, gdyby sądził, że Sylvia o niczym nie wie. Można by go wtedy szantażować, grożąc, że się jej to ujawni. A jeśli leczenie by się powiodło, mogłaby o niczym się nie dowiedzieć. Terapia mogłaby się odbyć pod płaszczykiem leczenia załamania nerwowego lub czegoś w tym rodzaju.

- Dokąd miałyby jechać na leczenie?

- Ten ośrodek, o którym wspomniałem, mieści się zaledwie trzy mile stąd, po drugiej stronie osady. Prowadzi go Kanadyjczyk, doktor Nicholson. Inteligentny człowiek, jestem przekonany, a poza tym dobrze się składa, bo Henry go lubi. Cśśś...! Sylvia nadchodzi.

Pani Bassington-Ffrench przyłączyła się do nich.

- Namęczyliście się?

- Trzy sety. Wszystkie przegrałam - z rezygnacją rzekła Frankie.

- Broniła się pani świetnie - uprzejmie powiedział Roger.

- Nie mam siły na tenisa - rzekła Sylvia. - Musimy któregoś dnia zaprosić Nicholsonów. Ona bardzo lubi grać. Co się stało? - spytała zauważywszy, że Frankie i Roger wymieniają znaczące spojrzenia.

- Nic takiego. Zbieg okoliczności, właśnie opowiadałem Frances o Nicholsonach.

- Lepiej zwracałbyś się do Frankie po imieniu, jak ja - proponowała Sylvia. - Czy to nie zastanawiające, że ilekroć mówimy o kimś lub czymś, ktoś inny za chwilę robi to samo?

- To Kanadyjczycy, prawda? - zapytała Frankie.

- On tak. Ona chyba jest Angielką, ale nie jestem pewien. Śliczna i czarująca istotka o przepięknych, smutnych oczach. Nie wiem dlaczego, ale myślę, że nie jest bezgranicznie szczęśliwa. Takie życie musi być przygnębiające.

- Podobno on prowadzi coś w rodzaju sanatorium?

- Tak. Załamania nerwowe, narkomani. Z tego, co wiem, duże osiągnięcia. To człowiek, który robi wrażenie.

- Lubisz go?

- Nie - odparła zwięźle Sylvia. - Nie lubię. - A po chwili dodała gwałtownie: - Nie znoszę!

W chwilę później pokazywała Frankie stojące na fortepianie zdjęcie uroczej wielkookiej piękności.

- To właśnie Moira Nicholson. Fascynująca twarz, nieprawdaż? Przyjechał tu kiedyś z naszymi przyjaciółmi człowiek, którego to zdjęcie wręcz zwałilo z nóg. Strasznie chciał ją poznać.

- Roześmiała się. - Zaproszę ich jutro na kolację. Ciekawa jestem, jak ci się spodoba.

- Ona?

- On. Jak ci mówiłam, nie lubię go, ale to pociągający mężczyzna.

W jej tonie było coś takiego, że Frankie spojrzała na nią bacznie, ale Sylvia Bassington-ffrench stała już tyłem do niej i wyjmowała z wazonu zwiędłe kwiaty.

Muszę pozbierać myśli, rzekła do siebie wieczorem Frankie rozczesując gęste, ciemne włosy i szykując się do kolacji. A poza tym czas już najwyższy przeprowadzić parę eksperymentów, dodała w myślach z determinacją. Czy Roger Bassington-ffrench był zabójcą, czy też nie?

Ten, kto chciał zgładzić Bobby'ego, musiał mieć łatwy dostęp do morfiny. To pasowało do Rogera Bassington-ffrench. Jego brat otrzymywał dostawy morfiny pocztą, nic łatwiejszego jak przechwycić jedną przesyłkę i wykorzystać ją do własnych celów.

- Ważne - napisała na kartce papieru. - *1) Dowiedzieć się, gdzie Roger był szesnastego, w dniu kiedy próbowano otruć Bobby'ego. - To wydawało jej się łatwe. - 2) Pokazać fotografie zmarłego i zaobserwować reakcję. Zwrócić uwagę, czy R. B.-f. się przyzna, że był w Marchbolt tego dnia.*

Była trochę niespokojna w związku z tą drugą sprawą. W ten sposób mogła się zdemaskować. Ale przecież ta tragedia wydarzyła się w jej rodzinnym mieście, więc rzuconą od niechcenia wzmiankę na ten temat można uznać za rzecz najnaturalniejszą w świecie. Zgniotła swoje notatki i spaliła je.

Pierwszy punkt udało jej się zrealizować już przy kolacji.

- Wciąż mam wrażenie - powiedziała do Rogera - że gdzieś już się spotkaliśmy. I to nie tak dawno. Czy przypadkiem nie widzieliśmy się na przyjęciu u lady Shane w Claridges, szesnastego?

- To nie mogło być szesnastego - szybko powiedziała Sylvia. - Roger był wtedy tutaj. Pamiętam, bo w tym dniu mieliśmy balik dla dzieci i nie wiem, jak poradziłabym sobie bez niego.

Rzuciła mu spojrzenie pełne wdzięczności, a on odpowiedział jej uśmiechem.

- Mnie się nie wydaje, żebyśmy się przedtem spotkali - powiedział z namysłem i dodał: - jestem pewien, że zapamiętałbym to.

Było to mile powiedziane.

Jeden punkt załatwiony, pomyślała. Roger Bassington-french nie był w Walii w dniu próby otrucia Bobby'ego. Drugi punkt udało się wyjaśnić łatwo nieco później. Frankie skierowała konwersację na strony rodzinne, nudę jaka tam pani i zaniepokojenie, jakie wywołuje każde nadzwyczajne wydarzenie.

- Mieliśmy wypadek: mężczyzna, który spadł z klifowego urwiska. Wszystkimi to do głębi wstrząsnęło. Poszłam na rozprawę u koronera bardzo podekscytowana, ale niestety, sprawa okazała się banalna.

- Czy to nie było w miejscowości Marchbolt? - nagle zapytała Sylvia.

Frankie kiwnęła głową.

- Zamek Derwent położony jest zaledwie siedem mil Marchbolt - wyjaśniła.

- Roger, to musiał być ten twój człowiek - zawołała Sylvia.

Frankie spojrzała badawczo.

- Byłem przy nim akurat gdy zmarł. Pilnowałem zwłok do przyścia policji.

- Myślałam, że to jeden z synów pastora był przy tym - zdziwiła się Frankie.

- Musiał odejść, żeby grać na organach, czy coś takiej więc ja się tym zająłem.

- Co za wyjątkowy zbieg okoliczności. Rzeczywiście, słyszałam, że był tam ktoś jeszcze, ale nie miałam pojęcia kto. A więc to był pan!

Zapanowała atmosfera typu „jaki ten świat mały”. Frankie wiedziała, że się jej udało.

- Może to tam się spotkaliśmy, w Marchbolt - podsunął Roger.

- W dniu wypadku akurat mnie tam nie było. Wróciłam z Londynu dopiero parę dni później. Czy był pan na rozprawie?

- Nie, pojechałem do Londynu nazajutrz po wypadku.

- Był w Marchbolt, bo wpadło mu do głowy, żeby kupić tam dom - wyjaśniła Sylvia.

- Idiotyczny pomysł - dorzucił Henry Bassington-french.

- Wcale nie - wesoło sprzeciwił się Roger.

- Doskonale wiesz, Roger, że gdybyś tylko go kupił, zaraz odezwałaby się twoja żyłka włóczęgowska i pognałbyś za granicę.

- Och, Sylvio, nie mów tak. Na pewno kiedyś się ustatkuję.

- Wtedy osiadź gdzieś tu, obok nas. Nie wynoś się do Walii.

Roger roześmiał się, a potem zwrócił do Frankie.

- Czy było coś zastanawiającego w tym wypadku? Okazało się, że to samobójstwo albo coś w tym rodzaju?

- Nie, nic podobnego. Sprawa czysta jak łąza. Pojawili się jacyś beznadziejni krewniacy i zidentyfikowali nieboszczyka. Wygląda na to, że wybrał się na pieszą wędrówkę, pechowiec. Szkoda go, był niezwykle przystojny. Widzieliście jego zdjęcie w gazetach?

- Chyba tak - zastanowiła się Sylvia - ale go nie pamiętam.

- W pokoju mam wycinek z naszej gazetki lokalnej.

Frankie skwapliwie pobiegła do sypialni i wróciła z wycinkiem w dłoni. Wręczyła go Sylvii. Roger podszedł i zajrzał jej przez ramię.

- Prawda, że przystojny? - dopytywała się dziecinnie Frankie.

- Rzeczywiście - przyznała Sylvia. - Przypomina mi tego człowieka, Alana Carstairsa, nie sądzisz, Rogerze? Chyba już to mówiłam, kiedy widziałam to zdjęcie wtedy, po wypadku.

- Istotnie, jest jakieś podobieństwo - zgodził się Roger. - Ale w rzeczywistości wcale nie rzucało się w oczy.

- Niewiele można stwierdzić na podstawie fotografii w gazecie - powiedziała Sylvia, oddając wycinek właścicielce.

Frankie zgodziła się z nią łatwo. Rozmowa zesłała na inny temat.

Wieczorem Frankie była pełna wahania. Reakcje wszystkich Oglądały na całkowicie naturalne. Nawet wyskok Rogera z kupnem domu był najwidoczniej wszystkim znany. Jedyne z całej intrygi to nazwisko: Alan Carstairs.

Doktor Nicholson

Frankie ruszyła do natarcia z samego rana. Zaczęła od zapytania Sylvii mimochodem:

- Jak się nazywał ten facet, którego wspomniałaś wczoraj. Alan Carstairs czy jakoś tak? Jestem przekonana, że słyszałam już gdzieś to nazwisko.

- Bardzo prawdopodobne. Z tego, co wiem, jest na swój sposób sławny. To Kanadyjczyk, przyrodnik, łowca dzikich zwierząt i odkrywca. W zasadzie go nie znam. Nasi przyjaciele, Rivingtonowie, przyprowadzili go kiedyś do nas na lunch. Pociągający mężczyzna: potężny, opalony, ładne niebieskie oczy.

- Musiałam gdzieś o nim słyszeć.

- To był chyba jego pierwszy pobyt w Anglii. W zeszłym roku był na wyprawie przez Afrykę z tym milionerem, Johnem Savage, tym, który popełnił samobójstwo ze strachu przed rakiem. Carstairs w swoich wędrówkach poznał każdy zakątek świata. Afryka Wschodnia, Ameryka Południowa - był po prostu wszędzie.

- To musi być niezwykły człowiek.

- O, tak. Wyjątkowy.

- To ciekawe, że jest tak podobny do tego nieszczęśnika, który spadł z klifu w Marchbolt.

- Myślę, że każdy ma swojego sobowtóra.

Zaczęły przywoływać przykłady osób bliźniaczo do siebie podobnych. Frankie była ostrożna i nie nawiązywała więcej do Alana Carstairsa. Doszła do wniosku, że okazywanie zbyt wielkiej ciekawości mogłoby ją zgubić.

Wiedziała jednak, że wpadła na trop. Była całkowicie przekonana, że to Alan Carstairs padł ofiarą tragedii na urwisku w Marchbolt. Jak ulał pasował do jej koncepcji. Nie miał przyjaciół ani krewnych w Anglii, więc jego zniknięcie mogło zostać nie zauważone przez dłuższy czas, a gdyby nawet, to zniknięcie człowieka, który często wyruszał do Afryki Wschodniej czy Ameryki Południowej, nie mogło wzbudzać podejrzeń. Co więcej, Frankie zauważyła, że chociaż Sylvia Bassington-French dostrzegła podobieństwo ofiary do Carstairsa, to nie przyszło jej do głowy, iż może to być ta sama osoba. Ciekawy przyczynek do psychologii, pomyślała. Nie podejrzewamy, że ludzie z pierwszych stron gazet to ci sami, z którymi stykamy się na co dzień.

A więc dobrze. Nieboszczyk to Alan Carstairs. Teraz trzeba dowiedzieć się o nim czegoś więcej. Jego związek z Bassington-ffrenchami wyglądał na przypadkowy. Przyprawdzili go jacyś znajomi. Jak się nazywali? Rivingtonowie. Frankie zanotowała to nazwisko w pamięci, do późniejszego wykorzystania.

To z pewnością był jeden z obiecujących wątków śledztwa. Ale roztropnie będzie nie spieszyć się za bardzo. O Carstairsa trzeba rozpytywać bardzo dyskretnie. Nie mam zamiaru dopuścić do tego, żeby mnie otruto albo roztrzaskano mi czaszkę, pomyślała skrzywiwszy się. Byli gotowi załatwić Bobby'ego praktycznie za nic... Jej myśli popłynęły ku zdaniu, którego sens był ciągle nieuchwytny, ku ostatniemu zdaniu nieboszczyka.

Evans! Kim był Evans? Gdzie jest jego miejsce w tej łamigłówce?

Przemyt narkotyków, zdecydowała. Może jakiś krewny Carstairsa został w to wmieszany i on postanowił zrobić z tym koniec. Może właśnie w tym celu przyjechał do Anglii. Evans być jednym z gangsterów, który zerwał z przestępczą działalnością i osiedlił się w Walii. Carstairs chciał przekupić Evansa, namówić go, żeby wydał kumpli, Evans się zgodził, Carstairs przyjechał zobaczyć się z nim, ktoś go śledził i zabił. Czy mógł to być Bassington-ffrench? Nie wydaje się. Caymanowie bardziej odpowiadali jej wyobrażeniu o przemytnikach narkotyków. I jeszcze ta fotografia. Gdyby udało się wyjaśnić sprawę fotografii...

Nicholsonów spodziewano się wieczorem na kolacji. Frankie kończyła się przebierać, gdy usłyszała samochód podjeżdżający pod frontowe wejście. Jej okno wychodziło właśnie na tę stronę. Wyrzwała.

Zza kierownicy ciemnoniebieskiego talbota wysiadał wysoki mężczyzna. Frankie cofnęła się przezornie.

Carstairs był Kanadyjczykiem. Doktor Nicholson także. A poza tym doktor Nicholson jest właścicielem ciemnoniebieskiego talbota. Budowanie czegokolwiek na tych przesłankach może się wydawać absurdalne, to jasne, ale czy troszkę nie za dużo tu zbiegów okoliczności?

Doktor Nicholson był potężnie zbudowany, a jego zachowanie świadczyło o niewyczerpanych zasobach siły charakteru. Mówił powoli, w ogóle mówił niewiele, ale za to w taki sposób, że każde jego słowo zdawało się mieć wielką wagę. Nosił mocne szkła, a jego wyblakłe niebieskie oczy spoglądały spoza nich z rozważą. Jego małżonka, szczupła, dwudziestosiedmioletnie stworzenie, była rzeczywiście piękna. Wydawało się, że gorączkową paplaniną stara się pokryć lekkie zdenerwowanie.

- Słyszałem, że miała pani wypadek, lady Frances - nawiązał rozmowę doktor Nicholson, zasiadając obok Frankie do stołu.

Udzieliła wyczerpujących wyjaśnień. Zastanowiło ją własne wzrastające zaniepokojenie. Doktor był przecież po prostu życzliwie zainteresowany. Skąd to poczucie, że musi odpierać zarzuty, które nie zostały sformułowane? Niby dlaczego doktor miałby powątpiewać w jej słowa?

- Tak, to musiało być przykre - rzekł, kiedy skończyła zbyt szczegółową relację. - Ale wygląda pani już doskonale.

- Nie chcemy jej jeszcze uznać za całkiem zdrową. Zatrzymujemy ją u nas - rzekła Sylvia.

Spojrzenie doktora przeniosło się na Sylwię. Coś jakby lekki uśmiezek pojawił się na jego wargach, ale znikł prawie natychmiast.

- Bardzo słusznie. Powinna zostać u was jak najdłużej - rzekł poważnie.

Frankie siedziała pomiędzy gospodarzem a doktorem Nicholsonem. Henry Bassington-ffrench był dziś w zdecydowanie kiepskim nastroju. Ręce mu drżały, nie wziął prawie nic do ust, a jego udział w konwersacji sprowadzał się do zera. Siedząca naprzeciwko niego pani Nicholson po paru bezowocnych próbach nawiązania rozmowy odwróciła się z widoczną ulgą do Rogera. Rozmowa potoczyła się dość swobodnie, ale Frankie zwróciła uwagę, że oczy pani Nicholson co rusz zwracały się ku mężowi.

Doktor Nicholson opowiadał o życiu na wsi.

- Czym, pani zdaniem, jest kultura, lady Frances?

- Chodzi panu o wykształcenie? - spytała, mocno zaskoczona.

- Nie. Mam na myśli kultury bakteryjne. Rosną i rozwijają się, wie pani, na specjalnych pożywkach. Podobnie jest na wsi. Tu jest przestrzeń i nieograniczone zasoby wolnego czasu, odpowiednie warunki do rozwoju, rozumie pani...

- Ma pan na myśli jakieś złe rzeczy? - ciągle nie rozumiejąc, Pytała Frankie.

- To zależy, lady Frances, od szczepu bakterii...

Co za idiotyczna rozmowa, pomyślała Frankie. Ale dlaczego ciarki zaczynają chodzić mi po plecach, tego już nie umiem wytłumaczyć. Żartem powiedziała:

- Czy mam rozumieć, że rozwijają się we mnie jakieś ciemne skłonności?

Doktor Nicholson spojrział na nią i odrzekł spokojnie:

- Co to, to nie. Pani zawsze będzie po stronie prawa i porządku.

Czy zdawało jej się, że położył lekki nacisk na słowie „prawo”?

Wtem pani Nicholson odezwała się zza stołu:

- Mój mąż chlubi się tym, że umie odgadywać ludzkie charaktery.

Doktor Nicholson łagodnie pokiwał głową.

- To prawda, Moiro. Interesują mnie szczególnie drobiazgi. - Ponownie zwrócił się do Frankie.
- Słyszałem już przedtem o pani wypadku. W najwyższym stopniu zaintrygowała jedna rzecz.

- Tak? - Frankie poczuła przyspieszone bicie serca.

- Ten lekarz, który przejeżdżał, ten, który panią tu wadził...

- Tak?

- To musiał być dziwak... Żeby zawrócić samochód, rzucił się panią ratować...

- Nie rozumiem.

- A jak może pani rozumieć. Była pani nieprzytomna. Ale młody Reeves, goniec, który jechał ze Staverley na rowerze, mówi, że nie mijał go żaden samochód, a kiedy wyjechał z zakrętu zobaczył kraksę i samochód doktora skierowany przodem w tę samą stronę, w którą i on jechał. Rozumie pani, o co chodzi? Lekarz nie przyjechał ze Staverley, bo nie mijał chłopaka, więc musiał przybyć z przeciwnej strony, z góry. Ale w takim razie samochód powinien być ustawiony przodem do Staverley, a nie był. To znaczy, że musiał zawrócić.

- Mógł przyjechać wcześniej - powiedziała Frankie.

- W takim razie zjeżdżając z góry musiałyby pani widzieć jego samochód. Był tam?

Bładoniebieskie oczy przyglądały jej się badawczo zza grubych szkieł okularów.

- Nie pamiętam. Chyba go nie było.

- Zachowujesz się jak oficer śledczy, Jasperze - rzekła pani Nicholson. - Robisz z igły widły.

- Interesują mnie drobiazgi.

Zaczął rozmawiać z gospodynią. Frankie mogła odetchnąć z ulgą. Dlaczego ją tak przepytował? Skąd tyle wiedział o wypadku? Powiedział, że interesują go drobiazgi. Czy tylko?

Frankie pomyślała o ciemnoniebieskiej limuzynie marki Talbot i o kanadyjskim rodowodzie Carstairsa. Doktor Nicholson mógł być groźny.

Schodziła mu z drogi po kolacji, trzymając się delikatnej i kruchej pani Nicholson. Zauważyła, że nie spuszcza męża z oczu. Zastanawiała się, czy to miłość, czy lęk.

Nicholson zajął się Sylvią. O wpół do jedenastej, pochwyciwszy wzrok żony, zaczął się żegnać.

- No i co myśli pani o doktorze Nicholsonie? - zapytał Roger, gdy wyszli. - Ma silną osobowość, prawda?

- Podobnie jak Sylvia nie sądzę, żeby mi się podobał. Ona jest sympatyczniejsza.

- Śliczna, ale głupiątko. Albo go ubóstwia, albo się go panicznie boi, trudno powiedzieć.

- To samo przyszło mi na myśl - przytaknęła Frankie.

- On mi się nie podoba, ale muszę przyznać, że ma w sobie jakąś siłę. Jestem przekonana, że leczy tych narkomanów skutecznie. Ludzie, których rodziny były w rozpacz, przybywają do niego po ratunek i wychodzą uleczeni. To graniczy z cudem - rzekła Sylvia.

- A czy wiesz - zawołał nagle Henry Bassington-ffrench - Co się tam u niego dzieje? Co wiesz o tych potwornych cierpieniach i mękach? Ktoś uzależniony od narkotyku zostaje nagle od niego odcięty, zupełnie odcięty, tak że dostaje szału i wali głową w mur. Tak właśnie twój pełen siły doktor dręczy ludzi, torturuje ich, naraża na męki piekielne, doprowadza do szału...

Trząśł się gwałtownie. Nagle odwrócił się i wyszedł z pokoju. Sylvia Bassington-ffrench wyglądała na zaskoczoną.

- Co się stało Henry'emu? - powiedziała ze zdziwieniem. Stracił panowanie nad sobą.

Frankie i Roger nie śmieli nawet wymienić porozumiewawczych spojrzeń.

- Przez cały wieczór wyglądał nie najlepiej - zawyrokowała Frankie.

- Zauważyłam to. Ostatnio bywa w złym nastroju. Szkoda, że zarzucił jazdę konną. Aha, przy okazji. Doktor Nicholson zaprosił Tommy'ego na jutro, ale wolałabym, żeby nie szedł do tych wszystkich przerażających wariatów i narkomanów.

- Doktor z pewnością nie dopuści do kontaktu dziecka z pacjentami - uspokajał ją Roger. - Zdaje się, że bardzo lubi dzieci.

- Tak wygląda. Na pewno żałuje, że nie ma własnych, pewnie też. Jest w niej coś smutnego i taka z niej delikatna istota.

- Wygląda jak smutna madonna - stwierdziła Frankie.

- To świetne określenie.

- Skoro Nicholson tak kocha dzieci, to pewnie też był tym dziecięcym balu - rzuciła Frankie od niechcienia.

- Niestety, wyjechał wtedy na dzień czy dwa. Zdaje się, że miał jakąś konferencję w Londynie.

- Aha.

Rozeszli się do sypialni. Frankie przed snem napisała do Bobby'ego list.

Odkrycie

Bobby'emu czas dłużył się w nieskończoność. Przymusowa bezczynność dopiekała mu srodze. Tkwi - oto w Londynie, nie mając nic do roboty. Minęło już ładnych kilka dni, odkąd George Arbuthnot zadzwonił z lakoniczną wiadomością, że wszystko poszło dobrze. Wkrótce potem dostał od Frankie list, który przekazała mu jej służąca (list był dla niepoznaki wysłany na jej adres w domu lorda Marchingtona w Londynie). Od tego czasu nie miał żadnych wieści.

- List do ciebie! - usłyszał wołanie Badgera. Z niecierpliwością chwycił kopertę, ale była adresowana pismem jego ojca. W tej samej chwili jednak zauważył schludną postać w ciemnej sukni, zbliżającą się ulicą Mews. Służąca Frankie. Pięć minut później rozrywał kopertę drugiego listu, od Frankie.

Drogi Bobby!

Chyba już czas, żebyś włączył się do akcji. U mnie w domu wiedzą, że mają ci wydać bentleya, kiedykolwiek się po niego zgłosisz. Zdobądź uniform szofera, u nas używano się zawsze ciemnozielonych. Weź na rachunek ojca u Harrodsa. Dopracuj wszystko do najmniejszych szczegółów. Przyłóż się solidnie do wásów. To zmieni ci twarz nie do poznania.

Przyjeżdżaj tutaj i zapytaj o mnie. Przywieź ze sobą ostentacyjnie list od ojca. Powiedz, że samochód jest już sprawny. Tutaj mają garaż tylko na dwa samochody, jest zajęty przez rodzinnego daimlera i dwumiejscowy wóz Rogera Bassington-ffrencha, więc jedź do Staverley i ulokuj się tam.

Zbierz miejscowe plotki, przede wszystkim, o doktorze Nicholsonie i jego ośrodku dla narkomanów. Powzięłam podejrzenia co do niego - ma ciemnoniebieską limuzynę talbot, wyjeżdżał stąd szesnastego (kiedy doprowadzono twoje piwo), i coś za bardzo interesuje się okolicznościami mojego wypadku.

Zdaje się, że udało mi się dowiedzieć, kim była ofiara w Marchbolt!

Au revoir, mój Watsonie

Pozdrowienia od rzekomej ofiary wstrząsu mózgu

Frankie.

PS. Ten list wyślę sama.

Nastrój Bobby'ego raptownie się poprawił. Zrzucił kombinezon i zakomunikował Badgerowi, że wyjeżdża. Już szykował się do wyjścia, kiedy przypomniał sobie o liście od ojca. Otworzył go z umiarkowanym entuzjazmem; zwykle listy od pastora składały się z napomnień na temat poczucia obowiązku i przepojone były duchem chrześcijańskiej wielkoduszności, co wprawiało Bobby'ego w stan skrajnego przygnębienia.

Tym razem pastor sumiennie przedstawiał wieści z Marchbolt, opisywał swoje kłopoty z organistą i robił uwagi na temat niechrześcijańskiego postępu jednego z kościelnych. Poruszył również temat ksiązek z psalmami, które trzeba oddać do introligatora. Miał nadzieję, że Bobby pilnie przykłada się do pracy i stara się jak może, pozdrawiał serdecznie itd., itp. Był także dopisek: *Ktoś tu dopytywał się o twój adres w Londynie. Nie było mnie wtedy, a człowiek ten nie zostawił swojego nazwiska. Pani Roberts opisała go jako wysokiego przygarbionego dżentelmena w binoklach. Był zmartwiony, że cię nie zastał i bardzo chciał się z tobą zobaczyć.*

Wysoki przygarbiony mężczyzna w binoklach. Bobby szukał w pamięci, ale nikt ze znajomych nie odpowiadał temu opisowi. Wpadło mu do głowy nagłe podejrzenie. Czyżby miał to być zwiastun następnego zamachu na jego życie? Czy tajemniczy prześladowcy (lub prześladowca) znów wpadli na jego trop?

Usiadł i zaczął poważnie się zastanawiać. Kimkolwiek był, dowiedział się, że wyjechał z Marchbolt. Nic nie podejrzewająca pani Roberts dała mu jego nowy adres.

A więc teraz ten ktoś mógł obserwować warsztat. Będzie go śledzić, a na to Bobby nie powinien pozwolić.

- Badger! - zawołał.

- Co jest, stary?

- Chodź no tu.

Następne pięć minut byli pochłonięci ciężką pracą. Po dziesięciu minutach Badger już umiał powtórzyć bezbłędnie jego polecenia. Bobby, upewniwszy się, że przyjaciel wykuł wszystko na pamięć, wskoczył do dwumiejscowego fiata, rocznik 1902, i z fasonem ruszył ulicą Mews. Postawił fiata na St. James's Square i poszedł piechotą do swojego klubu. Stamtąd zadzwonił w parę miejsc i po godzinie czy dwóch otrzymał kilka paczek. W końcu, o wpół do czwartej, szofer w ciemnozielonej liberii przemaszerował przez St. James's Square i szybko zasiadł za kierownicą potężnego bentleya, zaparkowanego tu od pół godziny. Parkingowy skinął mu głową - dżentelmen, który podstawił wóz, powiedział, jaskając się lekko, że szofer za chwilę zabierze samochód.

Bobby wcisnął sprzęgło i cofnął zgrabnie wóz. Pusty fiat stał smutno, oczekując powrotu właściciela. Bobby, pomimo że doskwierała mu górna warga, poczuł się wspaniale. Na wszelki wypadek skierował się najpierw na północ, ale za chwilę potężny silnik bentleya grał pełną mocą na głównej szosie na południe.

Był to jedynie dodatkowy środek ostrożności. Bobby był właściwie zupełnie pewien, że nikt go

nie śledzi. Teraz skręcił z szosy w lewo i bocznymi drogami podążał w kierunku Hampshire.

Było tuż po podwieczorku, gdy koła bentleya zachrobotwały na podjeździe w Merroway Court. Szofer, wyprostowany i zawsze na miejscu, siedział za kierownicą.

- Ha, jest wóz - powiedziała Frankie lekkim tonem. Podeszła do frontowego wejścia, wraz z nią Sylvia i Roger. - Jak Hawkins, wszystko w porządku?

Szofer dotknął palcami daszka czapki.

- Tak jest, jaśnie panienko. Wszystko gruntownie przejrzone, co trzeba wymienione i wyregulowane.

- To znaczy, że w porządku.

Szofer wręczył jej list.

- Od jego lordowskiej mości, jaśnie pani.

Frankie wzięła kopertę.

- Zainstaluj się w tej gospodzie, jak jej tam, Anglers' Arms w Staverley, Hawkins. Zadzwoń po ciebie rano, jeśli będę potrzebowała wozu.

- Rozumie się, wasza lordowska mość.

Bobby cofnął samochód, zawrócił i odjechał.

- Szkoda, że u nas nie ma miejsca - zmartwiła się Sylvia. Co za piękny wóz.

- Nieźle ciągnie - dodał Roger.

- I owszem - potwierdziła Frankie.

Cieszyła się, bo nie zauważyła na obliczu Rogera najlżejszego śladu wątpliwości co do osoby Bobby'ego. To, że go nie poznał, nie zdziwiło jej ani trochę. Sama miałaby trudno, gdyby spotkała go przypadkowo. Wąsik wyglądał najzupełniej naturalnie, co - w połączeniu ze sztywnym obejściem, tak odmiennym od naturalnego zachowania Bobby'ego, oraz, oczywiście, szoferskim uniformem - uczyniło kamuflaż doskonałym. Brzmienie głosu było również bez zarzutu, całkowicie odmienne od prawdziwego. Frankie musiała przyznać, że Bobby jest bardziej utalentowany, niż go o to podejrzewała.

Tymczasem Bobby'emu udało się stanąć na kwaterze w Anglers' Arms. Musiał dalej grać rolę Edwarda Hawkinsa, kierowcy lady Frances Derwent. Nie miał zielonego pojęcia o obyczajach szoferów w życiu prywatnym, ale sądził, że nie zaszkodzi wykazywać odrobinę wyższości. Spróbuje poczuć się istotą wyższego rzędu w porównaniu z resztą pospolitego towarzystwa w gospodzie i odpowiednio do tego postępować. Takie zachowanie wywołało na zatrudnionych tam panienkach

piorunujące wrażenie. Zaczęły go otwarcie adorować. Fakt ten dodał Bobby'emu odwagi. Wkrótce stwierdził, że zarówno sama Frankie, jak i jej wypadek, były dyżurnym tematem rozmów towarzyskich.

Bobby, rozluźniony, siedział obok właściciela gospody, jowialnego grubasa nazwiskiem Thomas Askew i od niechcienia udzielał informacji.

- Mały Reevesów na własne oczy widział, jak to się stało - oświadczył pan Askew.

Bobby pobłogosławił w duchu naturalną skłonność młodzieży do koloryzowania faktów. Dzięki temu słynny wypadek miał już naocznych świadków, gotowych pod przysięgą zeznać, jak to było.

- Już myślał, że to jego ostatnia godzina, tak było, auto waliło z góry prosto na niego, ale w ostatniej chwili rąbnęło w mur. Dziw, że się ta młoda pani nie zabiła.

- Jej lordowska mość ma twardy żywot - wyjaśnił Bobby.

- Dużo już miała wypadków, co?

- Miała szczęście. Ale zapewniam pana, że gdy przejmuję ode mnie kierownicę, co czasem się zdarza, no więc, kiedy to robi, mam duszę na ramieniu.

Kilkoro obecnych pokiwało głowami ze zrozumieniem, jakby mówiąc, że tak właśnie myśleli.

- Bardzo tu ładnie u was, panie Askew - powiedział Bobby łaskawie - miło i przytulnie. - Pan Askew uśmiechnął się z wdzięcznością. Bobby spróbował pociągnąć go za język. - Czy Merroway Court to jedyna większa rezydencja tutaj?

- No, jest jeszcze Grange, panie Hawkins. Nie można jej zwać rezydencją rodzinną. Stała pustkami przez lata, dój nie zajął jej ten amerykański lekarz.

- Lekarz, Amerykanin?

- Znaczy się Nicholson, tak się nazywa. Jeśli chce pan wiedzieć, dzieją się tam dziwne rzeczy.

W tym momencie barmanka uznała za stosowne poinformować, że jak widzi tego doktora Nicholsona, to przechodzą] dreszcze.

- Dzieją się dziwne rzeczy, mówi pan, panie Askew. To czy, co właściwie? - sondował dalej Bobby.

Pan Askew pokiwał głową ze smutkiem.

- Trzyma się tam ludzi wbrew ich woli. To rodziny ich pakują. Mówię panu, panie Hawkins, słyhać stamtąd krzyki, jęki, wycie, że nie dałby pan wiary.

- Czemu nie zajmie się tym policja?

- No, rozumie pan, mówią, że tak musi być. Pacjenci to nerwowo chorzy i inni tacy. Wariaci, raczej łagodne przypadki, gość jest lekarzem, więc wszystko wygląda, jakby tu powiedziec, formalnie w porządku. - W tym miejscu gospodarz pogrążył się w swoim kuflu piwa. Po chwili wynurzył oblicze, nadal kręcąc głową z powątpiewaniem.

- Tak - rzekł Bobby pośepnie, ale znacząco - ktoś to może wiedzieć, co się dzieje w takich zakładach naprawdę...

I również zajął się swoim cynowym kuflem. Barmanka gorliwie przyznała mu rację.

- Sama tak mówię, panie Hawkins. Kto wie, co się tam rąbią. Jednej nocy uciekło stamtąd młode biedactwo, w nocnej koszulinie, a ten doktor i zgraja pielęgniarzy wyleci jej szukać. Nie pozwólcie mnie tam znów zamknąć! - tak wołała. Kamień by zmiękł. Jeszcze mówiła, że jest bogata, i spadkobiercy chcą jej się pozbyć. Ale złapali ją i zabrali z powrotem, a doktor wyjaśniał, że dziewczyna cierpi na manię prześladowczą czy jakoś tak. Wydaje się jej, że wszyscy są przeciwko niej. Ale ja często zastanawiałam się, tak, zastanawiałam się, czy...

- Łatwo powiedziec... - zaczął pan Askew.

Ktoś z obecnych stwierdził, że tak naprawdę nic nie wiadomo, inny zgodził się z nim. W końcu temat został wyczerpany, a Bobby oznajmił, że ma zamiar udać się na przechadzkę.

Wiedział, że Grange znajduje się po przeciwnej niż Merroway Court stronie osady, więc tam skierował swoje kroki. To, co usłyszał dzisiaj w gospodzie, wydawało się godne sprawdzenia. W tej gadaninie mogło być, oczywiście, sporo przesady. Wieśniacy są z reguły uprzedzeni do przybyszów, a już szczególnie do obcokrajowców. Jeżeli Nicholson prowadzi zakład odwykowy dla narkomanów, to jęki czy nawet krzyki w takim miejscu są zrozumiałe, nie musi w nich być nic złowrogiego. Niemniej jednak relacja o dziewczynie, która chciała stamtąd uciec, zrobiła na nim silne wrażenie.

Załóżmy, że rzeczywiście w Grange więzi się ludzi wbrew ich woli. Przyjmowanie prawdziwych nerwowo chorych czy narkomanów mogło być jedynie kamuflażem dla jakichś ciemnych interesów.

W tym punkcie swoich rozważań Bobby dotarł do wejścia, którego strzegła brama z kutego żelaza. Delikatnie spróbował ją otworzyć. Była zamknięta na kłódkę. No, jasne, to przecież konieczność. Ale widok zamkniętej na głucho bramy napełnił go nieokreślonym niepokojem. To miejsce rzeczywiście przypominało więzienie.

Ruszył drogą wzdłuż muru, badając wzrokiem jego wysokość. Czy może udać się nań wspiąć? Mur był wysoki i gładki, żadnych szczelin, które mogłyby ułatwić zadanie. Z rezygnacją Pokręcił głową. Nagle natrafił na małą furtkę. Bez większej nadziei naparł na nią. Ku jego bezbrzeżnemu zdziwieniu - ustąpiła - Nie była zamknięta na klucz.

Małe niedopatrzenie, pomyślał, uśmiechając się z satysfakcją. - Wślizgnął się dyskretnie i

zamknął za sobą furtkę. Znalazł się na ścieżce, która wiodła przez gęstwinę krzewów. Poszedł nią, była kręta, przypominała ścieżkę z „Alicji po drugiej stronie lustra”. Nagle, zupełnie nieoczekiwanie, dróżka wychodziła na rozległy trawnik, tuż przy domu. Wieczór był bezchmurny, księżyc jasno oświetlał cały teren. Bobby z rozpędu zrobił kolejny krok po oświetlonej, odkrytej przestrzeni, zanim zdołał się zatrzymać.

W tej właśnie chwili zza węgła wyłoniła się kobieca postać. Szła cicho, rozglądając się czujnie na boki, jak ścigane zwierzę, takie przynajmniej wrażenie odniósł Bobby. Nagle zamarła w bezruchu, chwając się leciutko, jakby miała upaść. Bobby ruszył w jej kierunku i podtrzymał ją. Wargi miała sine i zdawało mu się, że jeszcze nigdy nie widział osoby tak przerażonej.

- Już dobrze - uspokajał ją półgłosem. - Już wszystko dobrze. Dziewczyna, bo była to jeszcze dziewczyna, jęknęła słabo, oczy miała półprzymknięte.

- Boję się - wymamrotała. - Tak strasznie się boję...

- O co chodzi?

Pokręciła tylko głową i powtarzała słabo:

- Tak się boję. Tak potwornie się boję.

Nagle jakiś dźwięk musiał dotrzeć do jej uszu. Wyprostowała się, odskoczyła od Bobby'ego. Gwałtownie zwróciła się ku niemu.

- Niech pan ucieka. Niech pan natychmiast ucieka.

- Chcę pani pomóc.

- Naprawdę? - spoglądała na niego chwilę dziwnym, badawczym, choć rozbieganym spojrzeniem. Tak jakby badała jego duszę. Wreszcie potrząsnęła głową.

- Nikt mi nie może pomóc.

- Ja tak. Zrobię wszystko. Niech mi pani powie, co ją przerażyło.

Pokręciła głową.

- Nie teraz. Och! Szybko, nadchodzą! Nie będzie mi pan pomóc, jeśli pana złapią. Niech pan już idzie, szybko.

Bobby uległ jej perswazjom. Szeptem rzucił: - Mieszkam w Anglers' Arms - i zaczął wycofywać się tą samą ścieżką wśród krzewów. Zobaczył jeszcze, że gestem daje mu znak, aby się pospieszył.

Nagle usłyszał kroki na ścieżce. Ktoś szedł od strony furtki. Schował się prędko w krzakach.

Istotnie. Dróżką szedł jakiś mężczyzna. Minał Bobby'ego prawie się o niego ocierając, ale w ciemności nie można było rozpoznać jego twarzy. Kiedy przeszedł, Bobby ruszył do odwrotu. Wiedział, że tej nocy nic więcej nie działo.

W głowie miał całkowity zamęt.

Wszystko dlatego, że rozpoznał dziewczynę. Rozpoznał ją ponad wszelką wątpliwość.

To dziewczyna ze zdjęcia, które zniknęło z kieszeni zabitego.

Bobby adwokatem

- Panie Hawkins?

- Słucham? - powiedział Bobby z ustami pełnymi jajek na bekonie.

- Telefon do pana.

Bobby w pośpiechu siorbnął potężny łyk kawy, wytarł i wstał. Aparat znajdował się w ciemnym korytarzyku. Podniósł słuchawkę.

- Halo! - usłyszał głos Frankie.

- Halo, Frankie! - zawołał bezmyślnie.

- Tu mówi lady Frances Derwent - rozległ się surowy głos w słuchawce. - Czy to Hawkins?

- Tak jest, jaśnie pani.

- Samochód ma być gotowy do wyjazdu do Londynu o dziesiątej.

- Ma się rozumieć, wasza lordowska mość.

Kiedy powinno się mówić „jaśnie panienko”, kiedy „wasza lordowska mość”, a kiedy „milady”? rozmyślał. Powinienem wiedzieć, ale nie wiem. Przy takich potknięciach może zdemaskować byle lokaj albo szofer.

Frankie odwiesiła słuchawkę i zwróciła się do Rogera Bassington-ffrencha.

- Szkoda, że muszę jechać do Londynu. Wszystko przez ojca, robi tyle zamieszania.

- Ale - zaniepokoił się - wracasz wieczorem?

- O, tak.

- Właściwie miałem zamiar cię poprosić o podrzucenie do Londynu... - rzucił od niechcienia.

Frankie odpowiedziała po prawie niedostrzegalnej pauzie, starając się nadać swemu głosowi możliwie entuzjastyczne brzmienie:

- Oczywiście, proszę bardzo!

- ...ale po namyśle uznałem, że nie pojedę dzisiaj - ciągnął Roger. - Henry jest jeszcze gorszy niż zazwyczaj. Boję się o Sylwię.

- Rozumiem.

- Sama będziesz prowadzić? - zapytał niewinnie, kiedy odchodzili od telefonu.

- Tak, ale biorę Hawkinsa. Mam zakupy do zrobienia, a nie wszędzie można zostawić samochód bez dozoru.

- Naturalnie.

Nie dodał nic więcej, ale kiedy samochód podjechał, z Bobbym za kierownicą, sztywnym i oficjalnym, wyszedł na próg popatrzeć, jak odjeżdżają.

- Do widzenia - powiedziała Frankie. Nie miała zamiaru podawać mu ręki, ale sam po nią sięgnął i przytrzymał chwilę.

- Wrócisz na pewno? - zapytał z niezwykłym naciskiem.

Frankie się roześmiała.

- Pewnie, że tak. Mówię „do widzenia” tylko do wieczora.

- Uważaj na drodze.

- Każę prowadzić Hawkinsowi, jeśli chcesz.

Usiadła obok Bobby'ego, który podniósł palce do daszka. Samochód ruszył podjazdem, Roger stał w progu i patrzył za nim.

- Bobby - spytała Frankie - czy sądzisz, że Roger mógł się we mnie zadurzyć?

- A co, zakochał się?

- No wiesz, zastanawiam się tylko...

- Myślę, że dobrze znasz objawy tego stanu - powiedział Bobby, ale widać było, że myślami jest gdzie indziej. Frankie posłała mu szybkie spojrzenie.

- Czy... czy coś się stało? - spytała.

- Tak, istotnie. Znalazłem tę dziewczynę z fotografii.
- To znaczy tę, o której tyle opowiadałeś, z tego zdjęcia w kieszeni nieboszczyka?!
- Tę samą.
- Bobby! Mam ci sporo do opowiedzenia, ale nic aż takiego kalibru. Gdzie ją znalazłeś?
- W zakładzie Nicholsona.
- Opowiadaj.

Rzeczowo i systematycznie Bobby opisał jej wszystko, co zdarzyło się poprzedniego wieczoru. Frankie słuchała z zapartym tchem.

- Czyli jesteśmy na właściwym tropie - powiedziała! - A doktor Nicholson jest w to wszystko wmieszany. Boję się tego człowieka.

- Jak on wygląda?

- Wielki i silny. I uważnie obserwuje ludzi. Bacznie i systematycznie, zza tych swoich okularów. I ma się wrażenie, że wszystko wie o człowieku.

- Jak go poznałaś?

- Był na kolacji u Bassington-ffrenchów. Opowiedziała, jak przebiegło przyjęcie, podkreślając dociekliwość Nicholsona w sprawie „wypadku”.

- Był strasznie podejrzliwy - zakończyła.

- Zastanawiające jest to jego zamiłowanie do szczegółów. Jak sądzisz, co się za tym wszystkim kryje?

- Wiesz, zaczynam znów się skłaniać do hipotezy o przemyśle narkotyków. To może być to.

- Doktor Nicholson jako szef bandy?

- Ten jego ośrodek może świetnie służyć za przynętę. Pewne ilości narkotyków są tam całkiem legalne. Natomiast udając, że prowadzi leczenie odwykowe, może w rzeczywistości być dostawcą towaru dla narkomanów.

- To brzmi dość wiarygodnie - zgodził się bez większego przekonania Bobby.

- Nie opowiedziałam ci jeszcze o Henrym Bassington-ffrenchu.

Bobby z uwagą wysłuchał opowieści o dziwnym zachowaniu się gospodarza.

- Żona nic nie podejrzewa?

- Jestem pewna, że nie.

- A jaka ona jest? Inteligentna?

- Prawdę mówiąc, nie zastanawiałam się nad tym. Nie, myślę, że nie za bardzo. Ale pod pewnymi względami jest dość rozsądna. Szczera, sympatyczna kobieta.

- A nasz Bassington-french?

- Tutaj czuję się dość zagubiona - rzekła powoli. - Czy nie uważasz, że co do niego mogliśmy kompletnie się mylić?

- Bzdura - orzekł Bobby. - Przemyśleliśmy wszystko i wyszło na to, że to on jest czarnym charakterem w tej sztuce.

- Z powodu fotografii?

- Właśnie. Nikt inny nie miał okazji zamienić zdjęcia.

- Dobrze. Ale to jest jedyna poszlaka przeciwko niemu.

- Chyba wystarczy.

- Może i tak, ale...

- Co „ale”?

- Nie wiem, ale mam dziwne przeczucie, że jest niewinny. Że nie ma żadnego związku z tą sprawą.

Bobby przyjrzał się jej zimno.

- Czy mówiłaś, że to on zadurzył się w tobie, czy też, że ty w nim.

Frankie oblała się rumieńcem.

- Nie opowiadaj głupstw, Bobby. Po prostu zastanawiam się, czy nie można znaleźć jakiegoś wyjaśnienia, nie obciążając go winą?

- Nie widzę sposobu. Zwłaszcza że znaleźliśmy w sąsiedztwie tę dziewczynę. To przesądza sprawę. Gdybyśmy tylko mieli jakieś wskazówki co do tożsamości zabitego...

- Och, przecież pisałam ci, że wiem, kto to był. Jestem prawie pewna, że zamordowany to ktoś o nazwisku Alan Carstairs.

Frankie podjęła swoją relację.

- No, widzę, że naprawdę posuwamy się naprzód - Bobby. - Teraz musimy podjąć próbę

rekonstrukcji wyda które doprowadziły do zbrodni. Zbierzmy i usystematyzujmy znane fakty i zobaczymy, co z tego wyniknie.

Przerwał na chwilę, a samochód, jakby wyczuwając jego wahanie, zwolnił nieco. Bobby przemówił, dociskając nogą gazu:

- Po pierwsze, założmy, że masz rację z tym Carstairsem. Pasuje do naszej koncepcji jak ułaz. Facet dużo podróżuje, ma niewielu znajomych w Anglii, jego nieobecność nie budzi zdziwienia, nikt go nie szuka.

- Jak dotąd dobrze - stwierdziła Frankie.

- Alan Carstairs przyjeżdża do Staverley z tymi ludźmi, jak się nazywają?

- Rivingtonowie. Wiele sobie po nich obiecuję, jeśli uda nam się ich znaleźć.

- Będziemy szukać. No dobrze, Alan Carstairs przybywa do Staverley z Rivingtonami. Czy myślisz, że coś się za tym kryło?

- Rozumiem, że zastanawiasz się, czy chciał przyjechać do Bassington-ffrenchów w jakimś z góry upatrzonym celu?

- Właśnie. Ale może był to jednak przypadek? Przyjechał tu ze znajomymi i natknął się na tę dziewczynę przypadkowo, tak jak ja? Podejrzewam, że musiał znać ją wcześniej, bo inaczej dlaczego nosiłby przy sobie jej fotografię?

- Możliwe też - głośno zastanawiała się Frankie - że Carstairs był już na tropie Nicholsona i jego kompanii.

- A Rivingtonów wykorzystał jako pretekst, żeby się tu dostać, nie wzbudzając podejrzeń?

- To prawdopodobna hipoteza - orzekła Frankie. - Mógł być na tropie gangu.

- Albo na tropie dziewczyny, po prostu.

- Dziewczyny?

- Tak. Może została porwana? Mógł przybyć do Anglii, aby jej poszukiwać.

- Więc dobrze. Ale skoro wytropił ją w Staverley, to po co jechał do Walii?

- Trudno powiedzieć, nie wiemy jeszcze wszystkiego - przyznał Bobby.

- Evans... - powiedziała Frankie w zamyśleniu. - Żadnych wskazówek co do Evansa. Evans musi być związany z Walią.

Milczeli oboje przez chwilę. Nagle Frankie ocknęła się z zadumy i rozejrzała po okolicy.

- Patrz, jesteśmy już na Putney Hill. Ta jazda minęła jak z bicza trząśł. Dokąd teraz jedziemy i co mamy zamiar robić?

- To ty tu rządzisz. Ja nawet nie wiem, po co wybraliśmy się do Londynu.

- Podróż miała być tylko wymówką, żeby porozmawiać z tobą. Nie mogliśmy ryzykować, żeby widziano mnie, jak przechadzam się po uliczkach Staverley z szoferem pod rękę, zatopiona w rozmowie z nim. Ten niby-list od ojca posłużył mi jako pretekst do podróży. O mały włos cały plan nie wziął w łeb przez Bassington-ffrencha, który miał ochotę się z nami zabrać.

- To by nam rzeczywiście pomieszało szyki.

- Nie całkiem. Wysadzilibyśmy go, gdzie by chciał, a potem byśmy pojechali na Brook Street i omówili wszystko. Jedźmy tam tak czy owak. Twoje lokum przy warsztacie może być pod obserwacją.

Bobby przyznał jej słusność i opowiedział o tajemniczym nieznajomym, który dopytywał się o niego w Marchbolt.

- Pojedziemy więc do stołecznej rezydencji Derwentów - zdecydowała. - Nie ma tam teraz nikogo oprócz mojej służącej i stróża.

Wjechali w Brook Street. Frankie zadzwoniła i weszła. Bobby czekał w samochodzie. Potem drzwi znowu się otworzyły i stanęła w nich Frankie, przywołując go. Weszli na górę i dużego salonu, odsłoniли rolety i zdjęli pokrowiec z jednej z sof.

- Jest coś, o czym zapomniałam ci powiedzieć - zaczęła Frankie. - Szesnastego, w dniu, kiedy próbowano cię otruć, Bassington-ffrench był w Staverley, za to Nicholson wyjechał podobno na konferencję do Londynu. A jeździ ciemnoniebieskim talbotem.

- I ma łatwy dostęp do morfiny - dodał Bobby.

Wymienili znaczące spojrzenia.

- Może to nie jest jeszcze dowód - rzekł Bobby. - Ale komponuje się nieźle.

Frankie podeszła do stolika i wzięła książkę telefoniczną.

- Co chcesz zrobić?

- Szukam nazwiska Rivington. Kartkowała książkę w pośpiechu.

- A. Rivington i Synowie, firma budowlana; B.A.C. Rivington, chirurg szczękowy; D. Rivington, Shooters Hill; nie, to chyba nie ten; panna Florence Rivington, pułkownik H. Rivington, kawaler orderu D.S.O... już raczej ten, Tite Street, Chelsea...

Szukała dalej.

- Mamy tu M.R. Rivingtona na Onslow Square. To może być ten. I jeszcze William Rivington w Hampstead. Myślę, że ci z Onslow Square i Tite Street to najlepsi kandydaci. Trzeba z nimi zobaczyć natychmiast.

- Masz rację. Ale właściwie co im powiemy? Wymyśl jakieś prawdopodobne łgarstwo, Frankie. Ja nie jestem w tym dobry.

Frankie zastanawiała się przez jakiś czas.

- Myślę - rzekła - że wyślemy tam ciebie. Czy sądzisz, że mógłbyś być aplikantem w szacownej kancelarii adwokackiej?

- To bardzo godna rola. Bałem się, że wymyślisz coś znacznie gorszego. Ale czy dadzą się nabrać?

- Dlaczego by nie?

- No, wiesz, adwokaci rzadko składają osobiście wizyty, prawda? - Bobby miał wątpliwości. - Zwykle wysyłają pisma, po sześć szylingów osiem pensów każde, albo wyznaczają delikwentowi spotkanie w kancelarii.

- Ta konkretna kancelaria działa niekonwencjonalnie - oświadczyła Frankie. - Zaczekaj momentik.

Wyszła i wróciła z wizytówką w ręku.

- Frederick Sprogge - przeczytała, wręczając ją Bobby'emu. - Jesteś młodszym współwłaścicielem kancelarii prawniczej Spragge, Spragge, Jenkinson i Spragge z Bloomsbury Square.

- Wymyśliłaś tę firmę?

- Oczywiście, że nie. To adwokat mojego ojca.

- A jak mnie podadzą do sądu za podszywanie się pod nich?

- Nie martw się. Jest tam tylko jeden Spragge, stary jak świat i je mi z ręki. Załatwię z nim wszystko, gdyby doszło do jakiejś wpadki. To niewiarygodny snob, uwielbia lordów i książęta, nawet jeśli nie wyciąga z nich zbyt wielkich pieniędzy.

- A co z tym uniformem? Mam zadzwonić po Badgera, żeby przyniósł jakieś moje ubranie?

Frankie spojrzała na niego z powątpiewaniem.

- Nie chciałabym cię obrazić Bobby, ani wypominać ci twojej nędzy, ani nic takiego, ale nie sądzę, żebyś wśród swojej garderoby miał coś, co podołałoby zadaniu. Lepiej zrobmy najazd na garderobę ojca. Jego rzeczy powinny leżeć na tobie jako tako.

W kwadrans później Bobby - odziany w lekki płaszcz i spodnie w prążki o nienagannym kroju, które leżały na nim zupełnie nieźle - przeglądał się w lustrze lorda Marchingtona.

- Twój ojciec ma niezły gust, jeśli chodzi o ubrania - stwierdził łaskawie. - W takim czymś czuję, jak wzrasta moja pewność siebie.

- Chyba pozostaniesz przy wąsach - zasugerowała - To raczej one pozostaną przy mnie. Takie dzieło sztuki niełatwo byłoby powtórzyć.

- A więc zatrzymaj je, chociaż gładko wygolony wygląda bardziej na prawnika.

- Zawsze to lepiej niż broda. Słuchaj, Frankie, jak sądzisz, czy twój tata mógłby pożyczyć mi kapelusz?

Pani Rivington zabiera głos

- A co będzie, jeżeli pan M.R. Rivington z Onslow Square sam okaże się prawnikiem? To byłaby wpadka na całej linii.

- No to zacznijmy od pułkownika z Tite Street. Ten nie będzie miał nic wspólnego z adwokatami.

Jak uzgodniono, Bobby pojechał taksówką na Tite Street. Pułkownik Rivington właśnie wyszedł, ale była za to jego małżonka. Bobby wręczył eleganckiej służącej swoją wizytówkę, na której dopisał: Z kancelarii Spragge, Spragge, Jenkinson & Spragge. Bardzo pilne.

Wizytówka wraz z ubraniem lorda Marchingtona wywarły na służącej pożądany efekt. Nawet przez moment nie pomyślała, że ma do czynienia z domokrążcą sprzedającym miniatury albo namawiającym do zawierania ubezpieczeń, i natychmiast wprowadziła go do ładnie i kosztownie umeblowanego salonu. Za chwilę weszła pani Rivington, ubrana także ładnie i kosztownie °raz ładnie i kosztownie umalowana.

- Zechce mi pani wybaczyć ten kłopot, pani Rivington - zaczął wyjaśniać Bobby - ale sprawa jest pilna i chcieliśmy uniknąć dalszych opóźnień przez listowne jej załatwienie.

To, że jakikolwiek adwokat chciał przyspieszyć załatwienie Jakiegokolwiek sprawy, wydawało się tak nieprawdopodobne, że Bobby przez chwilę obawiał się, iż pani Rivington przejrzy Cały podstęp. Była to jednak najwyraźniej kobieta raczej piękna niż mądra i przyjmowała każde wyjaśnienie za dobrą netę.

- Ach, proszę, niechże pan usiądzie. Właśnie miałam telefon z pańskiej kancelarii, że pan jest w drodze.

Bobby w myślach pogratulował Frankie przebłysku geniuszu, który zjawił się w ostatniej chwili.

Usadowił się i przybrał najbardziej prawniczy wygląd, na jaki go było stać.

- Rzeczą dotyczy naszego klienta, pana Alana Carstairs - zaczął.

- Ach, tak?

- Pewnie wspominał, że jesteśmy jego pełnomocnikami.

- Wspominał? Bardzo możliwe... - powiedziała pani Rivington, otwierając szeroko swoje duże niebieskie oczy. Najwidoczniej można jej było wmówić wszystko. - Ale ja znam waszą firmę. Braliście udział w sprawie Dolly Maltravers, tej, co zastrzeliła tę okropną krawcową, prawda? Na pewno zna wszystkie szczegóły...

Przyglądała mu się z bezbrzeżną ciekawością. Dla Bobby'ego stało się jasne, że pani Rivington będzie łatwym kąskiem.

- Proszę pani, znam mnóstwo szczegółów, których nie ujawnia się przed sądem - rzekł z porozumiewawczym uśmiechem.

- O, nie wątpię - patrzyła na niego wyczekująco. - Niech pan zdradzi, czy ona naprawdę... to znaczy, czy ona była naprawdę tak ubrana, jak zeznała, tamta kobieta?

- Proszę pani, to zostało zakwestionowane w sądzie - z powagą wyrzekł Bobby, jednocześnie nieznacznie przymrużając oko.

- Ach, rozumiem - westchnęła z rozkoszą pani Rivington.

- Wracając do pana Carstairsa - Bobby czuł, że po nawiązaniu przyjacielskich stosunków przyszła pora na pracę - wyjechał z Anglii nagle, jak pani pewnie wiadomo.

Pani Rivington pokręciła głową.

- Wyjechał? Nie miałam pojęcia. Nie widzieliśmy go jakiś czas.

- Czy mówił państwu, jak długo zamierzał pozostać w Anglii?

- Nie był pewien. Mówił, że może posiedzieć tydzień lub dwa, a równie dobrze pół roku czy rok.

- Gdzie mieszkał?

- W Savoyu.

- A ostatnio kiedy pani go widziała?

- Jakieś trzy tygodnie, może miesiąc temu. Nie pamiętam dokładnie.

- Był z państwem w Staverley, czy tak?

- Tak, naturalnie. To właśnie wtedy widzieliśmy się ostatni raz. Dopiero co przyjechał do Londynu. Zadzwoniliśmy do mego, żeby wpadł. Henry był zdenerwowany, bo chciał zobaczyć się z Carstairsem, którego bardzo lubił, a nazajutrz mieliśmy jechać do Szkocji. Tego dnia byliśmy umówieni w Staverley na lunch, i jeszcze wieczorem z jakimiś beznadziejnymi ludźmi na kolację, której nie mogliśmy odwołać. Powiedział więc: kochanie, weźmy go ze sobą do Bassington-ffrenchów, im to nie sprawi różnicy. Tak zrobiliśmy, a oni oczywiście nie mieli nic przeciwko temu.

Przerwała, bo zabrakło jej tchu.

- Czy wspominał państwu, w jakim celu przyjechał do Anglii?

- Nie. A miał jakiś szczególny cel? Ach, tak, już wiem. Zdaje się, że chodziło o jego przyjaciela, tego milionera, który zginął tak tragicznie. Jakiś lekarz mu powiedział, że ma raka, więc się zabił. Co za lekarz, jak mógł coś takiego powiedzieć! Przecież mogła zajść pomyłka. Kiedyś lekarz mi wmawiał, że moja mała ma odrę, a okazało się, że to zwykłe potówki. Powiedziałam Hubertowi, że powinniśmy zmienić lekarza.

Puszczając mimo uszu perorę na temat lekarzy, Bobby z niejakim trudem wrócił do sedna sprawy.

- Czy pan Carstairs znał Bassington-ffrenchów?

- Ach, nie. Ale myślę, że go polubili. W drodze powrotnej był, co prawda, jakiś dziwny i nie w humorze. Może usłyszał coś, co go zdenerwowało. To Kanadyjczyk, wie pan, jacy Kanadyjczycy są drażliwi.

- Nie domyśla się pani, co go mogło zdenerwować?

- Nie mam najmniejszego pojęcia. Czasami jakieś głupstwo potrafi nas wyprowadzić z równowagi, prawda?

- Czy był na jakimś spacerze w okolicy? - indagował dalej.

- Ależ skąd, co za pomysł. - Zaczęła mu się przyglądać. Bobby nie dawał za wygraną.

- Może byli jacyś inni goście? Z sąsiedztwa?

- Nie, byliśmy tylko my. Ale to ciekawe, że pana też to interesuje.

- Tak? - zachęcał Bobby.

- Ponieważ Carstairs strasznie się dopytywał o jakichś ludzi, którzy mieszkali gdzieś niedaleko.

- Pamięta pani nazwisko?

- Niestety, nie. To nikt specjalnie interesujący, chyba lekarz.

- Doktor Nicholson?

- Chyba tak. Chciał jak najwięcej wiedzieć o nim i jego żonie: kiedy przyjechali, wszystko. Nie wydaje mi się, żeby ich znał, a w ogóle nie należał do ciekawskich. Ale może po prostu z braku inwencji uczeplił się tego tematu, żeby podtrzymać konwersację. To się czasem zdarza.

Bobby potwierdził, że rzeczywiście, i zapytał, w jaki sposób rozmowa zeszła na Nicholsonów, ale pani Rivington w tej sprawie nie mogła mu pomóc. Była w ogrodzie z Henrym Bassington-ffrenchem, a kiedy wrócili, dyskusja o Nicholsonach już w pełnym toku.

Jak dotąd przesłuchanie szło jak po maśle, Bobby prowadził ją na pasku, jak chciał, ale nagle zrobiła się czujna.

- A właściwie to czemu pan się tak dopytuje o pana Carstairsa? - zapytała.

- Prawdę mówiąc, potrzebny mi tylko jego adres - wyjaśnił. - Jak pani wiadomo, jesteśmy jego pełnomocnikami, a właśnie otrzymaliśmy ważny teleks z Nowego Jorku, rozumie pani, chodzi o te wahania kursu dolara... - Na twarzy pani Rivington odmalował się rozpaczliwy wysiłek umysłowy. - ...A nie zostawił nam swojego adresu, natomiast kiedyś wspomniał o państwie jako znajomych, więc pomyśleliśmy, że być może jesteście państwo w posiadaniu jakichś wiadomości o nim.

- Ach, rozumiem - pani Rivington była całkowicie usatysfakcjonowana. - Co za szkoda! Wie pan, on zawsze chodzi własnymi drogami.

- Tak, z pewnością. Jeśli pani pozwoli - wstał - przeproszę ją, że zabrałem tyle cennego czasu i pożegnaj się.

- Ależ zaden kłopot. A poza tym to takie ciekawe, że to właśnie Doily Maltravers naprawdę to zrobiła, jak pan powiedział.

- Nic takiego nie powiedziałem - zaprzeczył Bobby.

- Wiem, wiem, prawnicy zawsze są dyskretni, prawda? - zachichotała pani Rivington.

A więc udało się, pomyślał Bobby, opuszczając Tite Street. Zdaje się, że na dobre zszargałem opinię tej Dolly Jakjejtam, ale na pewno sobie na to zasłużyła. Ta czarująca idiotka, pani Rivington, w życiu się nie zastanowi, dlaczego po prostu nie zadzwoniłem i nie zapytałem o adres Carstairsa.

Kiedy wrócił na Brook Street, przedyskutowali z Frankie sprawę z każdej strony.

- Wygląda na to, że wizyta u Bassington-ffrenchów to był czysty przypadek - rzekła Frankie w zadumie.

- Tak wygląda. Ale ewidentnie stało się tam coś, co skierowało jego uwagę na Nicholsonów.

- A więc w istocie to nie Bassington-ffrench jest jądrem tajemnicy, ale Nicholson.

Bobby spojrzał na nią.

- Wciąż chcesz wybielić swojego bohatera? - spytał chłodno.

- Mój drogi, staram się być tylko obiektywna. To wzmianka o Nicholsonie lub jego zakładzie tak wzburzyła Carstairsa. Fakt, że zdarzyło się to u Bassington-ffrenchów, był czystym przypadkiem. Musisz to chyba przyznać.

- Może i tak.

- Dlaczego „może”?

- No, bo jest jeszcze inna możliwość. Mógł się w jakiś sposób dowiedzieć, że Rivingtonowie wybierają się na lunch Bassington-ffrenchów. Mógł gdzieś zasłyszeć na ten ten przypadkową uwagę, np. w hotelowej restauracji. Dzwoni do nich, mówi, że pilnie chce z nimi pogadać i udaje mu mają mało czasu, proponują mu wspólny wyjazd do Staverley. Mogło i tak być, Frankie.

- No, może, jest taka możliwość. Ale po co by tak motał?

- A po co namotałaś swój „wypadek”?

- Mój wypadek to była energiczna akcja specjalna - chłodno zauważyła Frankie.

Bobby zdjął ubranie lorda Marchingtona i odłożył je na miejsce. Przyodział swój szoferski uniform i wkrótce je z powrotem do Staverley.

- Skoro Roger się we mnie kocha - zaczęła Frankie z wrodzoną sobie skromnością - będzie zachwycony, że tak szybko wracam. Pomyśli, że żyć bez niego nie mogę.

- Zdaje się, że to ty nie możesz żyć bez niego - stwierdził Bobby. - Słyszałem, że niebezpieczni przestępcy są zwykle bardzo atrakcyjni.

- Jakoś nie mogę uwierzyć w jego przestępczą naturę.

- Już to mówiłaś.

- Nic na to nie poradzę.

- Nie możesz jednak zignorować sprawy fotografii.

- Do diabła z fotografią - fuknęła Frankie.

Bobby podjechał w milczeniu pod dom. Frankie wysiadła i weszła, nie oglądając się za siebie.

Bobby odjechał.

Dom był cichy. Spojrzała na zegarek, było wpół do trzeciej.

Nie spodziewają się mnie jeszcze przez kilka godzin, pomyślała. Ciekawe, gdzie są?

Otworzyła drzwi biblioteki. Scena, którą ujrzała, tak ją zaskoczyła, że potknęła się w progu.

Na sofie siedzieli doktor Nicholson i Sylvia Bassington-ffrench. On trzymał obie jej ręce w swoich dłoniach.

Sylvia zerwała się na równe nogi i podbiegła do Frankie.

- Właśnie mi mówił... - zaczęła. Głos jej się załamał. Ukryła twarz w dłoniach, jakby chcąc uciec przed jej wzrokiem. - To zbyt okropne... - zaszlochała i wybiegła, potrącając Frankie.

Doktor Nicholson był już na nogach. Frankie postąpiła krok w jego kierunku. Jego spojrzenie, jak zawsze uważne, skrzyżowało się z jej spojrzeniem.

- Biedaczka - rzekł z podejrzaną słodyczą. - To dla niej wielki wstrząs.

Zauważyła drganie w kąciku jego ust. Przez moment zdawało jej się, że jest rozbawiony. Po chwili zrozumiała, że nie było mu do śmiechu.

To była wściekłość. Opanowywał się, ukrywając prawdziwe emocje pod maską uprzejmości, ale udawało mu się to z trudem.

Zapadła chwilowa cisza.

- Dobrze się stało, że poznała prawdę - rzekł doktor. - Chcę, żeby nakłoniła męża, aby oddał się w moje ręce.

- Zdaje się, że wam przeszkodziłam - powiedziała Frankie spokojnie. Po przerwie dodała: - Wróciłam wcześniej niż zamierzałam.

Dziewczyna ze zdjęcia

W gospodzie przywitała Bobby'ego wiadomość, że ktoś go oczekuje.

- To dama. Czeka na pana w saloniku pana Askew. Bobby udał się do saloniku zastanawiając się, kto to może być. Frankie musiałaby mieć skrzydła, żeby go wyprzedzić. Nikt inny nie przyszedł mu do głowy.

Otworzył drzwi pokoju, którego pan Askew używał jako swojego osobistego saloniku. W fotelu ujrzał wyprostowaną, szczupłą postać w czerni: dziewczynę ze zdjęcia. Zaskoczony, przez dobrą chwilę nie mógł wykrztusić słowa. Zauważył, że dziewczyna jest bardzo zdenerwowana. Jej drobne dłonie drżały i zaciskały się rytmicznie na poręczach fotela. Wydawało się, że nie będzie w stanie mówić, ale jej wielkie oczy były mimo to pociągające.

- A więc... to pani - wykrztusił w końcu. Zamknął za drzwi i podszedł do stolika. Dziewczyna nadal milczała, wpatrując się w niego swymi wielkimi, przerażonymi oczyma. Wreszcie z jej ust wydobył się chrapliwy szept:

- Powiedział pan... powiedział pan, że mi pomoże... chyba nie powinnam była przychodzić...

Bobby nagle odzyskał zarazem mowę i pewność siebie.

- Nie powinna pani przychodzić? Ależ skąd! Bardzo dobrze, że pani przysła. Zrobię wszystko, wszystko co w mojej żęby pani pomóc. Proszę się nie lękać. Tu jest pani zupełnie bezpieczna.

Policzki dziewczyny zaróżowiły się. Spytała nagle:

- Kim pan jest? Nie jest pan przecież... nie jest pan kierowcą. Może pan i jest, ale nie wygląda pan na szofera.

- W dzisiejszych czasach człowiek musi się imać różnych zajęć. Kiedyś byłem w marynarce. Ściśle mówiąc, nie jestem wyłącznie szoferem, ale to teraz nie ma znaczenia. Może mi pani ufać, zapewniam panią. Proszę mi wszystko opowiedzieć.

Rumieniec na jej twarzy zaognił się.

- Pomyśli pan, że oszalałam - wymamrotała. - Weźmie mnie pan za wariatkę.

- Nie, nie.

- Tak, kto to widział, żeby nachodzić kogoś w ten sposób. Ale tak się bałam, tak okropnie się bałam - głos jej się załamał. Oczy rozszerzyły się, jakby ujrzała coś przerażającego.

Bobby starał się dodać jej otuchy, mocno ująwszy za rękę.

- Proszę posłuchać - powiedział. - Już dobrze. Wszystko będzie w porządku. Jest pani bezpieczna, jestem przyjacielem. Włos pani z głowy nie spadnie.

Jej dłoń odpowiedziała delikatnym uściskiem.

- Kiedy pojawił się pan w świetle księżycy tej nocy - zaczęła pośpiesznie półgłosem - zdawało mi się, że śnię, śnię o ocaleniu. Nie wiedziałam, kim pan jest i skąd pan przychodzi, ale natchnął mnie pan nadzieją. Zapraǳnęłam pana odnaleźć i powiedzieć wszystko.

- To dobrze - rzekł Bobby zachęcająco. - Proszę mówić. Proszę opowiedzieć o wszystkim.

Cofnęła gwałtownie rękę.

- Jeżeli to zrobię, pomyśli pan, że jestem umysłowo chora, że udzieliło mi się szaleństwo innych lokatorów tamtego miejsca.

- Nigdy, przenigdy tak nie pomyślę.

- A jednak... Sama wiem, że zabrzmiałoby to jak wynurzenia szaleńca.

- Proszę mówić, wiem, że nie jest pani chora, błagam panią.

Odsunęła się od niego odrobinę, wyprostowała, patrzyła przed siebie.

- Po prostu boję się, że zostanę zamordowana.

Głos miała suchy i chrypliwy. Widać było, że stara się panować nad sobą, ale ręce jej drżały.

- Zamordowana?

- Tak, mówię jak wariatka, prawda? Jak cierpiąca na, jak to się nazywa... mania prześladowcza?

- Nie - rzekł Bobby. - Wierzę pani. Nie jest pani umysłowo chora, tylko po prostu przerażona. Kto i dlaczego chce panią zabić?

Dobrą chwilę nie odzywała się, nerwowo splatając i rozplatając palce. Wreszcie powiedziała cicho:

- Mój mąż.

- Pani mąż!?! - myśli zaczęły pędzić jak oszalałe. - Kim pani jest? - spytał obcesowo.

Teraz z kolei ona była zaskoczona.

- To pan nie wie?

- Nie mam najmniejszego pojęcia.

- Jestem Moira Nicholson - powiedziała. - Doktor Nicholson to mój mąż.

- Więc nie jest pani pacjentką?

- Pacjentką? Ależ skąd! - Jej twarz nagle pociemniała. - Pewnie pomyślał pan, że mówię jak jedna z nich?

- Nie, w żadnym razie. - Wychodził ze skóry, żeby mu uwierzyła. - Naprawdę. Nawet przez chwilę tak nie pomyślałem. Byłem tylko zaskoczony, że jest pani mężatką, i... i w ogóle. Ale niech pani mówi dalej. Mąż chce panią zamordować...

- To brzmi... wiem, nieprawdopodobnie... Ale tak jest, naprawdę. Widzę to w jego oczach, kiedy na mnie patrzy. I zdarzały się różne dziwne rzeczy, tajemnicze wypadki.

- Wypadki? - spytał ostro.

- Tak. Ach, wiem, że wyglądam na histeryczkę, sądzi pan, że zmyślam...

- Ani trochę. To brzmi całkiem rozsądnie. Proszę opowiadać dalej. O tych wypadkach.

- Po prostu wypadki. Kiedyś cofał samochód i omal mnie nie przejechał, w ostatniej chwili uskoczyłam, innym razem pomyłono butelki z lekarstwem, niby głupstwa, nikt by nic nie podejrzewał, ale ja wiem, że to było celowe. Wiem to. To mnie wykończy, ciągle muszę uważać, strzec się, żeby nie narażać życia.

Przełknęła z trudem ślinę.

- Dlaczego mąż chce się pani pozbyć? - zapytał.

Nie spodziewał się aż tak konkretnej odpowiedzi, a przyszła ona natychmiast:

- Bo chce się ożenić z Sylvią Bassington-ffrench.

- Co? Przecież ona jest mężatką!

- Wiem. Ale on temu zaradzi.

- Jak?!

- Dokładnie nie wiem. Wiem za to, że próbuje wpakować pana Bassington-ffrencha do swojego zakładu.

- I co wtedy?

- Nie wiem, ale coś na pewno się stanie... Zadrzała.

- Ma na pana Bassington-ffrencha jakiś haczyk. Nie wiem jaki.

- Henry Bassington-ffrench bierze morfinę - powiedział Bobby.

- Naprawdę? To Jasper musi mu ją dawać.

- Przychodzi pocztą.

- Z pewnością Jasper nie robi tego bezpośrednio, jest na to za sprytny. Pan Bassington-ffrench może nawet nie wiedzieć, że to sprawka Jaspera, ale to on, na pewno. Jak już Jasper dostanie go w swoje ręce, niby żeby go wyleczyć, to... - przerwała i zadrzała ponownie. - Tam, w Grange, dzieją się najróżniejsze rzeczy. Dzwonek przychodzi, żeby wyzdrowieć, a pogarsza im się.

Gdy tak opowiadała, Bobby'ego ogarnął powiew dziwnej, złej atmosfery, jaka panowała w Grange. Przez moment odczuł lęk, który jak kokon spowijał przez długi czas życie Moiry Nicholson.

Spytał prosto z mostu:

- Naprawdę pani mąż chce się ożenić z Sylaia Bassington-ffrench?

Moira skinęła głową.

- Stracił dla niej głowę!

- A ona?

- Nie wiem. Trudno wyrobić sobie zdanie. Na pozór bardzo kocha męża i syna, jest spokojna i zadowolona. Sprawia wrażenie osoby nieskomplikowanej, ale czasami wydaje mi się, że za jej prostotą kryje się coś więcej. Zastanawiam się czasami, czy przypadkiem nie różni się całkowicie od naszych wyobrażeń o niej, czy nie jest doskonałą aktorką, która nas wszystkich wyprowadziła w pole... Nie wiem, może to tylko moja chora wyobraźnia... może to bzdura... Jak się przebywa w takim miejscu jak Grange, umysł zaczyna płatać figle...

- A co z Rogerem, bratem Henry'ego?

- Niewiele o nim wiem. Myślę, że jest sympatyczny, ale obawiam się, że należy do tych, których łatwo nabrać. Jest wielkim wpływem Jaspera, wiem to. Jasper stara się go konać, żeby skłonił Henry'ego do leczenia w Grange. Obawiam się, że Roger już uwierzył, że to jego własny pomysł. - Pochyliła się gwałtownie i schwyciła Bobby'ego za rękaw. - Nie pozwólcie mu iść do Grange - wyrzuciła gwałtownie. - Gdy się tam znajdzie, stanie się coś strasznego, na pewno.

Bobby milczał dłuszą chwilę, przetrawiając w myślach rewelacje, które właśnie usłyszał.

- Jak dawno wyszła pani za Nicholsona? - zapytał w końcu.

- Ponad rok temu. - Wzdrygnęła się.

- Nie chciała pani od niego odejść?

- Jak? Nie mam dokąd iść. Nie mam pieniędzy. Co miałabym powiedzieć ewentualnemu wybawcy? Historyjkę o tym, że mąż chce mnie zabić? Kto w to uwierzy?!

- No, ja pani wierzę. - Znów zamilkł, jakby podejmując decyzję. Potem wyrzucił z siebie: - Czy pani zna człowieka o nazwisku Alan Carstairs?

Zaczerwieniła się.

- Dlaczego pan o to pyta?

- Muszę wiedzieć, to ważne. Wydaje mi się, że pani znała Alana Carstairsa, i że dała mu pani

kiedyś swoje zdjęcie.

Milczała chwilę, spuściwszy wzrok. Potem uniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

- Tak, to prawda.

- Znała go pani jeszcze przed ślubem?

- Tak.

- Czy był tutaj, kiedy była pani już zamężna?

Zawahała się.

- Tak, raz.

- Jakiś miesiąc temu?

- Tak, myślę, że to było jakiś miesiąc temu.

- Wiedział, że pani tu mieszka?

- Nie wiem, skąd wiedział, ja mu nie mówiłam. Nie pisałam do niego od czasu zamążpójścia.

- A on się jakoś dowiedział i przyjechał się z panią zobaczyć, Czy pani mąż o tym wiedział?

- Nie.

- Tak pani myśli. A jeśli wiedział?

- Jeśli się dowiedział, to nie dał tego po sobie poznać.

- Czy Carstairsowi mówiła pani o mężu? Czy powiedziała mu pani o swoim lęku o życie?

Pokręciła głową.

- Jeszcze wtedy nic nie podejrzewałam.

- Ale nie była pani szczęśliwa?

- Nie.

- I powiedziała mu pani o tym?

- Nie. Staralam się nie okazywać, że moje małżeństwo okazało się fiaskiem.

- Niemniej jednak mógł się domyślić? - powiedział łagodnie.

- Chyba mógł - zgodziła się półgłosem.

- Czy sądzi pani... nie wiem jak to powiedzieć, ale czy i pani, że Carstairs mógł wiedzieć coś o pani mężu, że podejrzewał, na przykład, że ten ośrodek to nie jest to, na co wygląda?

Zmarszczyła brwi namyślając się.

- Całkiem możliwe - powiedziała wreszcie. - Zadał mi parę dziwaczkich pytań. Ale właściwie... chyba nie. Nie sądzę, żeby naprawdę coś wiedział.

Bobby znowu zamilkł na parę chwil, po czym spytał:

- Czy pani mąż jest zazdrosny?

Ku jego zaskoczeniu odpowiedziała:

- Tak. Jak najbardziej.

- O panią także?

- Myśli pan, że nie, skoro chce się mnie pozbyć? Nic podobnego, jest bardzo zazdrosny. Rozumie pan, jestem jego własnością. To dziwny człowiek, oryginał. - Przeszedł ją dreszcz. Nagle zapytała: - Czy pan czasem nie z policji?

- Ja? Skądże znowu.

- Zastanawiałam się, bo...

Bobby spojrział na swój szoferski uniform.

- To długa historia - rzekł.

- Jest pan kierowcą lady Frances Derwent, prawda? powiedział właściciel gospody. Poznałam ją przedwczoraj przy kolacji.

- Wiem - przerwał. - Musimy się z nią porozumieć, jest trochę niezręcznie. Czy pani mogłaby zadzwonić i ją poprosić, a potem umówić się na spotkanie gdzieś w okolicy?

- Myślę, że mogłabym - powiedziała powoli.

- Wiem, że to wydaje się dziwne. Ale wszystko się wyjaśni. Musimy skontaktować się z Frankie jak najszybciej. To sprawa kluczowa.

Moira uniosła się z fotela.

- W porządku - rzekła.

Już stojąc w drzwiach, odwróciła się i spytała:

- Alan. Alan Carstairs. Poznał go pan?

- Poznałem - rzekł z wolna. - Ale to było już jakiś czas temu. - I pomyślał wstrząśnięty do głębi, że ona przecież nie wie o jego śmierci... Głośno powiedział: - Proszę zadzwonić do lady Frances. Potem wszystko się wyjaśni.

Narada we troje

Moira wróciła za parę minut.

- Udało mi się. Poprosiłam ją o spotkanie w letnim domku nad rzeką. Była dosyć zdziwiona, ale powiedziała, że na pewno przyjdzie.

- W porządku. A jak trafić do tego domku?

Moira udzieliła szczegółowych wyjaśnień.

- Dobrze - powiedział Bobby. - Niech pani idzie pierwsza. Ja przyjdę potem.

Tak też się stało. Bobby zamarudził chwilę, rozmawiając z panem Askew.

- Ciekawe - rzekł od niechcienia - niech pan sobie wyobrazi, że kiedyś pracowałem u wuja tej damy, pani Nicholson, Kanadyjczyka.

Chciał uprzedzić ewentualne domysły, jakie mogła zrodzić wizyta pani Nicholson. Tego rodzaju plotki w miasteczku łatwo mogłyby dojść do uszu doktora Nicholsona.

- Ach, więc to dlatego - rzekł pan Askew. - Byłem trochę zdziwiony.

- Tak. Rozpoznała mnie i przyszła dowiedzieć się, co u mnie słychać. To bardzo ładnie z jej strony, taka miła dama.

- Tak, bardzo sympatyczna. Musi mieć niełatwe życie w tym Grange.

- Nie zazdroszczę jej - zgodził się Bobby.

Uznawszy, że osiągnął swój cel, wyjechał na ulicę i jakby udając się na przejażdżkę bez celu, skierował się w stronę, gdzie miało nastąpić spotkanie z Frankie.

Znalazł szybko umówione miejsce, Moira już czekała. Frankie jeszcze się nie pojawiła.

Moira przyglądała mu się z zaciekawieniem, poczuł się więc w obowiązku udzielić jej pewnych wyjaśnień.

- Jest mnóstwo rzeczy, które muszę pani opowiedzieć - zaczął, ale szło mu jak po grudzie.

- Słucham.

- Po pierwsze, tak naprawdę nie jestem kierowcą, chociaż rzeczywiście pracuję z samochodami, mam warsztat w Londynie. Nie nazywam się Hawkins, ale Jones, Bobby Jones. Mieszkam w Marchbolt, w Walii.

Moira słuchała z zainteresowaniem, ale wzmianka o Marchbolt nie zrobiła na niej najmniejszego wrażenia. Bobby zebrał się w sobie i postanowił chwycić byka za rogi.

- Niech pani zechce posłuchać. Proszę się przygotować na przykrą wiadomość, to może być dla pani wstrząs. Przyjaciel pani, Alan Carstairs, on... No więc, musi pani wiedzieć... on... nie żyje.

Zauważył, że drgnęła i dyskretnie odwrócił wzrok. Czy poruszyło ją to bardzo? Czy... niech to diabli, czy zależało jej na tym facecie?

Milczała przez dobrą chwilę, wreszcie powiedziała cichym, pełnym zadumy głosem:

- Więc dlatego nie wrócił... Zastanawiałam się.

Bobby zaryzykował ukradkowe spojrzenie w jej kierunku. Co za ulga! Była tylko smutna i zamyślona, nic ponadto. - Niech mi pan o tym opowie - poprosiła. - Spadł w przepaść z nadmorskiego urwiska w Marchbolt, gdzie mieszkam. Przypadkowo znalazłem go razem z jednym lekarzem. - Przerwał i zaraz dokończył: - Miał pani zdjęcie w kieszeni.

- Naprawdę? - uśmiechnęła się słodko, choć ze smutkiem. - Kochany Alan, był... był taki oddany.

Znów zapadła cisza. Potem zapytała:

- Kiedy to się stało?

- Miesiąc temu. Ściśle mówiąc trzeciego października.

- To znaczy zaraz po wizycie tutaj.

- Tak. Czy wspominał, że wybiera się do Walii? Zaprzeczyła.

- Czy zna pani może kogoś o nazwisku Evans? - spytał Bobby.

- Evans? - Moira zmarszczyła czoło, usiłując sobie przypomnieć - Nie, nie sędzę. To bardzo pospolite nazwisko, naturalnie, ale nie przypominam sobie nikogo, kto by się tak nazywał. Co to za jeden?

- Tego właśnie nie wiem. O! Idzie Frankie!

Ścieżką spieszyła ku nim Frankie. Na widok Bobby'ego i pani Nicholson żywo o czymś rozprawiających jej twarz spochmurniała.

- Cześć, Frankie, dobrze, że przyszedłeś. Mamy tu naradę na najwyższym szczeblu. Zaczniemy od tego, że to pani Nicholson była na tamtej fotografii.

- Naprawdę? - spytała Frankie dość obojętnie.

Spojrzała na Moirę i nagle roześmiała się.

- Kochany - zwróciła się do Bobby'ego - teraz rozumiem, dlaczego widok pani Cayman na przesłuchaniu aż tak tobą wstrząsnął.

- Właśnie!

Co za dureń ze mnie, pomyślał. Jak mogłem choć przez moment uważać, że Moira Nicholson, nawet postarzała o wieczność, mogła zmienić się w Amelię Cayman.

- Boże, ale ze mnie dureń -. powiedział głośno.

Moira patrzyła, nic nie rozumiejąc.

- Mamy tak wiele do opowiedzenia - rzekł - że nie wiem; od czego zacząć.

Opowiedział o Caymanach i o identyfikacji zwłok.

- Ale zaraz, zaraz - Moira była wciąż zagubiona. - Kto to w końcu był: jej brat czy Alan Carstairs?

- Cały trik polegał na tym, żeby nikt nie pomyślał nawet, że to Carstairs - wyjaśnił Bobby.

- A potem - ciągnęła Frankie - próbowano otruć Bobby'ego.

- Pół grama morfiny - ożywił się Bobby, gotów powrócić do wspomnień.

- Tylko nie zaczynaj znowu - przerwała Frankie. - Na ten temat potrafisz rozprawiać godzinami, a - prawdę mówiąc - to okropnie nudne dla wszystkich oprócz ciebie. Pozwól, że ja wyjaśnię.

Wzięła głęboki wdech.

- Rozumie pani - zaczęła - ci Caymanowie przyszli do Bobby'ego po przesłuchaniu, bo chcieli wiedzieć, czy ich brat (rzekomy) mówił coś przed śmiercią. Bobby oświadczył, że nic, bo zapomniał, że on rzeczywiście coś przed śmiercią powiedział. Gdy sobie przypomniał, że tamten mówił coś o człowieku nazwiskiem Evans, napisał o tym do nich. Za kilka dni dostał list z ofertą pracy w Peru czy gdzieś tam, a kiedy jej nie przyjął, ktoś wsypał mu morfiny do...

- Pół grama - wtrącił Bobby.

- ...do piwa. Tylko dlatego, że ma żelazny żołądek i w ogóle, nie zabiło go to. Więc już byliśmy

pewni, że Pritchard, czyli Carstairs, rozumie pani, został zepchnięty w przepaść.

- Ale dlaczego? - spytała Moira.

- Nie rozumie pani? To przecież całkiem jasne. Może wyjaśniłam to nie najlepiej. Tak czy inaczej, zdecydowaliśmy, że najpewniej zrobił to Roger Bassington-ffrench.

- Roger Bassington-ffrench? - W głosie Moiry zabrzmiało bezgraniczne rozbawienie.

- Wszystko na to wskazuje. Był we właściwym czasie na właściwym miejscu, pani zdjęcie zniknęło, a tylko on mógł je zabrać.

- Rozumiem - powiedziała w zamyśleniu.

- A potem zdarzył mi się, właśnie tutaj, wypadek. Niewiarygodny zbieg okoliczności, prawda? - Frankie posłała Bobby'emu porozumiewawcze spojrzenie. - Zadzwoiłam więc do Bobby'ego i nakłoniłam go do małej mistyfikacji. Przyjechał tu, udając mojego kierowcę, tak byśmy mogli przyjrzeć się bliżej sprawie.

- Teraz pani widzi, jak to się odbyło - rzekł Bobby przyjmując do wiadomości to, że Frankie lekko rozminęła się z prawdą - a kulminacyjny punkt nadszedł wczoraj, kiedy chciałem się przyjrzeć otoczeniu Grange. Natknąłem się na panią i znalazłem w ten sposób dziewczynę z tajemniczej fotografii.

- Rozpoznał mnie pan natychmiast - rzekła Moira z uśmiechem.

- Tak - rzekł Bobby - rozpoznałbym panią zawsze.

Moira zarumieniła się, nie wiadomo dlaczego.

Nagle przyszło jej coś do głowy i zaczęła przyglądać się ot obojgu badawczo.

- Czy mówicie mi prawdę? Znaleźliście się tu przez przypadek? Czy też... czy też przyjechaliście tu, bo podejrzewacie mojego męża?

Frankie i Bobby popatrzyli po sobie. Wreszcie Bobby oświadczył:

- Daję pani słowo honoru, że usłyszeliśmy o pani mężu dopiero kiedy znaleźliśmy się tutaj.

- Aha, rozumiem. - Zwróciła się do Frankie: - Przepraszam, lady Frances, ale, pojmuje pani, wydawało mi się, że tego wieczoru, kiedy byliśmy na kolacji, Jasper bardzo naciskał panią w sprawie tego wypadku. Można by sądzić, że uważa, iż nie; był to naprawdę wypadek.

- No, skoro już tyle powiedzieliśmy, musi pani wiedzieć, że był ukartowany. Uff, co za ulga! Zaplanowaliśmy to bardzo starannie. Ale nie chodziło o pani męża. Ta mistyfikacja miała na celu, jakby to powiedzieć, zdemaskowanie Rogera Bassington-ffrench.

- Rogera? - Moira zmarszczyła czoło, a potem uśmiechnęła się z zakłopotaniem. - To absurd - rzekła po prostu.

- Fakty pozostają faktami - utrzymywał Bobby.

- Roger? Nie, niemożliwe. - Pokręciła głową. - Może i jest słaby albo zdemoralizowany. Jest zdolny narobić długów albo wmieszać się w jakiś skandal, ale zepchnąć kogoś w przepaść? Co to, to nie.

- Wie pani, mnie także trudno w to uwierzyć - potwierdziła Frankie.

- Ale zdjęcie musiał wziąć - upierał się Bobby. - Niech pani posłucha, pani Nicholson, to są fakty.

Przedstawił je powoli i metodycznie. Kiedy skończył, pokiwała głową ze zrozumieniem.

- Tak, teraz pana rozumiem. To wszystko wygląda bardzo dziwnie. - Przerwała, a po chwili niespodziewanie zapytała: - A dlaczego po prostu go nie spytacie?

Narada we dwoje

Śmiała prostota tej propozycji odebrała im na chwilę mę. Potem zaczęli mówić naraz:

- To niemożliwe - zaczął Bobby, a Frankie jednocześnie:

- To się nie uda.

Nagle zamilkli oboje, pod wrażeniem możliwości, jakie ciągał za sobą ten pomysł.

- Posłuchajcie - ciągnęła Moira z zapalem - naprawdę rozumiem wasz punkt widzenia. Pozory wskazują na to, że Roger musiał zabrać to zdjęcie, ale nawet przez moment nie uwierzę, że mógł zepchnąć Alana z urwiska. Po co miałby to robić? Nie znał go nawet, spotkali się tylko raz, tutaj, na lunchu. Nie mieli ze sobą nic wspólnego. Brak motywu.

- Ale ktoś jednak go zepchnął - twardo przypomniała Frankie.

Przez twarz Moiry przemknął cień.

- Nie wiem - rzekła niezdecydowanie.

- Niech pani posłucha, chcę opowiedzieć Frankie to, co pani mi mówiła. O pani obawach.

Moira odwróciła głowę.

- Skoro pan chce. Ale zdaję sobie sprawę, że to wszystko brzmi melodramatycznie i zakrawa na histerię. Nie uwierzyłabym nawet sama sobie.

I rzeczywiście, pozbawiona emocji relacja, w scenerii spokojnego angielskiego pejzażu, sprawiała wrażenie całkowicie nierealnej.

Moira podniosła się gwałtownie.

- Naprawdę czuję, że zachowywałam się głupio - powiedziała, a wargi jej drżały. - Proszę nie zwracać uwagi na to, co mówiłam, panie Jones. To tylko nerwy. Muszę już iść. Do widzenia.

Oddaliła się spiesźnie. Bobby się poderwał, żeby za nią pobiec, ale Frankie usadziła go.

- Zostań tutaj, tumanie, ja się nią zajmę.

Podążyła w ślad za Moira. Za parę minut była z powrotem.

- No i co? - spytał niespokojnie.

- Wszystko w porządku. Uspokoiliam ją. Nie można tak wywlekać czyichś wewnętrznych lęków przy trzeciej osobie. Obiecałam jej, że wkrótce spotkamy się znowu we trójkę. No, a teraz, kiedy jej już nie ma, opowiedz mi wszystko.

Bobby zdał jej relację. Frankie słuchała uważnie.

- To pasuje do dwóch moich obserwacji. Po pierwsze, kiedy wróciłam z Londynu, natknęłam się na Nicholsona trzymającego Sylvię Bassington-ffrench za rękę. Gdybyś widział, jak na mnie popatrzył! Gdyby spojrzenie mogło zabijać, byłby ze mnie zimny trup.

- A ta druga sprawa?

- Po prostu przypadek. Sylvia opowiadała mi, że fotografia Moiry zrobiła wielkie wrażenie na jakimś gościu w ich domu. To musiał być Carstairs. Rozpoznał osobę na zdjęciu, pani Bassington-ffrench mu powiedziała, że to żona Nicholsona, a to wyjaśnia, jak ją odnalazł. Ale posłuchaj Bobby, prawdę mówiąc nie rozumiem, gdzie tu jest miejsce dla Nicholsona. Dlaczego miałby chcieć się pozbyć Alana Carstairsa?

- Myślisz, że to on, a nie Roger Bassington-ffrench? To byłby chyba nadzwyczajny zbieg okoliczności, gdyby obaj byli w Marchbolt tego samego dnia!

- No, wiesz, przypadki się zdarzają. Ale nie widzę motywu. Czyżby Carstairs był na tropie Nicholsona jako przywódcy bandy przemytniczej? Czy też twoja nowa przyjaciółka stanowiła motyw morderstwa?

- Może w grę wchodzi oba motywy naraz - zaproponował Bobby. - Dowiedział się o spotkaniu Carstairsa ze swoją żoną i mógł pomyśleć, że go wydała.

- To już jest jakaś możliwość. Ale przede wszystkim musimy iść do Rogera Bassington-ffrencha. Jedyna okoliczność, przemawiająca przeciwko niemu, to sprawa fotografii. Jeżeli uda mu się to wyjaśnić zadowolająco...

- Chcesz mu wszystko wyjawić? Frankie, czy to rozsądne? Przecież, jeśli to on jest czarnym charakterem, a za takiego uznaliśmy go przedtem, to znaczy, że odkrywamy przed nasze wszystkie karty!

- Niezupełnie, jeżeli zrobimy to tak, jak zamierzam. Pamiętaj, że sprawia wrażenie szczerego i bezpośredniego pod każdym względem i wydaje się stać poza wszelkimi podejrzeniami. Może to nie jest kamuflaż, tylko po prostu niewinność. Jeżeli uda mu się wyjaśnić sprawę zaginięcia fotografii (a będę mu się uważnie przyglądać w czasie rozmowy i dostrzegę najlżejsze wahanie czy zakłopotanie), a więc jeżeli uda mu się to wyjaśnić - zyskamy cennego sojusznika.

- Co masz na myśli?

- Zastanów się. Jeżeli chociaż cień prawdy jest w tym, co mówi twoja mała egzaltowana przyjaciółka, mianowicie że Nicholson chce się jej pozbyć i ożenić z Sylvią, to Henry'emu Basington-ffrenchowi grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. Musimy za wszelką cenę zapobiec wysłaniu go do Grange. A, jak dotąd, Roger Bassington-ffrench jest w tej sprawie po stronie Nicholsona.

- Jeden zero dla ciebie, Frankie, przyjmujemy twój plan.

Frankie zbierała się już do wyjścia.

- Czy to nie dziwne? - powiedziała, zatrzymując się jeszcze na chwilę. - Znaleźliśmy się jakby między okładkami jakiejś książki. Pojawiliśmy się w cudzej historii. To strasznie dziwne uczucie.

- Wiem, co masz na myśli. Jest w tym coś niesamowitego. Kojarzy mi się to raczej ze spektaklem: jakbyśmy weszli na scenę podczas drugiego aktu, aktorzy, tak naprawdę, z innej sztuki, i musieli grać, nie mając pojęcia, co było w pierwszym akcie.

Frankie gorliwie przytaknęła.

- Nie jestem pewna, czy to nie jest już trzeci akt. Bobby, myślę, że koniecznie musimy się dowiedzieć, jaki był początek tej historii.

- I to prędko, bo fabuła zbliża się niebezpiecznie szybko do finału.

- W którym trup ściele się gęsto. A jedyna wskazówka, jaką posiadamy: ostatnie zdanie nieboszczyka, jest dla nas wciąż nie odgadnioną tajemnicą.

- „Dlaczego nie Evans?”. Patrz, Bobby, tyle już się dowiedzieliśmy, tyle postaci pojawiło się na scenie, a ani na jotę nie zbliżyliśmy się do tego tajemniczego Evansa.

- Mam pewien pomysł co do Evansa. Czuję, że Evans w tej sprawie nie ma żadnego znaczenia.

Pomimo że od tego nazwiska wszystko się dla nas zaczęło, sam Evans nie jest tu istotny. To tak jak w opowiadaniu Wellsa, gdzie jakiś książę buduje wspaniały pałac czy świątynię wokół grobu ukochanej. Kiedy budowla jest ukończona, pozostaje tylko jedna rzecz, która nie pasuje do całości - sam grób. Więc książę mówi: Usunąć to!

- Czasem mi się zdaje, że ten Evans w ogóle nie istnieje - rzekła Frankie, kierując się ku domowi.

Odpowiedź Rogera

Szczerze jej sprzyjało, bo po drodze spotkała Rogera.

- Hej, widzę, że wcześniej pani wróciła - zażartował.

- Nie miałam nastroju na Londyn.

- Już pani zaglądała do domu? - spytał. Spoważniał. - Nicholson powiedział Sylvii prawdę o Henrym. Źle to przyjęła, biedactwo, ciężko jej. Zdaje się, że kompletnie nic nie podejrzewała.

- Wiem. Zastałam ich oboje w bibliotece. Była bardzo zdenerwowana.

- Posłuchaj, Frankie - rzekł Roger. - Henry'ego za wszelką cenę trzeba wyleczyć. Narkotyki nie pozbawiły go jeszcze całkowicie władz umysłowych. Bierze od niedawna. Ma dla kogo żyć i wyzdrowieć: ma Sylwię, Tommy'ego, dom. Musi sobie z tego jasno zdać sprawę. Nicholson jest właściwym człowiekiem, żeby mu to uświadomić. Rozmawiałem z nim parę dni temu. Ma wiele spektakularnych sukcesów, nawet z ludźmi, którzy tkwili w szponach nałogu przez lata. Gdyby tylko Henry zgodził się pójść do Grange...

Frankie przerwała.

- Posłuchaj. Chciałam cię o coś zapytać. Jedno pytanie. Mam nadzieję, że nie uznasz tego za impertynencję.

- Słucham - zainteresował się Roger.

- Czy mógłbyś mi powiedzieć, czy zabrałeś jakieś zdjęcie z kieszeni tego człowieka, tego, który spadł z urwiska w Marchbolt?

Obserwowała go uważnie, żeby nie uronić najdrobniejszego grymasu na jego twarzy. To, co zobaczyła, zadowoliło ją. Lekkie rozdrażnienie, odrobina zakłopotania, ale żadnego popłochu czy konsternacji, ani najmniejszego śladu poczucia winy.

- Jak, - na miły Bóg, na to wpadłaś? Moira ci powiedziała? Ale, zaraz, przecież ona też nie

wie...

- A więc zrobiłeś to!
- Chyba nie mam innego wyjścia, jak się przyznać.
- Ale dlaczego?

Roger zaczął wyjaśniać z zakłopotaniem:

- No dobrze, postaraj się postawić w mojej sytuacji. Pilnuję zwłok obcego człowieka. Coś wystaje z jego kieszeni. Rzucam na to okiem i - co za niewiarygodny trafi - widzę zdjęcie znajomej, mężatki, o której wiem, że małżeństwo jej się nie układa. Do czego to doprowadzi? Rozprawa u koronera, rozgłos, skandal - o którym będą trąbiły wszystkie gazety, utrata dobrego imienia. Działiałem impulsywnie: zabrałem zdjęcie i podarłem i strzępki. To prawda, postąpiłem wbrew prawu, ale Moira Nicholson to taka bezradna istota, nie chciałem jej narażać na cały ten koszmar.

Frankie odetchnęła głęboko.

- A więc to tak! Gdybyś wiedział...
- Wiedział co? - spytał zaintrygowany.

- Nie mogę ci jeszcze teraz powiedzieć. Może później. To wszystko jest dosyć pogmatwane. Rozumiem już, dlaczego wzięłeś fotografię, ale dlaczego nie chciałeś zidentyfikować zmarłego? Powinieneś być powiedzieć policji, że go znasz!

- Że go znam? - Sprawiał wrażenie zdezorientowanego. - Nie znam go. Jak mogłem go zidentyfikować?

- Przecież spotkałeś go tutaj zaledwie tydzień przedtem.
- Dziewczyno, co ty opowiadasz, oszalałaś?
- Znasz Alana Carstairsa?
- No, tak. Przyjechał tu kiedyś z Rivingtonami. Ale ten zmarły to nie był Alan Carstairs.
- Był!

Patrzyli po sobie, wreszcie Frankie powiedziała znów podejrzliwie:

- Przecież musiałeś go poznać!
- Nie widziałem jego twarzy - rzekł Roger.
- Co?!

- Nie widziałem. Miał twarz przykrytą chustką.

Frankie przypatrywała mu się. Nagle przypomniała sobie, że Bobby opowiadając jej o tej historii wspominał, że przykrył twarz zmarłego chusteczką.

- Nie przyjrzałeś mu się?

- Nie, nie przyszło mi to do głowy.

No, tak, pomyślała Frankie, gdybym ja znalazła zdjęcie kogoś znajomego w kieszeni trupa, po prostu przyjrzałabym się jego twarzy. Jakże naiwni są mężczyźni!

- Biedactwo - powiedziała. - Tak jej współczuję.

- O kim mówisz, o Moirze Nicholson? Dlaczego?

- Jest taka przerażona.

- Zawsze wygląda, jakby była śmiertelnie przelękniona. Czego się tak boi?

- Swojego męża.

- No, nie wiem, czy ja sam chciałbym mieć w nim przeciwnika - wyznał Roger.

- Ona jest przekonana, że mąż chce ją zabić - powiedziała szorstko.

- Co ty opowiadasz? - spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Siadaj. Muszę ci opowiedzieć mnóstwo rzeczy. Chcę ci wykazać, że doktor Nicholson jest niebezpiecznym przestępcą.

- Przestępcą?

Ton jego głosu wskazywał na to, że absolutnie jej nie wierzy.

- Poczekaj, aż wysłuchasz całej historii.

Zdała mu jasne i wyważone sprawozdanie ze wszystkiego, co się dotychczas wydarzyło, od momentu kiedy Bobby i doktor Thomas znaleźli ofiarę. Zataiła jedynie, że jej wypadek był mistyfikacją, zaś przedłużanie pobytu w Merroway Court uzasadniła chęcią zgłębienia tajemnicy.

Nie mogła narzekać na brak zainteresowania słuchacza. Roger był zafascynowany całą historią.

- To rzeczywiście prawda? - Nie dowierzał. - Próba otrucia tego Jonesa i cała reszta?

- Święta prawda, mój drogi.

- Wybacz, że jestem takim niedowiarkiem, ale nie wszystko tu trzyma się kupy, nie sądzisz? -

Milczał chwilę, namyślając się. - Posłuchaj - rzekł wreszcie. - Co prawda cała ta sprawa wygląda nieprawdopodobnie, ale jedno nie ulega wątpliwości: ten facet, Alex Pritchard czy Alan Carstairs został zamordowany. Bo jeśli nie, to skąd atak na Jonesa? Według mnie nie ma znaczenia, czy zdanie „Dlaczego nie Evans?” jest kluczem do sprawy, czy nie, bo i tak nie macie pojęcia, kim jest Evans i gdzie go szukać, i w ogóle o co chodzi w tym pytaniu. Załóżmy, że zabójca albo zabójcy przypuszczali, że Jones wie coś, co jest dla nich niebezpieczne, niezależnie od tego, czy sam jest tego świadomy. Postanowili go więc zlikwidować i pewnie będą jeszcze próbować, jeśli stwierdzą, że depcze im po piętach. Jak dotąd dedukcja jest prawidłowa, ale jak doszłście do wniosku, że Nicholson jest przestępcą, tego już nie rozumiem.

- Robi złe wrażenie, ma ciemnoniebieskiego talbota i wyjeżdżał stąd w dniu, kiedy dokonano zamachu na życie Bobby'ego.

- To nie są zbyt przekonujące dowody.

- No i jeszcze to wszystko, co opowiedziała Bobby'emu pani Nicholson.

Frankie przytoczyła jej zwierzenia, ale i tym razem, wypowiedane głośno na tle spokojnego angielskiego pejzażu, zabrzmiały melodramatycznie i nierealnie, Roger wzruszył ramionami.

- Ona sądzi, że jej mąż dostarcza Henry'emu narkotyków, i przecież czysta spekulacja, nie ma na to cienia dowodu.

Uważa, że chce umieścić Henry'ego w Grange, jako pacjenta. To przecież naturalne dążenie lekarza. Każdy lekarz rad by mieć jak najwięcej pacjentów. Myśli, że jest zakochany w Sylvii. No cóż, nic nie wiem na ten temat.

- Jeżeli tak sądzi, to prawdopodobnie ma rację - wtrąciła Frankie. - Kobieta zwykle wie takie rzeczy o własnym mężu.

- No dobrze, ale nawet jeżeli to prawda, to jeszcze nie czy, że facet jest niebezpiecznym przestępcą. Niezliczona rzesza przykładnych obywateli zakochuje się w cudzych żonach.

- Ale ta jej pewność, że chce ją zamordować... - Frankie nie dawała za wygraną.

Przyjrzał się jej kpiąco.

- Bierzesz to poważnie?

- Ona w to wierzy.

Roger pokiwał głową i zapalił papierosa.

- Pytanie tylko, do jakiego stopnia można jej wierzyć. Grange to dość niesamowite miejsce, pełne oryginałów, dziwaków. Życie tam może doprowadzić do rozstroju nerwowego, zwłaszcza taką bojaźliwą i nerwową osobką jak ona.

- A więc nie dajesz temu wiary?

- Tego nie powiedziałem. Prawdopodobnie sama wierzy bez zastrzeżeń, że on ją próbuje zabić, ale jakie fakty mamy na potwierdzenie jej podejrzeń? Ja tu nic takiego nie widzę.

Frankie przypomniała sobie wyraźnie Moirę, która mówi: „To tylko nerwy”. I to właśnie utwierdzało Frankie w przekonaniu, że to wcale nie nerwy. Nie potrafiła jednak przekonać Rogera.

On zaś ciągnął dalej:

- Co innego, gdybyś mogła udowodnić, że Nicholson był nad morzem w Marchbolt w dniu tragedii. Zmieniałoby to całkowicie postać rzeczy, tak samo, jak znalezienie motywu, dla go mógłby on chcieć usunąć Carstairsa. Ale wydaje mi przeszłaś do porządku dziennego nad rzeczywistymi podejrzanymi.

- Jakimi?

- Tymi, jak im tam, Haymanami.

- Caymanami.

- No właśnie. Oni w tym siedzą po same uszy. Po pierwsze, świadomie fałszywie zidentyfikowali ciało. Potem wykazywali niezdrową ciekawość, jakie były ostatnie słowa nieboszczyka. Można bezpiecznie założyć, idąc zresztą twoim śladem, że ta oferta z Buenos Aires to była ich sprawka.

- Najgorsze jest to - rzekła Frankie - że uciekają się do takich sposobów, żeby usunąć człowieka z drogi tylko dlatego, że myślą, iż on coś wie, ale co, tego on sam nie wie. Pomyśl, w jakie kłopoty można się wpakować z powodu słów.

- Tak - rzekł Roger smętnie - to był błąd z ich strony. Błąd, który ich może wiele kosztować.

- Ach! - zawołała - właśnie sobie coś przypomniałam. Zakładałam, że ten, kto zabrał fotografię Moiry Nicholson, podłożył zdjęcie pani Cayman.

- Zapewniam cię - rzekł poważnie - że nie nosiłem na sercu podobizny pani Cayman. Z tego, co mówiłaś, to raczej odrażająca kreatura.

- Na swój sposób jest nawet przystojna - stwierdziła Frankie. - Jeżeli ktoś lubi pospolite, wyzywające, wampowate typy. Ale wróćmy do rzeczy. Carstairs musiał mieć przy sobie jej fotografię obok zdjęcia Moiry.

Roger pokiwał głową.

- I myślisz... - poddał.

- Myślę, że nosił przy sobie zdjęcie tej Cayman w jakimś celu. Może szukał ludzi, którzy ją

znają. Ktoś go śledzi, na Przykład Cayman - mąż, i przy pierwszej nadarzającej się sposobności podkrada się i popycha go w przepaść. Carstairs spada z krzykiem. Cayman ucieka, nie jest pewien, czy kogoś nie ma w pobliżu. Powiedzmy, że nie wie, co nieboszczyk a w kieszeni. A co się dzieje potem? Zdjęcie ukazuje się w prasie...

- W obozie Caymanów popłoch - pospieszył z pomocą Roger.

- Właśnie. Co mają robić? Postanawiają śmiało wziąć byka za rogi. Któż zna Carstairsa? Prawie nikt w Anglii. Pani Cayman, lejąc krokodyle łzy, zgłasza się jako siostra denata. Robią jeszcze jakieś sztuczki z wysyłaniem paczek, żeby uprawdopodobnić historię z wyprawą turystyczną.

- Frankie, jesteś naprawdę genialna - stwierdził Roger z podziwem.

- Sama myślę, że ta hipoteza jest niezła. Masz rację, musimy pójść tropem Caymanów. Nie wiem, dlaczego sami na to nie wpadliśmy.

To niezupełnie była prawda. Nie mogli wziąć się za Caymanów, bo tropili Rogera. Niemniej jednak uznała, że mówienie mu o tym teraz nie byłoby z jej strony zbyt taktowne.

- Co zrobimy z panią Nicholson? - spytała rzeczowo.

- To znaczy?

- Biedaczka jest śmiertelnie przerażona. Myślę, że jesteś dla niej zbyt surowy.

- Nie, nie jestem, ale zawsze irytują mnie ludzie bezradni.

- Bądź obiektywny. Cóż ona może zrobić? Nie ma ani dokąd pójść, ani pieniędzy.

Niespodziewanie zapytał:

- Powiedz, czy gdybyś to ty była na jej miejscu, znalazłabyś jakieś wyjście?

Frankie nie odpowiedziała.

- Tak, znalazłabyś. Jestem tego pewien. Gdybyś wiedziała, że ktoś próbuje cię zabić, nie czekałabyś na zmiłowanie boskie. Uciekłabyś, urządziła się gdzieś albo wręcz sama zamordowała prześladowcę. Na pewno byś nie czekała.

Zaczęła się zastanawiać, co by zrobiła.

- Tak, sądzę, że próbowałabym coś zdziałać - rzekła po namyśle.

- Bo ty masz charakter, a ona nie ma - stwierdził ponad wszelką wątpliwość.

Frankie potraktowała to jak komplement. Nie przepadała za kobietami w typie Moiry Nicholson i, prawdę mówiąc, czuła się lekko urażona słabością Bobby'ego do tej kobiety. Bobby,

pomyślała, woli takie bezradne. I przypomniała sobie wrażenie, jakie na nim wywarła fotografia.

Ach, Roger jest tak zupełnie inny. On nie lubi bezradnych kobiet. Moira z kolei nie ma o nim najlepszego zdania. Mówiła, że jest słaby i ma nie dość charakteru, żeby kogoś zabić. Może i jest słaby, ale bez wątpienia jest czarujący. Była pod jego urokiem od początku pobytu w Merroway Court.

Roger rzekł łagodnie:

- Ty, Frankie, gdybyś tylko chciała, owinęłabyś sobie każdego mężczyznę wokół palca...

Frankie poczuła miły dreszcz, ale i wielkie zakłopotanie. Szybko zmieniła temat.

- Wracając do twojego brata. Czy nadal chcesz go wysłać do Grange?

Kolejna ofiara

- Nie, nie chcę - rzekł Roger. - Jest mnóstwo innych ośrodków odwykowych. Najważniejsze, żeby Henry się zgodził.

- Myślisz, że trudno będzie go namówić?

- Niestety, tego się obawiam. Słyszałaś, co mówił któregoś dnia. Ale gdyby udało nam się utrafić w jego odpowiedni nastrój, mogłoby pójść łatwiej. O, idzie Sylvia.

Pani Bassington-french wynurzyła się z wnętrza domostwa i rozejrzała wokoło. Zobaczywszy Rogera i Frankie, podeszła do nich, przecinając trawnik. Wyglądała na bardzo zdenerwowaną i napiętą.

- Rogerze, szukałam cię wszędzie. - Widząc, że Frankie zamierza odejść, zwróciła się do niej: - Nie, moja droga, zostań. Nie ma z czego robić sekretu. Myślę, że i tak wiesz już wszystko. Podejrzewałaś coś już od jakiegoś czasu, prawda?

Frankie skinęła głową.

- A ja byłam ślepa, ślepa - rzekła Sylvia gorzko. - Oboje widzieliście to, a ja nie miałam nawet cienia podejrzeń. Owszem, dziwiłam się, dlaczego Henry tak się zmienił. Bolało mnie to, ale nie miałam pojęcia, skąd ta zmiana.

Przerwała i po chwili ciągnęła dalej, ale już nieco innym tonem.

- Gdy tylko doktor Nicholson powiedział mi prawdę, poszłam prosto do Henry'ego. Właśnie od niego wracam. - Przerwała, starając się stłumić łkanie. - Słuchaj, Rogerze, wszystko będzie

dobrze. Zgodził się. Pójdzie do Grange i podda się kuracji doktora Nicholsona.

Roger przemówił zdecydowanie:

- Sylvio, posłuchaj, przemyślałem wszystko jeszcze raz i teraz sędzę, że Grange nie będzie dla niego najlepszym miejscem.

- Sędzisz, że Henry da sobie z tym radę sam?

- Co to, to nie. Ale są inne ośrodki, może... to znaczy może położone trochę dalej, wiesz, tu wszyscy nas znają.

- To byłby błąd leczyć go tutaj - pospieszyła mu z pomocą Frankie.

- Nie, nie zgadzam się z wami. Nie zniosłabym, gdyby miał być gdzieś daleko. A doktor Nicholson jest taki miły i pełen zrozumienia. Będę spokojna o Henry'ego wiedząc, że jest pod jego opieką.

- Sędziłem, że niezbyt przepadasz za Nicholsonem, Sylvio - rzekł Roger.

- Zmieniłam zdanie - powiedziała po prostu.

Roger i Frankie znaleźli się w niezręcznej sytuacji. Wyczerpali już argumenty, których mogli użyć, i teraz nie bardzo wiedzieli, co powiedzieć.

- Biedny Henry - rzekła Sylvia. - Zupełnie się załamał. Dobiło go to, że ja wiem. Powiedział, że musi walczyć z nałogiem ze względu na mnie i na Tommy'ego, ale że ja nie zdaję sobie sprawy, czym naprawdę jest nałóg. Pewnie ma rację, chociaż doktor Nicholson wyjaśniał mi, na czym polega uzależnienie. To rodzaj obsesji, ludzie przestają być odpowiedzialni za własne czyny, tak to określił. Och, Rogerze, jakie to straszne. Ale doktor Nicholson jest taki dobry. Mam do niego zaufanie.

- Mimo wszystko sędzę, że byłoby lepiej... - zaczął Roger. Sylvia zwróciła się ku niemu.

- Nie rozumiem cię, Rogerze. Dlaczego zmieniłeś zdanie? Pół godziny temu byłeś za tym, żeby wysłać Henry'ego do Grange.

- Wiesz, przemyślałem sprawę jeszcze raz i...

Sylvia znów mu przerwała.

- Tak czy owak, ja już zdecydowałam. Henry pójdzie do Grange i nigdzie indziej.

Mierzyli się wzrokiem w milczeniu. Wreszcie Roger powiedział:

- Wiesz, zadzwonię do Nicholsona. Powinien już być u siebie. Chciałbym z nim zamienić parę słów.

Nie czekając na odpowiedź odwrócił się i w pośpiechu poszedł do domu.

- Kompletnie nie rozumiem Rogera - zniecierpliwiała się Sylvia. - Kwadrans temu na siłę mnie przekonywał, żeby zabrać Henry'ego do Grange.

W jej tonie można było wyczuć wyraźną nutę gniewu.

- Niemniej jednak - rzekła Frankie - ja się z nim zgadzam. Gdzieś czytałam, że na taką kurację powinno się zawsze wysyłać pacjenta z dala od domu.

- Myślę, że to nonsens.

Frankie znalazła się w trudnej sytuacji. Niespodziewany opór Sylvii skomplikował sprawę. Wyglądało na to, że stała się równie zajadłą zwolenniczką Nicholsona, jak przedtem przeciwniczką. Trudno było znaleźć argumenty, aby ją przekonać. Frankie zaczęła brać pod uwagę możliwość wtajemniczenia jej w całą historię, ale czy Sylvia uwierzyłaby? Nawet Roger nie do końca był przekonany o winie doktora Nicholsona. Sylvia jako świeżo upieczona wielbicielka doktora na pewno dałaby się przekonać. Mogłaby wręcz pójść do niego i wszystko mu wygadać. Trudna sprawa.

Nad ich głowami, nisko, w zapadającym zmierzchu przeleciał samolot, wypełniając powietrze hukami motorów. Sylvia i Frankie zadarły głowy zadowolone, że przypadek wybawił je z kłopotliwej sytuacji: żadna z nich nie wiedziała, co powiedzieć dalej.

Kiedy samolot chował się za drzewami na horyzoncie, a warkot zamierał w oddali, Sylvia zwróciła się gwałtownie do Frankie:

- To takie straszne - głos jej się łamał. - Wszyscy chcecie wysłać Henry'ego daleko ode mnie.

- Nie, nie, nie o to chodzi. - Frankie przez chwilę zastanawiała się, co powiedzieć. - Po prostu powinien mieć zapewnioną terapię na najwyższym poziomie. Ten doktor Nicholson to moim zdaniem, hm... konował.

- Absolutnie się z tym nie zgadzam. Ja go uważam za człowieka wielkiej inteligencji i jestem pewna, że właśnie takiego lekarza potrzebuje Henry.

Spojrzała na Frankie z niechęcią. Frankie była pełna podziwu dla tempa, w jakim doktor Nicholson omotał Sylvię. W jednej chwili znikły wszystkie zastrzeżenia, jakie do niego miała.

Czując, że nic nie wskóra, Frankie zamilkła. Tymczasem z domu wyszedł Roger. Był trochę zaspany.

- Nicholson jeszcze nie dojechał do domu. Zostawiłem mu wiadomość.

- Nie wiem, po co chcesz tak nagle widzieć się z Nicholsonem - rzekła Sylvia. - To był przecież twój pomysł, wszystko idzie według planu, Henry się zgodził, o co ci chodzi?

- Myślę jednak, że mam coś w tej sprawie do powiedzenia. To w końcu mój brat.

- Przecież to był twój pomysł - upierała się Sylvia.

- Tak, ale potem usłyszałem o Nicholsonie parę rzeczy.

- Jakich? Zresztą i tak ci nie uwierzę.

Przygryzła wargę, odwróciła się na pięcie i znikła w głębi domu.

Roger spojrzał na Frankie.

- To komplikuje sprawę.

- Tak, niestety.

- Jak Sylvia już się na coś zdecyduje, to nie sposób jej od tego odwieść.

Wyciągnęli się na leżakach i rozmawiali poważnie, zastanawiając się, jakie znaleźć wyjście. Roger zgodził się, że nie należy Sylvii mówić wszystkiego. Najlepiej zająć się najpierw Nicholsonem.

- Ale co właściwie mu powiemy?

- Nie chcę mu wiele mówić, raczej rzucić parę aluzji. W każdym razie zgadzam się z tobą co do jednego: Henry w żadnym wypadku nie może znaleźć się w Grange. Nie możemy do tego dopuścić, nawet gdybyśmy mieli się zdemaskować.

- Jeżeli się zdemaskujemy, cały nasz plan weźmie w łeb - ostrzegła go Frankie.

- Wiem. Dlatego musimy najpierw spróbować innych sposobów. Ech, ta Sylvia, dlaczego właśnie teraz robi trudności?

- Mamy przykład siły osobowości tego człowieka - rzekła.

- Tak. Wiesz, są dowody czy nie, zaczynam wierzyć, że co do niego rację... Co to było?!

Poderwali się oboje.

- To brzmiało jak strzał - zawołała Frankie - ze środka. Spojrzeli po sobie i rzucili się biegiem w stronę domu. Przez oszklone drzwi ogrodowe wpadli do salonu i przebiegli do holu. Stała tam, pobladała jak ściana, Sylvia Bassington-french.

- Słyszeliście? - zawołała. - To był strzał. Z gabinetu Henry'ego.

Zachwiała się, Roger przytrzymał ją, obejmując ramieniem. Frankie podeszła do drzwi gabinetu i nacisnęła klamkę.

- Zamknięte - stwierdziła.

- Okno! - zawołał Roger.

Usadowił półprzytomną Sylvię na stojącej obok sofie i wybiegł znów przez salon do ogrodu. Frankie deptała mu po piętach. Obiegli dom, aż znaleźli się pod oknem gabinetu. B, zamknięte, przytknęli twarze do szyby i zajrzeli. Słońce właśnie zachodziło i w środku było ciemnawo, ale to, co udało im zobaczyć, wystarczyło.

Henry Bassington-ffrench siedział przy biurku, z głową bezwładnie opartą o blat. Na jego skroni widać było wyraźnie ranę postrzałową. Rewolwer leżał na podłodze, tam, gdzie wypadł mu ze zwieszanej ręki.

- Zastrzelił się - krzyknęła Frankie. - To straszne!

- Cofnij się trochę, muszę wybić okno.

Zawinał rękę w połę płaszcza i solidnym ciosem rozbił szybę na kawałki. Starannie usunął sterczące odłamki. Oboje z Frankie wsunęli się do środka. W tej właśnie chwili na tarasie pojawili się zdyszani pani Bassington-ffrench i doktor Nicholson.

- Jest doktor. Właśnie przyszedł - powiedziała Sylvia, zaglądając do wnętrza. - Czy coś się stało Henry'emu?

Nagle zobaczyła bezwładną postać i krzyk wydarł się z jej piersi.

Roger szybko wydostał się przez okno z powrotem na zewnątrz. Doktor Nicholson popchnął Sylvię w jego ramiona.

- Proszę ją zabrać - rzekł zwięźle - zaopiekować się nią. Daj jej pan brandy, jeżeli przełknie. Proszę ją trzymać z dala od tego.

Sam przedostał się do środka, dołączając do Frankie. Z wolna pokręcił głową.

- Beznadziejna sprawa - rzekł, pochylając się nad ciałem. - Biedak. Nie czuł się na siłach wypić tego piwa, którego sam nawarzył. Niestety, szkoda.

Wyprostował się.

- Nic tu po nas. Zgon nastąpił natychmiast. Ciekawe, czy zostawił jakiś list. Powinno coś tu być - rzekł.

Frankie podeszła do biurka. Pod łokciem Bassington-ffrench'a leżała kartka, kilka linijek, najwidoczniej przed chwilą nagryzmołonych. Ich znaczenie było jasne.

Według mnie to najlepsze wyjście - napisał Bassington-ffrench. - Zgubny nałóg trzyma mnie w swojej mocy zbyt silnie, nie dam sobie z nim rady. Chcę jak najlepiej dla Sylvii. Dla Sylvii i Tommy'ego. Niech was Bóg błogosławi, najdrożsi. Wybaczcie...

Frankie poczuła, że ściskają w gardle.

- Niczego nie wolno dotykać - powiedział Nicholson. - Będzie musiało się odbyć dochodzenie. Trzeba szybko zadzwonić na policję.

Frankie posłusznie podeszła do drzwi. Zatrzymała się.

- W zamku nie ma klucza.

- Nie ma? Może u niego w kieszeni.

Uklęknął, zaczął ostrożnie szukać. W kieszeni zmarłego jakiś klucz.

Pasował do zamka. Oboje wyszli do holu. Doktor Nicholson poszedł prosto do telefonu.

Frankie, pod którą drżały kolana, poczuła się nagle słabo.

Zniknięcie Moiry

W godzinę później Frankie dzwoniła do Bobby'ego.

- Czy to Hawkins? Halo, Bobby, słyszałeś, co się stało? Tak? Jak najszybciej musimy się gdzieś spotkać. Najlepiej jutro wcześniej rano. Wyjdę na spacer przed śniadaniem. Powiedzmy o ósmej, w tym samym miejscu co wczoraj.

Odłożyła słuchawkę, zanim Bobby zdołał wykrztusić swoje trzecie, pełne szacunku, „tak jest, jaśnie panienko”, przeznaczone dla ewentualnych niepowołanych uszu.

Przybył na spotkanie pierwszy, ale nie musiał długo czekać. Frankie była blada i niespokojna.

- Witaj, Bobby, czy to nie straszne? Całą noc nie mogłam zmrużyć oka.

- Nie znam szczegółów. Słyszałem tylko tyle, że Henry Bassington-ffrench się zastrzelił. Jak się to stało?

- Sylvia z nim rozmawiała, przekonywała do podjęcia kuracji, a on się zgodził. Potem chyba opuściła go odwaga. Zamknął się w gabinecie na klucz, napisał parę pożegnalnych słów i... zabił się. Bobby, to straszne. To jest... to jest smutne.

- Wiem - rzekł Bobby miękko. Oboje chwilę milczeli.

- Muszę dziś wyjechać, oczywiście - rzekła Frankie.

- Tak, na pewno. Jak ona się czuje? To znaczy pani Bassington-ffrench?

- Jest załamana, biedaczka. Nie widziałam jej od czasu... od chwili, kiedy znaleźliśmy ciało... To musiał być dla niej potworny wstrząs.

Bobby kiwnął głową.

- Przyrowadź samochód koło jedenastej - poprosiła.

Bobby nie odpowiadał. Frankie zwróciła się do niego zniecierpliwiona.

- Co się z tobą dzieje, Bobby? Wyglądasz, jakbyś dumał o niebieskich migdałach.

- Przepraszam. Tak właściwie...

- Co?

- No, zastanawiałem się... Mam nadzieję... no, mam nadzieję, że to naprawdę...

- Co, „naprawdę”?

- Czy to całkiem pewne, że to naprawdę było samobójstwo?

- Aha! To masz na myśli. - Chwilę się zastanawiała. - Tak, to naprawdę było samobójstwo.

- Czy jesteś tego pewna? Widzisz, Frankie, Moira mówiła, że Nicholsonowi w realizacji jego planów stoją na zawadzie dwie osoby. Popatrz, jedną z nich ma już z głowy.

Frankie znów zaczęła się namyślać, ale rezultat był ten sam.

- To nie mogło być nic innego - potwierdziła. - Byłam z Rogerem w ogrodzie, kiedy usłyszeliśmy strzał. Pobiegliśmy prosto z tarasu przez salon do holu. Drzwi gabinetu były zamknięte od wewnątrz. Przebiegliśmy naokoło domu do okna, także było zamknięte, Roger musiał wybić szybę. Nicholson pojawił się na scenie dopiero w tym momencie.

Bobby rozważał te informacje.

- Niby wszystko w porządku, ale skąd tak nagle pojawił się Nicholson?

- Zostawił tu swoją laskę i właśnie po nią wrócił.

Bobby myślał intensywnie.

- Posłuchaj, Frankie, założmy, że to jednak Nicholson naprawdę zastrzelił Bassington-frencha...

- Wymuszając na nim przedtem napisanie pożegnalnego listu?

- To najprostsza rzecz pod słońcem. Niedokładności w podrobionym charakterze pisma można

zwalić na karb wielkiego podniecenia...

- Tak, to prawda. No, jedź dalej z tą twoją hipotezą.

- Nicholson zabija Bassington-ffrench, zostawia fałszywy list, wycofuje się, zamykając drzwi na klucz... żeby pojawić się za parę minut, jakby dopiero co przybył...

Frankie z dezaprobatą pokręciła głową.

- To może byłby i dobry pomysł, ale w tej sytuacji jest do niczego. Po pierwsze, klucz był w kieszeni Bassington-ffrench...

- Kto go tam znalazł?

- No, prawdę mówiąc, Nicholson.

- A widzisz. Cóż łatwiejszego, jak tylko udać, że się znalazło klucz...

- Pamiętaj, obserwowałam go. Jestem przekonana, że klucz rzeczywiście był w kieszeni.

- To jest właśnie to, co potrafi byle magik w cyrku. Jesteś przekonana, że królik rzeczywiście był w cylindrze. Jeżeli Nicholson jest przestępcą pierwszej klasy, taka drobna manipulacja to dla niego fraszka.

- Może i masz rację, ale uczciwie mówiąc, Bobby, to po prostu niemożliwe. Sylvia Bassington-ffrench była w domu, kiedy rozległ się strzał. W momencie kiedy go usłyszała, wybiegła do holu. Musiałaby zobaczyć Nicholsona, gdyby to on strzelał i chciał wyjść drzwiami. Zresztą Sylvia mówiła, że Nicholson przyszedł podjazdem do wejścia frontowego. Widziała go, kiedy my okrążaliśmy dom. Wyszła mu na spotkanie i przyprowadziła do nas, pod okno gabinetu. Nie, Bobby, mówię to z bólem serca, ale ten facet ma alibi.

- Z zasady podejrzewam szczególnie tych, którzy mają alibi - rzekł Bobby.

- Ja także. Ale nie mam pojęcia, jak można by je podważyć.

- Ja też nie. Słowo Sylvii Bassington-ffrench zasługuje na wiarę.

- Tak, na pewno.

- No, nie mamy innego wyjścia, jak uznać to za samobójstwo. Biedak - westchnął Bobby. - Jaki wybieramy teraz kierunek ataku?

- Caymanowie. Nie wiem, jak mogliśmy tak się zaniedbać i dotąd ich nie szukać. Masz ich adres z tego listu?

- Tak. Ten sam, który podali na przesłuchaniu. St. Leonard's Gardens numer 17, Paddington.

- Czy zgadzasz się ze mną, że karygodnie zaniedbaliśmy ten kierunek poszukiwań?

- Jak najbardziej. Ale niestety obawiam się, Frankie, że ptaszki nam wyfrunęły. Nie podejrzewam ich o aż tak bezgraniczną naiwność.

- Nawet jeżeli uciekli, może uda mi się czegoś o nich dowiedzieć.

- Dlaczego „mi”?

- Bo sądzę, że i tym razem powinieneś się trzymać z boku. Tak jak tutaj, kiedy podejrzewaliśmy Rogera. Ciebie widzieli i znają, a mnie nie.

- A jak zamierzasz się z nimi poznać? - spytał.

- Wchodzę w politykę. Będę prowadzić agitację na rzecz partii Konserwatywnej. Pojawię się u nich z ulotkami.

- Nieźle. Ale sądzę, że ptaszki wyfrunęły, jak mówiłem - rzekł. - Poza tym nie możemy zapomnieć jeszcze o jednym. O Moirze.

- Tam, do licha, zupełnie mi wyleciała z głowy.

- Zauważyłem to - rzekł z nutą chłodu w głosie.

- Masz rację. Trzeba coś z nią zrobić - stwierdziła po namyśle.

Bobby pokiwał głową. Dziwnie tęskna twarz pojawiła mu się przed oczami. Miała w sobie coś tragicznego. Czuł to, od kiedy po raz pierwszy spojrzął na jej zdjęcie wyjęte z kieszeni Alana Carstairsa.

- Gdybyś ją wtedy widziała, w nocy, kiedy zobaczyłem ją w Grange! - rzekł. - Była oszalała ze strachu, a mówię ci, Frankie, ona nie kłamie. To nie nerwy czy wyobraźnia, nic z tych rzeczy. Jeśli Nicholson chce się ożenić z Syla Bassington-french, musi pokonać dwie przeszkody. Jedną już ma z głowy. Przeczuwam, że życie Moiry wisi na włosku, i najmniejsza zwłoka może być dla niej tragiczna w skutkach.

Powaga jego słów podziałała na Frankie mobilizująco.

- Masz rację, mój drogi. Musimy działać szybko. Co robimy?

- Trzeba ją przekonać, żeby opuściła Grange. I to natychmiast.

Frankie skinęła głową.

- Mam pomysł. Wyślę ją do Walii, do mojego zamku. Tam, na Boga, powinna być bezpieczna.

- Gdyby ci się udało, byłoby to najlepsze wyjście.

- Nie ma problemu. Ojciec w ogóle nie zwraca uwagi, kto przyjeżdża i wyjeżdża. Moira będzie mu się podobać, jak każdemu mężczyźnie: jest taka kobieca. To niesamowite, jak mężczyźni uwielbiają bezradne kobietki.

- Nie uważam Moiry za szczególnie bezradną.

- Nonsens. Zachowuje się jak ptaszek, który siedzi znieruchomiały i bez protestu czeka, aż go zje wąż.

- A co twoim zdaniem powinna robić?

- Ma zatrząśnienie możliwości - stwierdziła energicznie Frankie.

- Na przykład? Nie ma przecież pieniędzy, przyjaciół...

- Kochany, nie rozpędzaj się tak, jakbyś ją rekomendował do opieki społecznej.

- Przepraszam. Zapadła pełna urazy cisza.

- No - rzekła Frankie, odzyskując spokój - wracając do sprawy, myślę, że musimy natychmiast zabrać się do dzieła.

- Ja też. Naprawdę, Frankie, strasznie miło z twojej strony, że...

- W porządku - przerwała mu. - Nie mam nic przeciwko temu, że podoba ci się jakaś dziewczyna, dopóki nie zaczniesz pleść o niej bzdur, jakby nie miała ani rączek, ani nóżek, języka, ani rozumu we łbie.

- Nie rozumiem, co masz na myśli.

- Dobrze, zamknijmy ten temat. Wiem jedno: cokolwiek my zrobić, musimy to zrobić szybko. Czy to aby nie cytat?

- Jedynie parafraza. Do dzieła, lady Macbeth.

- Wiesz, zawsze uważałam - Frankie zboczyła radykalnie z tematu - że lady Macbeth sprowokowała męża do tych wszystkich zabójstw tylko i wyłącznie dlatego, iż była śmiertelnie znudzona życiem, w tym również samym Macbethem. Jestem przekonana, że był to jeden z tych potulnych, zgodnych facetów, którzy doprowadzają swoje żony do szaleństwa z nudy. Ale popełniwszy pierwszą zbrodnię w życiu, pozwalają się ogarnąć manii wielkości, kompensującej im dotychczasowy kompleks niższości.

- Koniecznie musisz na ten temat napisać książkę, Frankie.

- Robię błędy ortograficzne. No, dobrze, o czym to mówiliśmy? Aha, ratujemy Moirę. Lepiej przyprowadź samochód o wpół do jedenastej. Pojadę do Grange, poproszę Moirę i - jeżeli Nicholson tam będzie - przypomnę jej głośno, że obiecała do mnie pojechać i zostać parę dni, no, i

zabiorę ją stamtąd.

- Świetnie. Cieszę się, że zaczynamy od razu działać, mi wyobraźni już widziałem kolejny wypadek.

- A więc o wpół do jedenastej.

Gdy wróciła do Merroway Court, było już wpół do dziesiątej. Właśnie podano śniadanie, Roger nalewał sobie kawy. Wyglądał mizernie i niezdrowo.

- Dzień dobry - przywitała się. - Spało mi się fatalnie, w końcu wstałam o siódmej i wybrałam się na spacer.

- Tak bardzo mi przykro, że zostałam wmieszana w ten cały kłopot.

- Jak tam Sylvia?

- Wieczorem dostała coś na sen, myślę, że jeszcze nie wstała. Biedna, tak mi jej żal. Była bez reszty oddana Henry'emu.

- Wiem.

Po chwili przerwy Frankie przedstawiła swoje plany wyjazdowe.

- Spodziewałem się, że będziesz chciała wyjechać - powiedział Roger zasmucony. - Przesłuchanie w piątek. Dam ci znać, gdybyś była tam potrzebna. Wszystko zależy od koronera.

Łyknął swoją kawę, przegryzł grzanką i wyszedł zająć się rozlicznymi sprawami, które teraz wymagały jego obecności. Frankie było go żal. Plotki i niezdrowe zainteresowanie, jakie wzbudza takie samobójstwo w rodzinie, mogła to sobie wyobrazić. Pojawił się Tommy, zajęła się więc zabawą z dzieckiem.

Bobby podjechał samochodem o wpół do jedenastej. Przyniesiono jej bagaż. Pożegnała się z Tommym i zostawiła liścik do Sylvii. Bentley odjechał.

Droga do Grange trwała krótko. Frankie była tu po raz pierwszy; żelazna brama i zdziczałe krzewy zrobiły na niej przygnębiające wrażenie.

- To ponure miejsce - zauważyła. - Nic dziwnego, że Moirę dręczą tu lęki.

Podjechali do głównego wejścia, Bobby wysiadł i zadzwonił. Przez dłuższą chwilę nikt nie podchodził. W końcu pojawiła się kobieta w stroju pielęgniarki.

- Do pani Nicholson - oznajmił Bobby.

Kobieta zawahała się, wycofała do holu i otworzyła drzwi szerzej. Frankie wyskoczyła z samochodu i weszła do budynku. Drzwi zamknęły się za nią z nieprzyjemnym łoskotem,

zwielokrotnionym przez echo. Frankie zwróciła uwagę na ciężkie sztaby i skoble. Poczwała irracjonalny strach, jakby została więźniem tego złowrogiego domostwa.

Bzdura, powiedziała do siebie, Bobby czeka na zewnątrz w aucie. Przyszłam legalnie. Nic mi się nie może stać. Otrząsając się z tych śmiechu wartych nastrojów, poszła w ślad za pielęgniarką po schodach na górę, potem w głąb długiego korytarza. Siostra otworzyła drzwi i Frankie weszła do gustownego saloniku, pełnego wesołych makatek i wazonów z kwiatami. Nastrój Frankie poprawił się zdecydowanie. Siostra mamrocząc coś pod nosem.

Po jakichś pięciu minutach drzwi się otworzyły i wszedł doktor Nicholson. Frankie lekko drgnęła, ale zaraz postarała się zamaskować przestraszony miły uśmiech i wyciągnięciem ręki na powitanie.

- Dzień dobry - powiedziała.

- Dzień dobry, lady Frances. Mam nadzieję, że nie sprowadzają pani złe wiadomości o stanie pani Bassington-french?

- Gdy wyjeżdżałam, jeszcze spała.

- Współczuję jej. Naturalnie zajmuje się nią lekarz domowy?

- Tak jest. - Po przerwie dodała: - Jest pan pewnie zapracowany, nie chciałabym zajmować pańskiego cennego czasu, doktorze. Właściwie przyjechałam do pańskiej żony.

- Do Moiry? Bardzo to miłe z pani strony.

Czy zdawało jej się tylko, że bladobłękitne oczy ukryte za silnymi szklami stały się jeszcze twardsze?

- Tak - powtórzył - to bardzo miłe.

- Jeżeli jeszcze nie wstała - powiedziała Frankie z uroczym uśmiechem - posiedzę i zaczekam na nią.

- Ach, nie, już wstała.

- Doskonale. Chcę ją namówić na wizytę u mnie. Właśnie już obiecała przyjechać - znów się uśmiechnęła.

- Tak, to bardzo miło z pani strony, lady Frances, naprawdę bardzo uprzejmie. Moira na pewno byłaby zachwycona.

- Byłaby? - spytała ostro.

Doktor Nicholson wyszczerzył w uśmiechu garnitur równych, białych zębów.

- Niestety, małżonka wyjechała dziś z rana.

- Wyjechała - powtórzyła machinalnie. - Dokąd?

- A tak, trochę zmienić klimat. Wie pani, jak to jest, lady Frances. To dość przygnębiające miejsce dla młodej kobiety. Od czasu do czasu Moira musi się przewietrzyć, więc znika na parę dni.

- Nie wie pan, dokąd pojechała?

- Chyba do Londynu. Sklepy, teatry, wie pani, takie sobie rozrywki - wciąż się uśmiechał.

Zdaniem Frankie był to najbardziej odpychający uśmiech pod słońcem.

- Jadę dziś do Londynu. Czy mógłby pan dać mi jej adres?

- Zazwyczaj bierze pokój w Savoyu. Ale pewnie odezwie się do mnie za dzień czy dwa. Nie lubi pisać, niestety, a ja mam do niej pełne zaufanie, uważam, że żonie należy dawać wolną rękę. Myślę, że powinna pani spróbować w Savoyu.

Otworzył jej drzwi i, zanim Frankie się obejrzała, już ścisnął jej dłoń na pożegnanie, idąc do drzwi. Pielęgniarka wyprowadziła ją. Na pożegnanie zabrzmiał głos doktora, uładowany i chyba odrobinę ironiczny:

- Jak to miło z pani strony, lady Frances, że zaprosiła pani do siebie moją żonę.

Na tropie Caymanów

Bobby z niejaką trudnością zdołał utrzymać na wodzy wzorowe szoferskie maniery, gdy zobaczył, że Frankie wychodzi sama.

- Zawracaj do Staverley, Hawkins - rzuciła Frankie na użytek stojącej przy drzwiach pielęgniarki.

Samochód pomknął podjazdem i minął kute bramy. Kiedy znaleźli się na nieuczęszczanym odcinku drogi, Bobby zatrzymał auto i spojrzał dociekliwie na swą towarzyszkę.

- No i co? - spytał.

- Bobby, nie podoba mi się to. Wygląda na to, że wyjechała... - odparła bez przekonania.

- Wyjechała? Dziś?

- Albo wczoraj wieczorem.

- Tak bez słowa?

- Bobby, nie wierzę w to. On kłamie, jestem tego pewna.

Bobby zbladł jak ściana.

- Za późno! Co z nas za idioci! Nie trzeba było pozwolić, aby wczoraj wróciła do domu - wymamrotał.

- Chyba nie myślisz, że już nie żyje, co? - wyszeptała drżącym głosem.

- Nie - wyrzucił gwałtownie, jakby chcąc samemu sobie dać pewności.

Oboje milczeli parę minut, po czym Bobby, już spokojniej, zaczął snuć domysły.

- Musi wciąż jeszcze żyć, nie pozbyłby się przecież ciała tak łatwo. Nie może narazić się na podejrzenia. Albo gdzieś ją wysłał wbrew jej woli, albo - co wydaje mi się bardziej prawdopodobne - ona wciąż jest tutaj.

- W Grange?

- W Grange.

- Więc co robimy? - spytała Frankie. Bobby namyślał się chwilę.

- Nie sądzę, żebyśmy coś tu zdziałali. Lepiej jedź do Londynu. Chciałaś zająć się Caymanami. Weź się za to.

- Ależ, Bobby!

- Kochana, nic tu po tobie. Tu już wszyscy cię znają aż za dobrze. Już ogłosiłaś swój wyjazd, nie masz innego wyjścia. Nie możesz zostać w Merroway. Nie możesz też wprowadzić się do Anglers' Arms. Cała okolica wzięłaby cię na języki. Jedź do domu, ja tu zostanę.

- W Anglers' Arms?

- Nie. Myślę, że twój kierowca zniknie teraz. Założę kwaterę główną w Ambledever, dziesięć mil stąd i, jeśli Moira jest gdzieś w tym koszmarnym domostwie, znajdę ją.

Frankie nie była do końca przekonana.

- Będiesz na siebie uważał?

- Będę przebiegły jak wąż.

Z ciężkim sercem poddała się. Plan Bobby'ego wyglądał dosyć rozsądnie. Rzeczywiście, sama nic tu już nie mogła zdziałać. Bobby odwiózł ją więc do Londynu. Frankie, rozgościwszy się w domu

przy Brook Street, poczuła się nagle samotna i opuszczona.

Nie należała jednak do osób, które potrafią dłużej usiedzieć na miejscu beczynnie. O trzeciej po południu można było w okolicach St. Leonard's Gardens zobaczyć zaaferowaną młodą damę w binoklach, ubraną modnie acz skromnie, z plikiem broszur i ulotek w rękę.

Ulica St. Leonard's Gardens w Paddington była wyjątkowo Ponurym skupiskiem domów, w większości dość poważnie zrujnowanych. Widać było wyraźnie, że zakątek ten czasy świetności miał już od bardzo dawna za sobą.

Frankie szła ulicą, sprawdzając numery domów. Nagle zatrzymała się, wyraźnie niezadowolona.

Numer siedemnasty opatrzony był tablicą informacyjną „Dom na sprzedaż lub do wynajęcia”.

Frankie niezwłocznie zdjęła binokle oraz zrezygnowała z zaaferowanej miny. Zanosilo się na to, że agitatorka polityczna nie będzie potrzebna.

Na tablicy znalazła kilkanaście adresów pośredników handlu i wynajmu nieruchomości. Wybrała i zanotowała dwa z nich. Mając już plan działania, Frankie ruszyła wcielić go w życie.

Na pierwszy ogień poszła firma Gordon & Porter z Prac Street.

- Dzień dobry - powiedziała. - Byłabym wdzięczna, gdyby pan zechciał podać mi adres pana Caymana. Mieszkał pod siedemnastym na St. Leonard's Gardens.

- Istotnie, tak - odrzekł młody człowiek, do którego zwrócili się Frankie. - Nie pomieszkał długo. Działamy w imieniu właściciela. Pan Cayman wynajął od nas ten dom na kwartał. Zdaje się, że spodziewał się w każdej chwili zagranicznego kontraktu. Wygląda na to, że się doczekał.

- Więc nie macie panowie adresu?

- Niestety, nie. Uregulował rachunki i sprawa załatwiona.

- Ale musiał podać jakiś adres, kiedy podpisywał umowę?

- Tak, jakiegoś hotelu, zdaje się, kolejowego, na stacji Paddington, wie pani.

- Żadnych referencji?

- Zapłacił za kwartał z góry i dał zaliczkę na rachunki za elektryczność i gaz, więc sama pani rozumie...

- No, tak - rzekła Frankie z rezygnacją.

Zauważyła, że młodzieniec przygląda jej się bacznie. Pośrednicy mają oko i potrafią określić, do jakiej klasy klient należy, więc zainteresowanie Frankie Caymanem wydało mu się pewnie

cokolwiek dziwne.

- Jest mi winien sporo pieniędzy - zełgała.

Wiadomość ta wstrząsnęła młodym człowiekiem do głębi. Zdecydowany pięknej oszukanej damie dostarczyć Caymana żywego lub umarłego, rzucił się wertować sterty korespondencji. Niestety, bez efektu.

Frankie podziękowała i oddaliła się. Pojechała taksówką do następnego biura. Nie zamierzała znowu tracić czasu na wypytywanie się o Caymanów. To tamten agent wynajmował im dom, więc nie było co dłużej szukać informacji o nich. Tu poprosiła o wykaz nieruchomości do wynajęcia.

Zdziwionemu pośrednikowi wyjaśniła, że poszukuje taniego obiektu na schronisko dla dziewcząt. Po chwili wychodziła z kluczami do domu przy St. Leonard's Gardens 17 oraz do paru innych nieruchomości, których wcale nie zamierzała oglądać.

Udało się, pośrednik nie miał ochoty z nią iść; pewnie osobiście pokazują tylko mieszkania umeblowane.

Już od progu posesji numer 17 uderzył ją w nozdrza mysi zaduch nie wietrzonego mieszkania. Dom był wyjątkowo odpychający, niechlujnie wykończony, z płatami odłóżającej, brudnej farby na ścianach. Frankie zwiedziła go metodycznie od piwnic po dach. Mieszkania nie sprzątano po wyjeździe lokatorów. Pełno tu było kawałków sznurka, starych gazet, pojedynczych gwoździ, jakichś narzędzi. Ale z rzeczy osobistych nic, nawet skrawka podartego listu.

Jedyne, co mogło mieć jakieś znaczenie, to leżący na parapecie, otwarty rozkład jazdy pociągów sieci ABC. Żadna miejscowość na otwartej stronie nie była podkreślona, Frankie przepisała więc wszystkie do swojego notesiku. Nie o takich planach poszukiwań marzyła. Jak dotąd, poszukiwania Caymanów spełzły na niczym.

Pocieszała się myślą, że w zasadzie tego właśnie się spodziewała. Jeśli pan i pani Cayman byli na bakier z prawem, to postarali się zatrzeć za sobą ślady. To było jakieś pośrednie twierdzenie ich winy.

Niemniej jednak czuła się mocno rozczarowana, zwracając agentowi klucze i zwodząc go obietnicą późniejszego kontaktu.!

Szła ulicą przygnębiona i zastanawiała się, do czego należało się teraz zabrać. Bezowocne rozmyślenia przerwała jej gwałtowna ulewa. Taksówki nie było ani na lekarstwo, więc aby ocalić swój ulubiony kapelusz, wskoczyła do metra; wejście było tuż obok. Kupiła bilet do Piccadily Circus i gazetę w kiosku.

Metro o tej porze było prawie puste. Żeby oderwać myśli od dokuczliwych problemów, próbowała się zagłębić w lekturze gazety. Przeglądała ją wyrywkowo.

Śmiertelne wypadki na drogach. Tajemnicze zniknięcie uczennicy. Przyjęcie wydane przez lady Peterhampton u Claridge'a. Sir John Milkington przychodzi do zdrowia po wypadku na słynnym

jachcie „Astradora”, tym samym, który należał do nieżyjącego Johna Savage’a, milionera... Czyżby to pechowa łódź? Jej konstruktor zginął tragicznie, pan Savage popełnił samobójstwo, sir John Milkington cudem uniknął śmierci.

Frankie opuściła gazetę i zmarszczyła czoło, wysilając pamięć.

Już dwukrotnie natknęła się na wzmianki o Johnie Savage. Wspomniała o nim Sylvia, opowiadając o Alanie Carstairsie, a także Bobby, kiedy relacjonował swoją rozmowę z panią Rivington.

Alan Carstairs był przyjacielem Johna Savage’a. Pani Rivington mówiła, że pobyt Carstairsa w Anglii ma prawdopodobnie związek ze śmiercią Savage’a. Savage, zdaje się, popełnił samobójstwo sądząc, że ma raka.

Przypuścimy więc, że Alan Carstairs miał wątpliwości co do okoliczności śmierci przyjaciela. Przypuścimy, że przybył, tu, aby je rozwiązać. Przypuścimy, że właśnie od śmierci Savage’a rozpoczął się pierwszy akt dramatu, w którym ona i Bobby biorą udział.

To możliwe. Tak, to możliwe.

Namyślała się głęboko nad tym, jak zabrać się do rozwiązywania tego problemu teraz, gdy sprawa zaczęła przedstawiać się jej w nowym świetle. Nie miała pojęcia, kim był John Savage, i jak dotrzeć do jego przyjaciół czy bliskich.

Nagle wpadła na pomysł. Testament! Jeżeli w jego śmierci było coś podejrzanego, w testamencie mogłaby znaleźć jakieś wskazówki.

Wiedziała, że jest w Londynie miejsce, gdzie można pójść i za opłatą jednego szylinga zapoznać się z każdym testamentem. Nie pamiętała tylko, gdzie szukać tego miejsca.

Pociąg zatrzymał się na przystanku British Museum. Frankie, zamyślona, minęła przystanek Oxford Circus, na którym miała się przesiąść na inną linię metra, i przejechała dwie stacje za daleko.

Zerwała się na równe nogi, wysiadła. Gdy znalazła się na ulicy, przyszedł jej do głowy kolejny pomysł. Pięć minut spacerkiem i znalazła się w biurze panów Spragge, Spragge, Jenkinson & Spragge.

Przywitano ją z pełnym szacunkiem i bez zwłoki zaprowadzono do serca firmy, do gabinetu pana Spragge seniora.

Pan Spragge był człowiekiem jowialnym, i to w najwyższym stopniu. Miał głęboki, słodki i przekonujący głos, który działał na jego arystokratycznych klientów jak balsam, pozwalający zapomnieć o kłopotach, z którymi tu przyszli. Wieść gminna niosła, że pan Spragge był w posiadaniu największej w Londynie liczby kompromitujących sekretów dotyczących rodzin z wyższych sfer.

- Jakże mi miło, lady Frances - powiedział. - Proszę spocząć. Czy krzesło jest dosyć wygodne? Tak, tak. Cudowną pogodę mamy dzisiaj. Prawdziwe babie lato. Szanowny ojciec pani w dobrym

zdrowiu, mam nadzieję?

Frankie udzielała odpowiedzi na te oraz inne pytania skromnie i rzeczowo, jak przystoi młodej damie. Wreszcie pan Spragge zdjął binokle, a jego oblicze przybrało urzędową minę.

- Więc cóż za dobre wiatry panią sprowadzają, lady Frances w moje niskie progi?

Szantaż? - pytały jego brwi. Niedyskrecja w liście? Przygoda z nieodpowiednim młodym mężczyzną? Sprawa w sądzie z krawcową? Brwi zadawały te pytania w sposób niezwykle dyskretny, jak przystało na prawnika o doświadczeniu i dochodach pana Spragge.

- Chciałabym obejrzeć pewien testament - wyjaśniła Frankie. - Nie wiem, gdzie i jak się to załatwia. Słyszałam, że gdzieś można to zrobić za szylinga, nie mylę się chyba?

- W Somerset House - powiedział pan Spragge. - Ale o jaki testament chodzi? Nie chwałę się, wiem chyba wszystko o ee... testamentach w pani rodzinie. Moja firma ma zaszczyt prowadzić wasze sprawy już od wielu lat.

- Nie chodzi o rodzinę.

- Nie? - rzekł pan Spragge.

Jego zdolność zdobywania zaufania klientów okazała się tak hipnotyczna, że Frankie, wcale nie mając tego zamiaru, zdradziła się.

- Chcę obejrzeć testament pana Savage'a, Johna Savage'a.

- Coś podobnego! - głos pana Spragge zabrzmiał niekłamany zdumieniem. Tego się nie spodziewał. - To niewiarygodne, naprawdę niewiarygodne!

Jego reakcja była tak niezwykła, jak na niego, że spojrzała zaskoczona.

- Naprawdę - rzekł pan Spragge - naprawdę nie wiem, co mam zrobić. Czy zechciałaby pani uzasadnić, po co chce go pani obejrzeć?

- Nie, niestety nie mogę.

Uderzyło ją, że z niewiadomego powodu pan Spragge zachowuje się zupełnie niezgodnie z dotychczasowymi obyczajami, że traci swoją dobrotliwie wszechwiedzącą pozę.

- Lady Frances, czuję się w obowiązku panią ostrzec.

- Ostrzec?

- Tak. Pewne okoliczności wskazują, że zanosi się na coś. W żadnym wypadku nie wolno się pani wplątać w jakieś mętne sprawy.

Frankie wolała mu nie mówić, że po uszy utkwiała już w „mętnej sprawie”, której z pewnością by nie pochwalała, więc ograniczyła się do pytającego spojrzenia.

- Mamy tu do czynienia z zadziwiającym zbiegiem okoliczności - ciągnął pan Spragge. - Ktoś coś knuje, to pewne. Ale kto i co, nie mogę jeszcze powiedzieć w tej chwili.

Frankie nadal przypatrywała mu się pytająco.

- Doszło do mnie - ciągnął, sapiąc ciężko z oburzenia - że ktoś się pode mnie podszył, lady Frances! Świadomie podszył! Co pani na to?!

Frankie, owładnięta paniką, przez dobrą minutę nic na to nie była w stanie powiedzieć.

Pan Spragge zabiera głos

Wyjąkała wreszcie:

- Jak pan się dowiedział?

Wcale nie miała zamiaru tego powiedzieć. Ugryzła się w język i przeklęła swoją głupotę, ale słowa już zostały wypowiedziane, a pan Spragge nie byłby dobrym prawnikiem, gdyby nie dostrzegł zawartego w nich przyznania się do winy.

- A więc wie pani coś na ten temat, lady Frances?

- Tak.

Westchnęła i dodała:

- To moja wina, panie Spragge.

- Jestem wstrząśnięty - rzekł pan Spragge.

Ton jego głosu odzwierciedlał walkę, którą toczył w jego duszy obrażony prawnik z opiekuńczym doradcą rodziny.

- Jak do tego doszło? - spytał.

- To był po prostu żart. Chcieliśmy się rozerwać.

- A kto - indagował dalej pan Spragge - wpadł na pomysł, żeby się za mnie podawać?

Frankie spojrzała na niego, wysiliła koncentrację i zdecydowała szybko.

- To był młody księżę No... - zacięła się. - Naprawdę, nie mogę zdradzać nazwisk, to nie byłoby fair.

Wiedziała już, że szala przechyliła się na jej stronę. Było wątpliwe, aby pan Spragge puścił w niepamięć wybryk jakiegoś syna pastora, natomiast słabość do arystokratycznych nazwisk pozwalała mu patrzeć przez palce na wyskoki księcia. Stał się znowu dobrotliwy.

- Ech, wy, złota młodzieży! - pogroził Frankie palcem. - Wpakujecie się kiedyś w kłopoty. Nie zdaje sobie pani sprawy, lady Frances, ile komplikacji prawnych może wyniknąć z pozornie niewinnego dowcipu, zrobionego pod wpływem chwili. A jak sprawa trafi do sądu...

- Jest pan niezwykle wyrozumiały, panie Spragge - rzekła Frankie z zapałem. - Naprawdę tak myślę. Nawet jedna na tysiąc osób nie przyjęłaby tego tak jak pan. Strasznie mi wstyd.

- No, proszę się tak nie przejmować, lady Frances - poklepał ją po ojcowsku.

- Ależ nie mogę się nie przejmować. Dowiedział się pan od pani Rivington? Co ona panu powiedziała?

- Mam tu list. Dostałem go właśnie pół godziny temu.

Frankie wyciągnęła rękę, a pan Spragge podał jej list, z miną mówiącą „zobacz sama, do czego doprowadziła twoja lekkomyślność”.

Drogi panie Spragge! - pisała pani Rivington. - Muszę się usprawiedliwić, ale dopiero po naszej rozmowie u mnie w domu, przypomniałam sobie coś, co może panu pomóc. Alan Carstairs wspominał, że udaje się do miejscowości Chipping Somerton. Nie wiem, czy to panu w czymś pomoże.

To, co mi pan powiedział o sprawie Maltravers, było naprawdę niezwykle ciekawe. Łączę pozdrowienia,

Pańska oddana,

Edith Rivington

- Widzi pani, że sprawa mogła przybrać bardzo groźny obrót - powiedział pan Spragge poważnie, ale nie bez pewnej dobroduszości. - Byłem przekonany, że szykuje się jakaś poważna intryga. Albo związana ze sprawą Maltravers, albo z moim klientem, panem Carstairssem.

Frankie przerwała mu.

- Alan Carstairs był pańskim klientem? - zapytała w podnieceniu.

- Tak jest. Zwrócił się do mnie, kiedy ostatnio był w Anglii jakiś miesiąc temu. Zna pani pana Carstairsa, lady Frances?

- Można tak powiedzieć.

- Bardzo ciekawa osobowość - rzekł pan Spragge. - Wnosił do mojego biura jakby, ee... oddech szerokich przestrzeni.

- Przyszedł poradzić się w sprawie testamentu pana Savage'a, prawda?

- A, więc to pani poradziła mu zwrócić się do mnie. Nie mógł sobie przypomnieć, kto to był. Szkoda, że mogłem niewiele dla niego zrobić.

- A co mu pan doradził? Czy może etyka zawodowa nie pozwala panu o tym mówić?

- W tym wypadku nie mam obowiązku dyskrecji - rzekł pani Spragge z uśmiechem. - Moim zdaniem nic nie można było zrobić. Nic, chyba że rodzinę pana Savage'a byłoby stać na olbrzymie wydatki na sprawę sądową, co, jak mi się zdaje, nie wchodziło w grę. Nigdy nie doradzam wkraczania na drogę sądową, dopóki nie ma wyraźnych szans na sukces. Z prawem nie ma żartów. Zawiera ono, musi pani wiedzieć, lady Frances, kruczki których laik nie pojmie. Zawsze staram się doprowadzić strony do ugody pozasądowej.

- No, ta sprawa była bardzo tajemnicza - rzekła Frankie ostrożnie.

Cały czas miała wrażenie, że chodzi boso po podłodze, na której rozsypano pinezki. W każdej chwili mogła nadepnąć na którąś - i gra skończona.

- Tego rodzaju przypadki wcale nie są takie rzadkie, jak by się mogło wydawać - powiedział pan Spragge.

- Przypadki samobójstwa? - dopytywała się Frankie.

- Nie, nie, myślę o przypadkach karygodnego wywierania nacisku. Pan Savage był trzeźwym biznesmenem, ale w rękach tej kobiety stał się miękki jak wosk. Nie mam wątpliwości, że wiedziała, jak to się robi.

- Gdyby mógł pan opowiedzieć mi całą historię od początku do końca - Frankie poszła *va banque*. - Pan Carstairs był tak tą sprawą poruszony, że nigdy nie dowiedziałam się wszystkiego.

- Najprostsza sprawa pod słońcem. Mogę podać pani fakty, są ogólnie znane, więc nie ma tu mowy o żadnym naruszeniu obowiązku dyskrecji.

- Proszę mi dokładnie opowiedzieć.

- Pan Savage wracał ze Stanów Zjednoczonych do Anglii w listopadzie zeszłego roku. Był to, jak pani wiadomo, człowiek niezmiernie bogaty, nie mający bliskich krewnych. W tej podróży poznał pewną damę, panią Templeton. Niewiele wiadomo o pani Templeton, poza tym, że jest bardzo

przystojna, a jej mąż nie narzuca się zbyttnio.

Caymanowie, pomyślała Frankie.

- Podróże oceaniczne bywają niebezpieczne - ciągnął pan Spragge, uśmiechając się i kiwając głową. - Pan Savage był pod silnym wrażeniem. Przyjął zaproszenie damy, która go namówiła, żeby ją odwiedził w jej domku w Chipping Somerton. Jak często tam jeździł, nie wiadomo, ale niewątpliwie znajdował się pod coraz większym wpływem pani Templeton. Potem przyszło nieszczęście. Pan Savage od pewnego czasu niepokoił się stanem swego zdrowia. Bał się, czy nie jest nieuleczalnie chory...

- Na raka?

- Tak, istotnie chodziło o raka. Przeszło to u niego w obsesję. W tym czasie mieszkał u Templetonów. Namówili go, aby się poradził u londyńskiego specjalisty. Posłuchał. Teraz niech pani uważa, lady Frances. Ten specjalista, wybitny lekarz, od wielu lat autorytet w swojej specjalności, zeznał pod przysięgą, że pan Savage nie miał raka i że powiedział mu o tym, ale pan Savage był tak owładnięty swoją obsesją, że nie przyjął prawdy do wiadomości. Ja natomiast sądzę, lady Frances, znając lekarzy, chociaż nie mam do nich uprzedzeń, że sprawa wyglądała nieco inaczej.

Objawy choroby pana Savage mogły zaniepokoić lekarza, być może z poważną miną zalecał drogie kuracje, więc - pomimo zapewnień, że to nie rak - pacjent mógł nabrać przekonania, że coś z nim jest bardzo nie w porządku. Wiedząc ponadto, że lekarze zwykle ukrywają przed pacjentami informację o uleczalnej chorobie, zinterpretował wypowiedź specjalisty po swojemu. Uznał jego wyjaśnienia za kłamstwo i tylko umocnił się w przekonaniu, że istotnie jest chory na raka.

Tak czy inaczej, do Chipping Somerton pan Savage wrócił w stanie rozstroju nerwowego, przekonany, że ma przed sobą okres bolesnego umierania. Ktoś z jego rodziny, zdaje się zmarł na raka i to go dodatkowo utwierdzało w tym przekonaniu. Posłał po notariusza, godnego zaufania i z doskonałej kancelarii, ten spisał testament, który pan Savage podpisał i oddał do notariatu na przechowanie. Tego samego wieczoru zażył nadmierną dawkę chloralu, zostawiwszy list, w którym wyjaśnił, że woli szybką i bezbolesną śmierć od długiego i pełnego cierpienia konania.

W testamencie pan Savage zapisał siedem tysięcy funtów, bez obciążeń, pani Templeton, a resztę majątku organizacjom dobroczynnym.

Pan Spragge był w swoim żywiole. Ciągnął dalej:

- Sąd orzekł, jak zwykle w tego rodzaju przypadkach, śmierć wskutek samobójstwa „w stanie niepoczytalności umysłowej”, taką formułę stosuje się zwykle, żeby nie robić trudności rodzinie, ale nie sądzę, żeby na tej podstawie dało się udowodnić, że testator znajdował się w stanie ograniczonej poczytalności w momencie sporządzania ostatniej woli. Żaden sąd by się do tego nie przychylił. Testament został podpisany w obecności notariusza, który nie miał najmniejszej wątpliwości co do pełni władz umysłowych testatora. Nie sądzę także, żeby udało się udowodnić, że mamy tu do czynienia z przypadkiem karygodnego wywierania nacisku. Pan Savage nie wydziedziczył nikogo, z kim był blisko związany, jego jedynymi krewnymi byli dalecy kuzyni, których widywał z rzadka.

Zdaje się, że mieszkają w Australii.

Pan Spragge przerwał, żeby nabrać oddechu.

- Pan Carstairs twierdził, że taki testament jest zupełnie niezgodny z charakterem pana Savage'a. Nie znosił on organizacji charytatywnych i zawsze był zdania, że majątek powinien być przekazywany zgodnie z więzami krwi. Niestety, pan Carstairs nie miał żadnych dowodów na potwierdzenie swoich słów, a poza tym - co starałem się mu uświadomić - ludzie zmieniają poglądy. Podważenie takiego testamentu wymagałoby zakwestionowania praw organizacji charytatywnych, nie tylko pani Templeton, a to byłoby w najwyższym stopniu niezręczne. Poza tym postępowanie spadkowe było już zakończone.

- A podczas tego postępowania nie było żadnego hałasu i prób podważania testamentu?

- Jak już mówiłem, krewni pana Savage'a mieszkają za granicą i niewiele wiedzieli o sprawie. Dopiero pan Carstairs tym się zainteresował. Wrócił z podróży po dziewiczych obszarach Afryki, doszło do niego to i owo, więc przyjechał do Anglii, żeby zobaczyć, co się da zrobić w tej sprawie. Byłem zmuszony uświadomić mu, że nie ma tu już nic do zrobienia. Pani Templeton zdążyła wejść w posiadanie majątku, a to dawało jej ogromną przewagę. Ponadto wyjechała z kraju na stałe, zdaje się na południe Francji i nie daje znaku życia. Zaproponowałem panu Carstairsowi zlecenie sprawy biurowi radców prawnych, ale nie uznał tego za konieczne, godząc się z moją opinią, że nic w tej sprawie nie można już zrobić, a jeżeli nawet było można - to wcześniej, w czasie postępowania spadkowego, i że teraz jest już za późno na cokolwiek.

- Taak, rozumiem. - rzekła Frankie. - A o pani Templeton nikt nic nie wie?

Pan Spragge pokręcił głową i wydał wargi.

- Od mężczyzny pokroju pana Savage'a można by wymagać większej przezorności, ale... - Pan Spragge pokiwał smutnie głową, widząc oczami wyobraźni rzesze swoich klientów, którzy nie wykazali się w stosownym czasie przezornością i musieli swoich praw dochodzić w sądach.

Frankie podniosła się.

- Mężczyzn trudno zrozumieć - skonstatowała. Wyciągnęła rękę.

- Do widzenia, panie Spragge, jest pan wspaniały, po prostu wspaniały. Tak mi wstyd.

- Wy, złota młodzieży, musicie bardziej uważać - pouczył ją pan Spragge.

- Jest pan aniołem - rzekła Frankie. Uścisnęła mu serdecznie dłoń i wyszła.

Pan Spragge opadł za biurko. Myślał. „Młody książę...” Byli tylko dwaj książęta, których można by określić mianem młodych. O którego mogło chodzić? Wziął z biurka „Wykaz członków brytyjskiej Izby Lordów”.

Nocna przygoda

Nie wyjaśniona nieobecność Moiry martwiła Bobby'ego bardziej niż chciał się do tego przyznać. Powtarzał sobie, że nie powinien wyciągać pochopnych wniosków, że to bzdura wyobrażać sobie, że zamordowano ją w domu pełnym potencjalnych świadków zbrodni, że na pewno jest jakieś proste wytłumaczenie jej nieobecności, i że w najgorszym wypadku jest w Grange uwięziona.

W to, że mogłaby wyjechać ze Staverley z własnej i nieprzymuszonej woli, Bobby nie wierzył ani przez moment. Był przekonany, że nie odjechałaby bez słowa pożegnania czy wyjaśnienia. Poza tym nie miała przecież dokąd iść.

O nie, za tym krył się złowrogi doktor Nicholson. W jakiś sposób dowiedział się o jej poczynaniach i postanowił położyć im kres. Gdzieś, wśród ponurych ścian Grange, pozbawiona kontaktu ze światem zewnętrznym, tkwiła uwięziona Moira.

A życiu jej grozi niebezpieczeństwo. Bobby wierzył bez zastrzeżeń w każde jej słowo. Jej lęki nie były wytworem fantazji ani nawet nerwów. Były najprawdziwszą prawdą.

Nicholson chciał się pozbyć żony. Parę razy jego plany spełzły na niczym. Teraz, kiedy Moira zdradziła się ze swoimi obawami, nie miał innego wyjścia. Musiał działać szybko albo zrezygnować w ogóle. Czy Nicholson miał tyle zimnej krwi, żeby ruszyć do akcji?

Niewątpliwie tak. Wiedział przecież, że Moira nie może przedstawić żadnych dowodów na poparcie swoich lęków. A za tym, wydawało mu się, że będzie miał do czynienia tylko z Frankie. Ją podejrzewał chyba od początku, stąd jego natarczywe indagacje w sprawie „wypadku”. Ale z pewnością nie wiedział nic o kamuflażu Bobby'ego i miał go za zwykłego szofera.

Tak, Nicholson nie cofnie się przed niczym. Zwłoki Moiry znajdą się w jakimś zakątku Anglii. Może porwą je morskie fale. A może będą leżeć u stóp nadmorskiego urwiska. Wszystko będzie wskazywało na „wypadek”. Nicholson był specjalistą wypadków.

Bobby jednak zdawał sobie sprawę, że zaplanowanie i realizacja takiego wypadku wymaga czasu, niezbyt wiele, ale jednak. Nicholson znalazł się w sytuacji przymusowej, musiał działać szybciej niż to wcześniej planował. Rozsądek wszakże podpowiadał Bobby'emu, że minie co najmniej dwadzieścia cztery godziny, zanim Nicholson będzie mógł przystąpić do realizacji swoich planów.

Jeżeli Moira przebywa w Grange, odnajdzie ją tam prędeej.

Pożegnawszy się z Frankie, Bobby przystąpił do działania. Ostrożność nakazała mu przede wszystkim omijać ulicę Mews szerokim łukiem. Warsztat i jego mieszkanie mogły być pod obserwacją. Jako Hawkins był poza podejrzeniami. Teraz i Hawkins miał zniknąć.

Jeszcze tego wieczoru jakiś młodzieniec z wąsikami, ubrany w tani granatowy garnitur, pojawił się w gwarnym miasteczku Ambledover. Młodzieniec ów zameldował się w hotelu przy stacji jako George Parker. Zostawił swoją walizkę i udał się miasta, gdzie zajął się poszukiwaniem motocykla do wynajęcia.

Około dziesiątej wieczorem w Staverley motocyklista w kaszkiecie i goglach przejechał przez osadę i zatrzymał się na pustej drodze w pobliżu Grange.

Nerwowo się rozglądając, Bobby w pośpiechu upchnął jednośląd za jakimiś krzakami. Wokół nie było żywej duszy.

Ruszył powoli wzdłuż muru. Szedł, aż znalazł małą furtkę, która, tak jak poprzednio, nie była zamknięta na klucz. Rozejrzawszy się wokół jeszcze raz, żeby się upewnić, że nie jest obserwowany, Bobby wślizgnął się do środka. Wypukła kieszonka płaszcza zdradzała, gdzie ukrył swój wojskowy pistolet. Dotyk zimnej stali dodawał mu otuchy.

W Grange panowała cisza. Bobby uśmiechnął się na wspomnienie mrozących krew w żyłach historii, którymi się zaczytywał, a w których czarne charaktery trzymały gepardy albo inne dzikie bestie dla ochrony przed intruzami. Doktorowi Nicholsonowi wystarczały, jak się zdawało, tylko skoble i sztaby, a i tu dopuszczał się zaniedbań. Nie należy zostawiać otwartej furtki. Jako czarny charakter doktor Nicholson okazał się karygodnie lekkomyślny.

Żadnych tresowanych pytonów, pomyślał Bobby, żadnych gepardów ani drutów pod wysokim napięciem, ten facet nie idzie z duchem czasu. Snuł takie refleksje bardziej dla dodania sobie odwagi niż w jakimkolwiek innym celu. Każda myśl o Moirze ścisnęła mu serce chłodną obręczą. Oczami wyobraźni widział jej twarz, drżące wargi, szeroko otwarte, przerażone oczy. To właśnie tu zobaczył ją pierwszy raz. Ogarnęła go fala wzruszenia, gdy przypomniał sobie, jak obejmował ją podtrzymując ramieniem.

Gdzie ona może teraz być? Co z nią zrobił ten podły doktor? Żeby ją tylko znaleźć żywą!

- Uda mi się - wymamrotał przez zaciśnięte wargi. - Nie mogę poddawać się zwątpieniu.

Ostrożnie rozpoznał teren. W niektórych oknach na piętrze paliły się światła. Na parterze oświetlone było tylko jedno okno. Właśnie w tym kierunku zaczął się skradać. Wspiął się na palce. Story były zaciągnięte, ale przez szczelinę dostrzegł ramię mężczyzny, które poruszało się, jakby przy pisaniu. Nagle mężczyzna zmienił pozycję i Bobby mógł zobaczyć jego profil. Doktor Nicholson.

Nieświadom, że jest obserwowany, doktor pisał pracowicie. Bobby'ego ogarnęła dziwna fascynacja. Mężczyzna siedział na wyciągnięcie ręki, dzieliła ich tylko szyba. Po raz pierwszy mógł mu się naprawdę przyjrzeć. Śmiały profil, duży nos, wydatny podbródek, energiczna, gładko wygolona szczęka. Uszy, jak zauważył Bobby, doktor miał małe i przylegające, o przyrośniętych dolnych płatkach. Mówią, że takimi uszami odznaczają się osoby wyjątkowe.

Doktor wciąż pisał, powoli i metodycznie, od czasu do czasu namyślając się, jakby szukał właściwego słowa. Pióro biegło po papierze równo i precyzyjnie. Zdjął okulary, przetarł je i

nałożył z powrotem.

Bobby bezszelestnie opuścił się na ziemię. Z tego, co widział, wynikało, że doktor będzie pisał jeszcze przez dłuższy czas. Oto właściwy moment, żeby dostać się do środka. Gdyby udało mu się sforsować jakieś okno na górze, dopóki doktor jest zajęty w gabinecie, miałby całą noc na spokojne spenetrowanie wnętrza budynku. Zrobił jeszcze jeden obchód domu, i wypatrzył okno na pierwszym piętrze. Było uchylone, a ponieważ w pokoju było ciemno, można było sądzić, że nie ma tam nikogo. Co więcej, rosnące nie opodal drzewo umożliwiało łatwy dostęp do okna.

W chwilę potem Bobby wdrapywał się na drzewo. Wszystko szło dobrze, już, już wyciągał rękę, żeby uchwycić się parapetu, gdy rozległ się złowieszczy trzask. Konar, na którym siedział, jak się okazało spróchniały, złamał się i Bobby wylądował głową w dół w kępie hortensji, która szczęśliwie złagodziła nieco upadek.

Okno gabinetu Nicholsona znajdowało się trochę dalej, na tej samej ścianie budynku. Słysząc było wołanie doktora, okno gabinetu się otworzyło. Bobby otrząsnął się z szoku po upadku, wyplątał z pędów hortensji, zanurkował w cień i rzucił się do ucieczki ścieżką wiodącą do bocznej furtki. Po chwili zboczył z niej i zaszył się w krzakach.

Słyszał nawoływania i widział światła poruszające się w pobliżu stratowanej hortensji. Siedział jak mysz pod miotłą, wstrzymując oddech. Ktoś mógł pojawić się na ścieżce. Jeśli zauważy otwartą furtkę, wyciągnie wniosek, że intruz umknął tędy i poszukiwania się skończą.

Ale minuty mijały, a nikt nie nadchodził. W ciszy zabrzmiał pytający głos Nicholsona. Bobby nie rozumiał słów, ale usłyszał odpowiedź:

- Wszystko w porządku, nic nie zginęło. Zrobiłem obchód - powiedziane to było ochryplym głosem i z akcentem, który zdradzał, że ten, kto mówi, nie jest człowiekiem wykształconym.

Hałasy stopniowo umilkły, światła pogaszono. Wyglądało na to, że wszyscy wrócili do budynku. Bobby wychylił się ostrożnie ze swojej kryjówki. Wyszedł na ścieżkę, nasłuchując. Panował spokój. Zrobił kilka kroków w kierunku zabudowań.

Wtedy, z nieprzeniknionego mroku dosięgnął go cios w tył głowy. Upadł w przód... w ciemność.

„Mój brat został zamordowany”

W piątek rano zielony bentley podjechał pod Hotel Dworcowy w Ambledever. Frankie wysłała Bobby'emu depezę na nazwisko, jakie uzgodnili, George Parker. Wracając do Londynu z przesłuchania w sprawie śmierci Henry'ego Bassington-ffrencha, na którym miała zeznawać, wpadnie do niego do Ambledever.

Spodziewała się telegraficznego potwierdzenia spotkania, ale nic nie dostała. Podjechała więc pod hotel.

- Pan Parker, panienko? Nie przypominam sobie gościa o tym nazwisku, ale pójde sprawdzic - powiedzial boy hotelowy.

Wrócił za chwilę.

- Rzeczywiście, przyjechał tu w srode wieczorem, panienko. Zostawil torbę i powiedzial, że wróci pózno. Torba wciąż jest, ale on się nie zgłosil.

Frankie zrobilo się słabo. Żeby się nie przewrócić, oparła się o stolik. Boy patrzył na nią z troską.

- Źle się panienka czuje? - spytał. Frankie zaprzeczyła.

- Już dobrze... - wykrztusiła. - Nie zostawil żadnej wiadomości?

Boy poszedł jeszcze raz i wrócił kręcąc głową.

- Był do niego telegram. To wszystko. Przyglądał się jej ciekawie.

- Czy mogę w czymś panience pomóc? - spytał.

Frankie znów zaprzeczyła.

W tej chwili marzyła tylko o tym, żeby wyjść. Musiała pomysleć, co teraz począc.

- Wszystko w porządku - powiedziała, wsiadła do bentleya i odjechała.

Mężczyzna patrząc za nią pokiwał głową ze współczuciem.

- Zwiął, drań - powiedzial do siebie. - Porzucil ją. Wymknął się. Fajna babka. Ciekawe, jaki on był?

Zapytał recepcjonistkę, ale nie pamiętała.

- Para z lepszego towarzystwa - pokiwał mądrze głową. - Mieli wziąć cichy ślub, a ten gość odszedł w siną dal.

Tymczasem Frankie, z głową przepełnioną kłębiącymi się myślami, pędziła w kierunku Staverley.

Dlaczego Bobby nie wrócił do hotelu? Mogły być tylko dwie przyczyny: albo był na tropie, który zaprowadził go gdzieś daleko stąd, albo... albo coś się stało. Bentley niebezpiecznie zjechał w bok, Frankie w ostatniej chwili odzyskała panowanie nad kierownicą.

Co ze mnie za idiotka, pomyślała, żeby tak fantazjować. Oczywiście Bobby'emu nic się nie stało. Jest na tropie. Na tropie i tyle.

Ale dlaczego nie przesłał mi żadnej wiadomości?

Jakieś wyjaśnienie przecież być musi. Sytuacja mogła wymagać pośpiechu, mógł nie mieć czasu ani możliwości, wiedział, że Frankie nie będzie się o niego niepokoić. Wszystko będzie dobrze, musi być dobrze.

Rozprawa u koronera poszła gładko. Stawili się Roger i Sylvia, której w żałobie było niezwykle do twarzy. Robiła duże wrażenie, ludzie wzruszali się na jej widok. Frankie przyglądała się jej, jakby była aktorką występującą na scenie.

Postępowanie prowadzono bardzo taktownie. Bassington-frenchowie byli dobrze znani i lubiani w tych stronach, więc zrobiono wszystko, żeby zaoszczędzić wdowie i bratu zmarłego dodatkowych cierpień.

Zeznawali Frankie i Roger, potem doktor Nicholson, w końcu przedstawiono list pożegnalny. Sprawę zakończono szybko, orzeczenie brzmiało: „samobójstwo w stanie niepoczytalności umysłowej”. Orzeczenie „żeby nie robić trudności rodzinie”, określiłby pan Spragge.

W umyśle Frankie dwa fakty nagle się połączyły. Dwa samobójstwa w stanie niepoczytalności. Czy był... czy mógł istnieć jakiś rzeczywisty związek między nimi?

Mogłaby dać głowę, że to ostatnie samobójstwo było autentyczne. Pogląd Bobby'ego, że mogło być sfingowane, nie wytrzymuje krytyki. Doktor Nicholson miał żelazne alibi, zapewnione przez samą Sylvię.

Po zakończeniu sprawy koroner złożył wdowie kondolencje. Wszyscy udali się do domu. Sylvia zwróciła się do Frankie:

- Są do ciebie jakieś listy, kochanie. Ja teraz idę trochę się położyć, to było takie straszne - zadrżała. Wyszła, a Nicholson podążył za nią, mamrocząc coś o środkach uspokajających.

Frankie zwróciła się do Rogera.

- Rogerze, słuchaj, Bobby zniknął.

- Zniknął?

- Tak!

- Gdzie i kiedy?

Frankie wyjaśniła w kilku pośpiesznych słowach.

- I odtąd go nie widziano?

- Nie. Co o tym myślisz?

- Bardzo mi się to nie podoba - rzekł z wolna.

Frankie upadła na duchu.

- Chyba nie sądzisz, że...?

- No, może wszystko będzie w porządku, ale sza!... idzie Nicholson.

Doktor zbliżył się bezszelestnym krokiem. Zacierał ręce i uśmiechał się.

- Wszystko poszło świetnie - powiedział. - Po prostu, jak z płatką. Doktor Davidson był bardzo taktowny. Możemy uważać się za szczęściarzy, że mamy tu takiego koronera.

- Ma pan rację - powiedziała Frankie machinalnie.

- To ważna sprawa, lady Frances. Sposób, w jaki się prowadzi przesłuchania, zależy wyłącznie od uznania koronera. Ma on bardzo szerokie kompetencje. Może zarówno ułatwiać, jak i utrudniać sprawy, bardzo dużo może. W wielu wypadkach decyduje tylko jego widzimisię. Tym razem wszystko poszło jak po maśle.

- Tak, rzeczywiście, przedstawienie było udane - rzekła twardo Frankie.

Nicholson spojrzał zaskoczony.

- Wiem, co czuje lady Frances - rzekł Roger. - Zgadzam się z nią. Mój brat został zamordowany, doktorze Nicholson.

Roger stał z tyłu za Nicholsonem i nie mógł widzieć tego, co zauważyła Frankie: zaskoczenia, jakie odmalowało się na twarzy doktora.

- Wiem, co mówię - rzekł Roger, nie dopuszczając Nicholsona do głosu. - Prawo może tego tak nie traktować, ale to było zabójstwo. To ci kryminaliści, którzy wciągnęli mojego brata w narkomanię, dopuścili się faktycznego morderstwa.

Zbliżył się nagle i z wściekłością popatrzył doktorowi prosto w oczy.

- Chciałbym się z nimi zmierzyć - dodał, a jego słowa zabrzmiały jak wyzwanie.

Doktor Nicholson opuścił wzrok i potrząsnął głową ze smutkiem.

- Całkowicie się z panem zgadzam - rzekł. - Wiem o uzależnieniach więcej niż pan, panie Bassington-french. Wciągnąć kogoś w narkomanię to naprawdę straszna zbrodnia.

Po głowie Frankie krążyły beładnie myśli, a zwłaszcza jedna nie dawała jej spokoju.

Nie może być, broniła się. To byłoby zbyt okropne. Ale... jego alibi zależy wyłącznie od jej słów. A jeżeli...

Nicholson zwrócił się do niej.

- Przyjechała pani samochodem, lady Frances? Obyło tym razem bez wypadku?

Frankie poczuła, że nienawidzi jego uśmiechu.

- Tak - odrzekła. - Uważam, że nie można przesadzać z wypadkami, a pan?

Nie wiedziała, czy to tylko wyobraźnia, czy rzeczywiście doki torowi drgnęły powieki.

- Przywiózł panią szofer?

- Mój kierowca zniknął.

Patrzyła Nicholsonowi prosto w oczy.

- Coś podobnego!

- Ostatnio widziano go, jak udawał się w kierunku Grange.

Nicholson zrobił zdziwioną minę.

- Naprawdę? Czyżby zapatrzył się w którąś z moich kucharek? - W jego głosie zabrzmiało rozbawienie. - Nie chce mi w to wierzyć.

- Jednak tam właśnie ostatnio go widziano.

- Dramatyzuje pani. To niezdrowo słuchać miejscowych plotek. Są wyssane z palca. Czego ja tu już nie słyszałem! - Przerwał. Głos zmienił mu się nieco. - Niech pani sobie wyobrazi, że doszło do mnie, iż moja żona spotykała się nad rzeką z kierowcą. - Znów pauza. - Ten pani kierowca, to zdaje się młody człowiek z klasą, prawda, lady Frances?

O co mu chodzi?, pomyślała. Czy chce mi wmówić, że jego żona uciekła z moim szoferem? Czy to jakaś gierka? Głośno powiedziała:

- Hawkins jest kimś więcej niż zwykłym szoferem.

- Na to właśnie wyglądało. Zwrócił się do Rogera.

- Muszę iść. Z całego serca współczuję panu i pani Bassington-ffrench.

Roger odprowadził go do holu. Frankie poszła za nimi. Leżały tam dwa listy do niej. Jeden to rachunek, a drugi...

Serce jej zamarło. Drugi pisany był ręką Bobby'ego. Nicholson i Roger byli już na progu.

Rozzerwała kopertę.

Droga Frankie! - pisał Bobby. - Wreszcie wpadłem na trop. Jedź za mną jak najszybciej do Chipping Somerton. Nie bierz samochodu, jedź pociągiem. Twój bentley zbyt zwraca uwagę. Komunikacja kolejowa nie jest najlepsza, ale da się dojechać. Odszukaj dom zwany Tudor Cottage. Nie pytaj nikogo o drogę, wszystko ci wyjaśnię (tu następowały szczegółowe wskazówki). Rozumiesz wszystko? Nie mów nic nikomu, ale to nikomu (to zdanie było mocno podkreślone).

Twój, jak zawsze,

Bobby

Frankie w podnieceniach zmięła list w dłoni. A więc wszystko było w najlepszym porządku i, na szczęście, nic złego nie stało się Bobby'emu. Jest na tropie, i to tym samym, na który wpadła ona.

W Sommerset House obejrzała testament Johna Savage'a. Spadkobierczyni, Rose Emily Templeton, była żoną Edgara Templetona, zamieszkałego w Tudor Cottage w miejscowości Chipping Somerton. To pasowało również do znalezionej przez nią rozkładu jazdy, otwartego na stronie z Chipping Somerton.

Fragmenty układanki wskakiwały na swoje miejsca. Byli blisko zakończenia łowów.

Roger Bassington-french właśnie wracał od drzwi w jej kierunku.

- Co ciekawego w listach? - zapytał mimochodem.

Frankie zawahała się. Chyba Bobby nie myślał o Rogerze, kiedy polecił jej nic nikomu nie mówić? Ale przypomniała sobie kilkakrotne podkreślenie w liście, przypomniała sobie też swoje ostatnie, straszliwe podejrzenie...

Zdecydowała się więc.

- Nic takiego.

Miała gorzko żałować tej decyzji, zanim upłynęły dwadzieścia cztery godziny.

W ciągu następnych paru godzin żałowała również, i to wielokrotnie, że posłuchała Bobby'ego i nie pojechała samochodem! Do Chipping Somerton nie było daleko w linii prostej, ale musiała się trzy razy przesiadać, za każdym razem czekając godzinami na jakichś nędznych stacyjkach. Jej niecierpliwa natura buntowała się przeciw takiemu losowi. Musiała jednak przyznać, że Bobby miał trochę racji. Jej bentley istotnie zwraca uwagę.

Zmierzchało już, kiedy pociąg z rodzaju tych, co to zastanawiają się na każdej stacyjce, czy

jechać dalej, wtoczył się wreszcie do Chipping Somerton. Frankie zdawało się, że to już północ, tak dłużyła jej się ta podróż.

Zaczynało padać, co nie poprawiło jej nastroju. Zapięła płaszcz pod szyję, jeszcze raz w świetle dworcowej latarni rzuciła okiem na list Bobby'ego, utrwalając sobie jego wskazówki w pamięci i ruszyła w drogę.

Instrukcja była czytelna i prosta. Frankie ujrzała przed sobą światła osady, skręciła w lewo pod górę, na szczycie wzniesienia, na rozstaju dróg, wybrała prawą odnogę i zobaczyła w dole i skupisko domów, poprzedzone pasem sosen. Wreszcie dotarła do bramy z desek i w świetle zapalniczki przeczytała napis: „Tudor Cottage”.

Wokół nie było żywej duszy. Furtka zamknięta była tylko na skobel, więc otworzyła ją i weszła. Widziała sylwetkę domu zaś rzędem sosen. Zajęła postać obserwacyjną wśród drzew, skąd mogła widzieć budynek. Z biciem serca wydała z siebie, najlepiej jak potrafiła, okrzyk imitujący pohukiwanie sowy. Nic się nie zdarzyło. Powtórzyła okrzyk.

Przez drzwi wychyliła się postać w uniformie kierowcy. To Bobby! Wykonał przywołujący gest i schował się do wnętrza, zostawiając drzwi otwarte na oścież.

Frankie opuściła schronienie wśród drzew i podeszła do drzwi. Światła były pogaszone. Panowały niepodzielnie cisza i ciemność.

Z duszą na ramieniu przestąpiła próg i znalazła się w ciemnym holu. Zatrzymała się, próbując coś zobaczyć w mroku.

- Bobby? - zawołała szeptem.

Ostrzegł ją zmysł powonienia. Skądś pamiętała ten ciężki, słodkawy zapach... Zanim umysł podpowiedział jej nazwę „chloroform”, silne ręce chwyciły ją od tyłu. Otworzyła usta, żeby krzyknąć, ale zostały zatkane wilgotnym tamponem. Słodki, mdlący zapach wypełnił jej nozdrza.

Desperacko walczyła, wrywała się i kopała próbując się uwolnić. Nie miała szans. Siły ją opuszczały, czuła, że ulega. W uszach jej dudniło, brakowało tchu. Potem straciła przytomność.

Za pięć dwunasta

Pierwsze reakcje organizmu Frankie, kiedy już wróciła jej przytomność, były nad wyraz przykre. Trudno znaleźć coś romantycznego w następstwach zatrucia chloroformem.

Leżała na piekielnie twardej podłodze z desek, ręce i nogi miała skrępowane. Z wysiłkiem przeturlała się na bok, omal nie rozbijając sobie głowy o stojącą obok pogieętą blaszaną skrzynkę na węgiel. Organizm znów zaprotestował gwałtownie.

W parę chwil później Frankie była w stanie rozejrzeć się wokół, chociaż nie miała jeszcze siły usiąść.

Usłyszała gdzieś obok słaby jęk. Próbowwała coś zobaczyć. To chyba strych. Ze świetlika w górze sączyło się słabe światło, a było go coraz mniej. Ściemniało się. Oparte o ścianę stały jakieś połamane ramy od obrazów, widać było zrujnowane żelazne łóżko, parę zdezelowanych krzeseł oraz wyżej wymieniona blaszankę na węgiel.

Jęk dochodził z kąta pomieszczenia. Więzy, którymi ją skrupowano, rozluźniły się na tyle, że mogła pełzać. Dogramoliła się wreszcie do kąta.

- Bobby! - zawołała.

Był to bowiem Bobby, związany jak baleron, a na dodatek zakneblowany. Knebla prawie udało mu się pozbyć, pomoc Frankie przysłała w dobrym momencie. Ręce - związane - nie na wiele się zdały i dopiero jej zęby okazały się skuteczne.

- Frankie! - wychrypiał.

- Cieszę się, że znów jesteśmy razem. Chociaż zdaje się, że nas wywiedziono w pole jak dzieci.

- To się nazywa grubsza wpadka - dodał ponuro Bobby.

- Jak cię dopadli? Pewnie zaraz, jak do mnie napisałeś?

- Pisałem? Ja nic nie pisałem.

- Aha, nareszcie rozumiem. Co ze mnie za idiotka! I te wszystkie bzdury, żeby nikomu ani słowa...!

- Posłuchaj, Frankie, najpierw ja ci opowiem, co mi się przytrafiło, a potem ty łaskawie dopowiesz swoją część, zgoda?

Zrelacjonował pokrótce swoje wyczyny w Grange i ich nieszczęsne zakończenie.

- Ocknąłem się w tej przeklętej dziurze. Stała tu taca z jedzeniem i piciem. Byłem potwornie głodny, więc zjadłem. Musiało być nafaszerowane jakimś paskudztwem, bo padłem jak podcięta lilia. Jaki dzisiaj dzień?

- Piątek.

- Nieźle. Dostałem w głowę we środę wieczorem. Od tej pory byłem nieprzytomny. A jak ty się tu znalazłaś?

Frankie zrelacjonowała swoje przygody, zaczynając od historii, którą opowiedział jej pan Spragge, a kończąc na sylwetce - jak jej się wydawało, Bobby'ego - w drzwiach domku.

- A potem załatwili mnie chloroformem - zakończyła. - Och, Bobby, pochorowałam się do blaszanki na węgiel!

- Poradziłaś sobie, rzekłbym, doskonale, uwzględniając twoją sytuację: związane ręce i te pe - rzekł z uznaniem. - Teraz musimy się zastanowić, co robić dalej. Przedtem to my byliśmy panami sytuacji, teraz, niestety, sprawa przedstawia się inaczej.

- Ach, gdybym powiedziała Rogerowi o tym liście - jęknęła. - Myślałam o tym, wahałam się, ale w końcu zdecydowałam się stosować dokładnie do twoich poleceń i nie pisnęłam ani słowa.

- I w rezultacie żywa dusza nie wie, gdzie się znajdujemy - stwierdził ponuro. - Frankie, kochana, obawiam się, że wpakowaliśmy się w niezłą kabałę.

- A tak dobrze nam szło. Byliśmy zbyt pewni siebie - skonstatowała ze smutkiem.

- Jednego tylko nie rozumiem: dlaczego od razu nas nie wykończyli. Nie sądzę, żeby Nicholson miał jakieś skrupuły.

- Na pewno ma lepszy plan - powiedziała Frankie i wstrząsnął nią dreszcz.

- Dobrze by było gdybyśmy i my postarali się o jakiś plan. Musimy się z tego wykaraskać. Ale jak?

- Możemy krzyczeć - zaproponowała.

- Taak... - potwierdził bez przekonania. - Jakiś przechodzień może by nas usłyszał. Ale, skoro Nicholson cię nie zakneblował, pewnie nie chodzi tędy pies z kulawą nogą. Pokaż ręce, nie wyglądają na skrępowane zbyt mocno. Może uda mi się i rozwiązać węzeł zębami.

Następne pięć minut Bobby spędził na ciężkiej walce, która wystawiła doskonałe świadectwo jego dentyście. Niestety, więzy nie puściły.

- Takie sprawy wyglądają dziecinnie łatwo w książkach - wysapał. - Nie zdaje mi się, żebym posunął się choć o milimetr.

- A jednak. Rozluźniają się, czuję to. Posłuchaj! Ktoś idzie.

Odturlała się od niego. Słysząc było, jak ktoś ciężkim krokiem wchodzi po schodach. W szparze pod drzwiami rozbłysło światło. Zazgrzytał klucz w zamku. Drzwi otworzyły się powoli.

- I jak się mają moje ptaszki? - rozległ się głos doktora Nicholsona.

Ten, kto wszedł, trzymał w ręku świecę. Chociaż kapelusz miał naciągnięty na oczy, a kołnierz grubego płaszcza postawiony, głosu nie można było pomylić z niczym innym. Oczy połyskiwały jasno spoza silnych szkieł.

Pogroził im żartobliwie.

- Nie spodziewałem się, młoda damo, że da się pani tak łatwo nabrać.

Ani Bobby, ani Frankie nic nie odpowiedzieli. Nicholson był bez wątplenia panem sytuacji i nic tu nie było do dodania. Doktor postawił świecę na krześle.

- Zobaczmy, czy jest wam wygodnie.

Sprawdził więzy Bobby'ego, pokiwał głową, i zajął się Frankie. Tu nie był już tak zadowolony.

- Jak mówiono mi w młodości: „palce były przed widelcem, a zęby przed palcami”. Widzę, że zęby pani przyjaciela nie próżnowały.

W kącie stało ciężkie dębowe krzesło z połamanym oparciem. Nicholson podniósł Frankie, umieścił ją na krześle i przywiązał do niego starannie.

- Czy bardzo niewygodnie? Proszę się nie przejmować, to nie na długo.

Frankie odzyskała mowę.

- Co pan chce z nami zrobić? - zapytała.

Nicholson podszedł do drzwi i podniósł świecę.

- Zarzucała mi pani, lady Frances, że przesadzam z wypadkami. Być może. Ale pozwolę sobie zaryzykować jeszcze jeden.

- Co pan ma na myśli? - chciał wiedzieć Bobby.

- Mam wam powiedzieć? Dobrze, powiem. Lady Frances Derwent prowadziła swój samochód, przejąwszy kierownicę z rąk szofera, który zajął miejsce pasażera, pomyliła się, wjechała w nie używaną drogę do starego kamieniołomu. Samochód spadł w przepaść. Lady Frances i jej kierowca zginęli na miejscu.

Po chwilowej ciszy Bobby powiedział:

- Ale możemy nie zginąć. Zdarza się, że plany biorą w łeb. Mieliśmy tego przykład w Walii.

- Pańska odporność na morfinę jest bez wątpienia zadziwiająca, a gdy się patrzy na to z mojego punktu widzenia - zasmucająca. Ale proszę się nie kłopotać. Tym razem, kiedy wasze ciała zostaną odnalezione, pan i lady Frances będziecie z całą pewnością martwi.

Bobby mimo woli zadrżał. W głosie Nicholsona brzmiała satysfakcja twórcy dobrze wykonanego dzieła. Bawi go to, pomyślał Bobby. Naprawdę go to bawi.

Nie zamierzał dawać Nicholsonowi więcej powodów do satysfakcji.

- Robi pan błąd, zwłaszcza jeśli chodzi o lady Frances - powiedział tonem towarzyskiej pogawędki.

- Właśnie - dodała Frankie. - W tym pańskim cwanim liście nalegał pan, żebym nikomu nie mówiła, dokąd się wybieram. Ale ja nie posłuchałam i powiedziałam Rogerowi Bassington-frenchowi. Wie o panu wszystko. Jeżeli spadnie nam chociaż włos z głowy, będzie wiadomo, czyja to sprawka. Lepiej by pan puścił nas wolno i pozwolił niezwłocznie wyjechać z kraju.

Nicholson pomilczał i rzekł:

- To blef. Nie dam się nabrać. Zwrócił się ku drzwiom.

- A co z twoją żoną, kanalio?! - wrzasnął Bobby. - Ją też zamordowałeś?

- Moira wciąż żyje - odparł Nicholson. - Jak długo jeszcze, tego, dalibóg, nie wiem. To zależy.

Uklonił się drwiąco.

- *Au revoir* - rzekł. - Potrzeba mi jeszcze paru godzin, aby przygotować wszystko. Możecie sobie teraz miło pogawędzić o swoich sprawach. Nie knebluję was, ale zrobię to, jeżeli okaże się konieczne. Jedno wołanie o pomoc, a porachuję się z wami.

Wyszedł, zamykając drzwi za sobą i przekręcając klucz w zaniku.

- To niemożliwe - próbował przekonać sam siebie Bobby. - To nie może być prawda. Takie rzeczy się nie zdarzają.

Ale wszystko wskazywało na to, że takie rzeczy się zdarzą i to właśnie im.

- W książkach zawsze za pięć dwunasta nadciąga odsiecz - z nadzieją w głosie powiedziała Frankie. Ale to nie była wielka nadzieja.

- Cała ta sprawa jest tak nieprawdopodobna... - przekonywał nadal Bobby. - Zbyt fantastyczna. Ten Nicholson sprawiał na mnie wrażenie zupełnie nierealnego. Chciałbym, żeby w ostatniej chwili przysłała jakaś pomoc, ale nie bardzo widzę, kto mógłby nam z nią pospieszyć.

- Ach, szkoda, że nie powiedziałam Rogerowi - ubolewała Frankie.

- Może Nicholson dał się nabrać, że jednak to zrobiłaś?

- Nie, co to, to nie. Jest na to za sprytny.

- Okazał się sprytniejszy niż mogliśmy się spodziewać - stwierdził ponuro. - Frankie, wiesz, co najbardziej mnie w tym niepokoi?

- Co?

- Że nawet teraz, jedną nogą na tamtym świecie, nie wiemy, kto to był Evans.

- Zapytajmy Nicholsona. Wiesz, ostatnie życzenie skazańca. Nie może nam odmówić. Zgadzą się z tobą, w żadnym wypadku nie zgodzę się umrzeć, dopóki moja ciekawość nie zostanie zaspokojona.

Zapadła cisza. Po chwili Bobby rzekł:

- Czy nie powinniśmy jednak zacząć wołać o pomoc, na zasadzie tonącego i brzytwy? Wydaje się, że to jedyne, co nam pozostało.

- Na to zawsze będziemy mieli czas. Po pierwsze, i tak nikt nie usłyszy, on by przecież nie ryzykował, a po drugie, nie mam zamiaru dać się zakneblować i czekać na śmierć w milczeniu. Zostawmy wołanie na sam koniec. Teraz pogadajmy jeszcze, tak się z tobą dobrze rozmawia.

Głos jej trochę zadrżał przy ostatnich słowach.

- Wpakowałem cię w okropną kabałę, Frankie.

- Och, nie przejmuj się. I tak nie udałoby ci się utrzymać mnie z dala od tego. Sama się o to prosiłam. Bobby, jak myślisz, uda mu się? To znaczy, z nami?

- Niestety, obawiam się, że tak. Działa cholernie skutecznie.

- Bobby, czy teraz wierzysz, że to on zabił Henry'ego Bassington-ffrencha?

- No, ale przecież nie mógł...

- Mógł! Tylko pod jednym warunkiem: że Sylvia Bassington-ffrench była jego współniczką!

- Coś ty, Frankie!?

- Wiem, co myślisz, ja też byłam wstrząśnięta, kiedy to mi przyszło do głowy. Ale patrz, wszystko pasuje. Dlaczego Sylvia tak uparcie sprzeciwiała się wysłaniu męża gdzie indziej, niż do Grange? A na dodatek była w domu, gdy oddano strzał...

- Mogła to zrobić sama...

- Och, nie! Co to, to nie.

- A jednak miała okazję to zrobić. A potem dała klucz od gabinetu Nicholsonowi, żeby podrzucił go do kieszeni Henry'ego.

- To wszystko nie ma sensu - powiedziała Frankie z rezygnacją. - Wszyscy, którzy wydawali się w porządku, okazują się teraz podejrzani. Normalni, mili ludzie. To okropne, powinien istnieć jakiś sposób rozpoznawania przestępców na pierwszy rzut oka, po brwiach, albo po uszach, albo...

- Wielkie nieba! - wykrzyknął Bobby.

- Co się stało?

- Frankie, to nie mógł być Nicholson, ten facet, co tu był.

- Zwariowałaś do reszty? Kto to był, według ciebie?

- Nie wiem. Ale na pewno nie Nicholson. Cały czas czułem, że coś jest nie tak, ale nie wiedziałem, co. Dopiero kiedy powiedziałaś o uszach, zrozumiałem. Tamtego wieczoru, kiedy obserwowałem Nicholsona przez okno, zwróciłem uwagę na jego uszy, o przyrośniętych płatkach. Ten gość tutaj miał zupełnie inne uszy.

- Ale o co tu chodzi? - zapytała Frankie bez większej nadziei na zrozumienie.

- Ktoś udawał Nicholsona. Ktoś mający uzdolnienia aktorskie.

- Ale po co? I kto?

- Bassington-ffrench - wyrzucił Bobby. - Roger Bassington-ffrench! Na samym początku go namierzyliśmy, a potem daliśmy się wystrychnąć na dudka.

- Bassington-ffrench... - wyszeptała. - Bobby, chyba masz rację. To musiał być on. Jest jedyną osobą, która była przy tym, jak zarzucałam Nicholsonowi, że przesadza z wypadkami.

- Ale w takim razie nie mamy szans. Cały czas miałem nikłą nadzieję, że Bassington-ffrench jakimś cudem nas wytropi i uratuje, ale teraz ta nadzieja uleciała. Moira jest uwięziona, ty i ja powiązani jak barany. Nikt na świecie nie ma najmniejszego pojęcia, gdzie nas szukać. Już po nas, Frankie.

Jeszcze mówił te słowa, gdy nad nimi rozległ się jakiś hałas. Po chwili z potwornym trzaskiem przez okienko w suficie wpadła do środka jakaś ciężka postać.

Było zbyt ciemno, by cokolwiek widzieć.

Wśród chrzęstu potłuczonego szkła rozległo się:

- B-b-b-bo-bobby!

- O, rany! - zawołał Bobby. - To Badger!

Co się przydarzyło Badgerowi

Nie było chwili do stracenia. Z dołu już dochodził jakiś odgłos.

- Pospiesz się, Badger, durniu - wołał Bobby. - Zdejmij mi jeden but. Bez dyskusji i żadnych pytań! Ściągnij go jakoś. A teraz rzuć tu, na środek, i schowaj się pod łóżko. No pośpiesz się, mówię!

Słysząc było kroki na schodach. Zazgrzytał klucz.

Nicholson, a właściwie pseudo-Nicholson, stanął w drzwiach ze świecą.

Zastał Bobby'ego i Frankie tak, jak ich zostawił, ale na podłodze leżała sterta potłuczonego szkła, a w jej środku tkwił but.

Nicholson zdziwiony przenosił wzrok z Bobby'ego na but i z powrotem. Bobby nie miał buta na lewej nodze.

- Sprytnie, młody przyjacielu - rzekł oschle. - Nadludzka zręczność!

Podszedł do Bobby'ego, sprawdził więzy i zacieśnił je. Popatrzył z niedowierzaniem.

- Dużo bym dał, żeby zobaczyć, jak ci się udało dorzucić butem do świetlika. Musiałeś się nieźle nagimnastykować, przyjacielu.

Jeszcze raz obrzucił spojrzeniem pokój, wybity świetlik i dwoje więźniów, po czym wzruszywszy ramionami wyszedł.

- Prędko, Badger!

Badger wyczołgał się spod łóżka. Wyjętym z kieszeni scyzorykiem poprzecinał sznury krępujące dwójkę więźniów.

- Od razu lepiej - Bobby przeciągnął się. - Do licha, ale jestem połamany. No, Frankie, co teraz sądzisz o naszym przyjacielu Nicholsonie?

- Miałaś rację. To Roger Bassington-ffrench. Teraz, kiedy wiem, kto udaje Nicholsona, widzę to wyraźnie. Nieźle sobie radzi.

- Głos i binokle załatwiają sprawę.

- B-b-by-byłem w Oxfordzie z jednym B-b-b-bassington-ffrenchem - powiedział Badger. - Ś-ś-świetny aktor. Ale nie-nieźle było ziółko z niego. M-m-miał aferę z podrobieniem podpisu o-o-ojca na cze-e-ku. Jeg-go stary to zatuszował.

Bobby i Frankie pomyśleli równocześnie to samo. Badger, którego nie uznali za godnego dopuszczenia do spisku, od początku mógł służyć im takimi cennymi informacjami.

- Fałszerstwo - powiedziała Frankie w zadumie. - Ten list od ciebie, Bobby, był świetnie podrobiony. Skąd on znał twój charakter pisma?

- Przecież jest w jednej szajce z Caymanami, mógł widzieć ten list, w którym pisałem o Evansie.

- C-c-co teraz robimy? - spytał Badger płacząco.

- Zajmujemy posterunki przy tych drzwiach. Kiedy nasz przyjaciel pojawi się tu znów, a nie sądzę, żeby to nastąpiło szybko, sprawimy mu taką niespodziankę, że popamięta. No, jak tam, Badger, zgadzasz się?

- Jasne.

- Ty, Frankie, jak tylko usłyszysz, że idzie, siadaj z powrotem na tym krześle. Niczego nie będzie podejrzewał, jeżeli zobaczy, że jesteś na swoim miejscu.

- W porządku. Ale jak tylko ty z Badgerem powalicie go na ziemię, rzucę się na niego i pogryzę go albo co.

- Ożywia cię duch bojowy godny prawdziwej kobiety - pochwalił Bobby. - A teraz usiądźmy wszyscy tu, na podłodze, i posłuchajmy, jakim cudem Badger znalazł się na dachu.

- W-w-więc r-rozumiesz s-s-tary, jak wy-wy-wyjechałeś, wpadłem w przejś-ściowe trudności.

Odpoczął chwilę. Stopniowo jego relacja stawała się bardziej szczegółowa. Była to smutna historia o długach, pożyczkach i komorniku; typowa dla Badgera katastrofa. Bobby wyjechał nie zostawiając adresu, napomknął jedynie, że odprowadza bentleya do Staverley. Tamże więc udał się Badger.

- P-p-pomyślałem, że może się roz-rozchorowałeś - wyjaśnił.

Bobby'emu zrobiło się wstyd. Przeniósł się do Londynu, żeby prowadzić interes razem z przyjacielem, a potem opuścił swój posterunek, zostawiając kolegę na pastwę losu i wyruszył z Frankie bawić się w policjantów i złodziei. A z ust starego poczciwego Badgera nie padło nawet jedno słowo wymówki.

Badger pomyślał, że w takiej miejscowości jak Staverley znalezienie bentleya nie sprawi żadnej trudności i nie omylił się. Wóz był pierwszą rzeczą, jaką zauważył po przybyciu. Stał przed gospodą, opuszczony.

- A w-w-więc p-pomyślałem, że zrobię ci małą n-nie-niespodziankę, wiesz? Z t-t-tyłu s-samocho-du leżały j-jakieś plandeki i rupiecie, wokół n-n-nie b-b-było n-n-nikogo. W-w-wskoczyłem do ś-środk-a i p-p-przykryłem się. P-p-pomyślałem, że to b-b-będzie d-d-doskonała niespodzianka.

Tymczasem okazało się, że szofer w zielonej liberii, który wyłonił się z pubu, wcale nie był Bobbym. Badgerowi, który zerkał przez jakąś szparę ze swojego ukrycia, postać ta wydawała się znajoma, ale nie mógł sobie przypomnieć skąd. Samochód ruszył.

Badger był w kropce. Nie wiedział, co ma robić: trudno było rzecz wyjaśniać, przeproszać, mówić z kimś, kto właśnie prowadzi auto z prędkością ponad sześćdziesięciu mil na godzinę. Zdecydował więc leżeć spokojnie i wyslizgnąć się, kiedy tylko samochód stanie.

W końcu dotarli do celu, do Tudor Cottage. Kierowca zaparkował auto w garażu i wyszedł, zamykając drzwi na klucz. Przez okienko Badger obserwował z garażu przybycie Frankie, jej pohukiwania i wejście do domu.

Cała ta sprawa mocno go zaniepokoiła. Zaczął podejrzewać, że coś tu jest nie w porządku. Postanowił więc rozejrzeć się na własną rękę.

Przy użyciu narzędzi, które były w garażu, udało mu się otworzyć zamek w drzwiach. Okrążył domek. Na parterze wszystkie okiennice były pozamykane, więc postanowił wdrapać się na dach, a stamtąd do okien na piętrze. Nie miał z tym żadnych trudności: wygodna rynna prowadziła najpierw na dach garażu, a stamtąd na dach głównego budynku. Myszkując po nim, nastąpił na świetlik. Reszta była wynikiem prawa powszechnego ciężenia...

Bobby z ulgą odetchnął, gdy opowiadanie Badgera dobiegło końca.

- Tak czy inaczej - powiedział z podziwem - jesteś wysłannikiem Opatrzności. Gdyby nie ty, mnie i Frankie w ciągu najbliższej godziny czekałby żalospny koniec.

W kilku zdaniach streścił Badgerowi ich ostatnie przygody. Nie kończąc relacji, wyszeptał:

- Ktoś nadchodzi. Na swoje miejsce, Frankie. Pan Bassington-ffrench zdziwi się, jak nigdy w życiu.

Frankie siadła na krześle i skuliła ramiona. Badger i Bobby zajęli miejsca za drzwiami.

Słysząc było, jak ktoś ciężkim krokiem wchodzi po schodach. W szparze pod drzwiami rozbłysło światło. Klucz zazgrzytał w zamku. Drzwi otworzyły się powoli. Światło świecy padło na przygnębioną Frankie na krześle. Oprawca przestąpił próg.

Badger i Bobby rzucili się na niego. Dalej wypadki potoczyły się błyskawicznie. Wzięty przez zaskoczenie przybysz został powalony, świeca wypadła mu z rąk. Schwyciła ją Frankie i w parę chwil potem trójka przyjaciół z nieco złośliwą satysfakcją przyglądała się ciasno skrępowanej (przy użyciu tych samych sznurów, którymi byli powiązani Frankie i Bobby) postaci, leżącej na podłodze.

- Dobry wieczór, panie Bassington-ffrench - powiedział Bobby z mieszaniną kpiny i mściwego triumfu w głosie. - Czyż to nie uroczy wieczór na pogrzeb?

Ucieczka

Związany mężczyzna przyglądał się im w osłupieniu. Binokle spadły mu z nosa, a kapelusz z głowy. Tym razem nie był już ucharakteryzowany, chociaż widać było resztki makijażu wokół oczu. To było bez wątpienia sympatyczne, trochę puste oblicze Rogera Bassington-frencha.

Przemówił swoim miłym tenorem, trochę jakby do siebie:

- To ciekawostka. Wiedziałem przecież, że nikt tak związany jak pan, nie mógłby dorzucić butem do okienka w suficie. Ale widząc but wśród potłuczonego szkła, dałem się zasugerować. I to, co niemożliwe, stało się możliwe. Ciekawy przyczynek do wiedzy o ograniczeniach ludzkiego umysłu.

Nikt nie odpowiedział, a on snuł dalej swoje refleksje:

- A więc jednak do was należy ta runda. Przyznam się, że nie spodziewałem się tego. Co za przykrość. A wydawało mi się, że mam was na dobre w garści.

- Prawie ci się udało - powiedziała Frankie. - Podrobiłeś ten list od Bobby'ego, prawda?

- Jestem w tym niezły - przyznał skromnie.

- Ale jak dostałeś Bobby'ego?

Leżąc na plecach i uśmiechając się miło, Roger opowiadał z wyraźną przyjemnością:

- Wiedziałem, że pojedzie do Grange. Musiałem tylko poczekać w krzakach przy ścieżce. Byłem tuż za nim, kiedy się wycofywał po swoim niefortunnym upadku z drzewa. Poczekalem, aż się uspokoi, i potraktowałem go w tył głowy woreczkiem z piaskiem. Potem wystarczyło go tylko zataaszczyć do mojego samochodu, który zaparkowałem nie opodal, umieścić w bagażniku i przewieźć tutaj. Przed świtem byłem z powrotem w domu.

- A Moira? Skłoniłeś ją jakoś do wyjazdu?

Roger zachichotał, pytanie rozbawiło go wyraźnie.

- Pozwoliłem sobie na małe oszustwo, drogi panie Jones.

- Ty kanalio! - rzucił się Bobby.

Frankie pospieszyła z interwencją. Jej ciekawość była wciąż nie zaspokojona, a ich więzień miał wyraźnie nastrój do zwierzeń.

- Dlaczego udawałeś Nicholsona? - zapytała.

- Właśnie, dlaczego? - Roger sam zadał sobie to pytanie. - W części, jak sądzę, żeby się zabawić waszym kosztem. Byliście tak przekonani, że biedny stary Nicholson jest w to zamieszany - roześmiał się, a Frankie się zarumieniła - tylko dlatego, że zadał ci parę pytań na temat wypadku, jak to zwykle on, z tą jego nadętą, irytującą dbałością o szczegóły.

- A w rzeczywistości - zaczęła powoli Frankie - jest całkiem niewinny?

- Jak nie narodzone dziecko. Ale wyświadczył mi przysługę. Skierował moje podejrzenia na ten twój wypadek. Dzięki niemu uświadomiłem sobie, że nie jesteś takim niewiniątkiem, na jakie usiłujesz wyglądać. No, a potem kiedyś stałem obok ciebie, kiedy dzwoniłaś i usłyszałem, jak twój kierowca zwrócił się do ciebie po imieniu. Mam niezły słuch. Zaproponowałem, że pojedę z wami do Londynu. Zgodziłaś się co prawda, ale widać było, że z ulgą przyjęłaś moją rezygnację z tego pomysłu. Potem... - przerwał i, na ile pozwalały mu na to więzy, wzruszył ramionami. - Miałem niezłą zabawę obserwując was, jak próbujecie wrobić Nicholsona. To stary nieszkodliwy osioł, ale wygląda jak filmowy czarny charakter. Pomyślałem, że utwierdzę was w błędzie. Na wszelki wypadek. Każdy plan może zawieść, co zresztą widać na załączonym obrazku.

- Musisz mi powiedzieć jeszcze coś - rzekła Frankie. - Szaleję z ciekawości. Kto to jest Evans?

- No, nie! - wykrzyknął z niedowierzaniem. - To wy nie wiecie?!

Śmiał się i śmiał, wydawało się, że nie będzie temu końca.

- To zabawne. Pokazuje, do jakiego stopnia można być głupcem.

- Masz na myśli nas? - spytała Frankie.

- Nie, tym razem siebie. Wiecie co, nie powiem wam, kim jest Evans. Tak. Nie mam zamiaru. Zatrzymam to przy sobie jako swoją prywatną małą tajemnicę.

Ich położenie było co najmniej dziwne. Co prawda odwrócili sytuację na swoją korzyść, ale jemu udało się pozbawić ich poczucia wygranej. Związany, całkowicie w ich mocy, miał nad nimi przewagę.

- Czy możecie mi zdradzić teraz wasze plany? - spytał.

Nie mieli jeszcze żadnych planów. Bobby z powątpiewaniem bąknął coś o policji.

- No jasne, to najlepsze, co możecie zrobić - powiedział zachęcająco. - Zadzwońcie i przekażcie im mnie. Co im powiecie? Można mnie oskarżyć najwyżej o porwanie. Wyłgam się z tego. - Spojrzał na Frankie. - Powiem, że kierowała mną nieodparta namiętność.

Frankie oblała się rumieńcem.

- A co z morderstwem? - spytała.

- Kochana, nie macie dowodów. Zero. Przemyślcie to, a zgodzicie się ze mną.

- Badger - powiedział Bobby - zostań tu i miej go na oku. Idę na dół zadzwonić po policję.

- Bądź ostrożny. Nie wiadomo, czy w domu nie ma jeszcze kogoś - ostrzegła Frankie.

- Nie ma nikogo - rzekł Roger. - Pracuję na własną rękę.

- Nie zamierzam wierzyć ci na słowo - parsknął Bobby.

Posprawdzał więzy.

- Wszystko w porządku. Nie do ruszenia. Chodźmy na dół wszyscy. Zamkniemy drzwi na klucz.

- Ależ mi nie dowierzasz, stary - powiedział Roger. - W kieszeni mam pistolet, weź go, jeśli chcesz. Poczujesz się pewniej, a mnie i tak się w tej sytuacji nie przyda.

Nie zważając na jego drwiący ton, Bobby pochylił się i wyciągnął broń.

- Ładnie z twojej strony, że o tym wspomniałeś. Jeśli chcesz wiedzieć, to rzeczywiście doda mi pewności.

- Świetnie. Uważaj, naładowany.

Bobby wziął świecę i opuścili strych, zostawiając Rogera na podłodze. Bobby zamknął drzwi na klucz i schował go do kieszeni. W dłoni trzymał pistolet gotowy do strzału.

- Pójde pierwszy. Musimy mieć pewność, że teraz nic nie; pomiesza nam szyków.

- P-p-ponury typ, nie? - zauważył Badger, ruchem głowy wskazując drzwi pomieszczenia, które opuścili.

- Umie drań przegrywać - dodała Frankie z uznaniem.

Nie uwolniła się jeszcze całkiem spod czaru uroczego mężczyzny, jakim był Roger Bassington-french.

Na podest pierwszego piętra wiodły w dół chybotliwe schodki. Panowała cisza. Bobby wyjrzał za barierkę. Na dole w holu stał telefon.

- Rozejrzyjmy się najpierw po pokojach na górze - zarządził. - Nie możemy pozwolić, żeby nas zaatakowano z tyłu. - Badger po kolei otwierał drzwi. Z czterech pokojów trzy były puste. W czwartym zauważyli szczupłą postać, leżącą na łóżku.

- To Moira! - zawołała Frankie.

Rzucili się wszyscy w stronę łóżka. Moira leżała jak martwa, ale jej pierś unosiła się w płytkim oddechu.

- Śpi? - spytał Bobby.

- Jest, zdaje się, pod działaniem narkotyku - orzekła Frankie.

Rozejrzała się. Na stoliku przy oknie, na emaliowanej tacce leżała strzykawka. Był także palnik spirytusowy i igła do wstrzykiwań podskórnych, taka, jakich używają do morfiny.

- Chyba nic jej nie grozi, ale trzeba wezwać lekarza.

- Zejdźmy zadzwonić - rzekł Bobby.

Przeszli do holu na dole. Frankie trochę się bała, że przewody telefoniczne mogą być odcięte, ale były to obawy bez pokrycia. Połączyli się z posterunkiem policji bez trudności, natomiast niełatwo przyszło im przekonać dyżurnego policjanta, że nie chodzi tu o kawał.

W końcu udało im się i Bobby odłożył słuchawkę z westchnieniem ulgi. Poprosił także, aby przysłali lekarza. Posterunkowy obiecał przywieźć go ze sobą.

Za dziesięć minut przybył samochód z inspektorem, posterunkowym i starszym mężczyzną, którego profesję można było rozszyfrować na pierwszy rzut oka.

Bobby i Frankie przyjęli ich, jeszcze raz opowiedzieli wszystko, nieco pobieżnie, i poprowadzili na poddasze. Bobby otworzył drzwi i... zdębiał. Na podłodze leżał kłęb sznura. Puste krzesło stało na łóżku pod świetlikiem.

Ani śladu Rogera Bassington-ffrencha.

Bobby, Badger i Frankie oniemieli.

- Mówił o nadludzkiej zręczności - wykrztusił wreszcie Bobby. - No, jemu zręczności nie brakowało. Jak, do diabła, udało mu się przeciąć tę linę?

- Musiał mieć w kieszeni nóż - odpowiedziała Frankie.

- Nawet gdyby miał, jak go wyciągnął? Obie ręce miał związane na plecach.

Inspektor chrząknął. Jego wątpliwości powróciły ze zdwojoną siłą. Całą sprawę zaczął uważać za mistyfikację.

Frankie i Bobby wdali się w szczegółową relację, która z każdą chwilą brzmiała bardziej nieprawdopodobnie.

Uratował ich doktor. Obejrawszy Moirę potwierdził, że jest pod wpływem morfiny albo jakiegoś preparatu opium. Uważał, że jej stan nie jest ciężki i że obudzi się sama za cztery - pięć godzin.

Doradzał, żeby ją odwieźć do jakiejś prywatnej kliniki na rekonwalescencję. Frankie i Bobby zgodzili się, nie widząc innej możliwości. Inspektor spisał ich personalia, z najwyższym niedowierzaniem patrząc na nazwisko Frankie, i zezwolił im opuścić Tudor Cottage. Odprowadził ich do gospody „Pod Siedmioma Gwiazdami”, gdzie, dzięki jego wstawiennictwu, zostali zakwaterowani.

Niewzłocznie udali się do pokojów, cały czas czując na sobie podejrzliwe spojrzenia. Badger i Bobby dostali pokój dwuosobowy, a Frankie - maleńką jedynekę.

W parę minut po tym, jak zagospodarowali się w pokojach, Bobby usłyszał pukanie do drzwi.

Była to Frankie.

- Pomyślałam sobie o czymś - powiedziała. - Jeżeli ten durny inspektor nadal będzie powątpiewał w naszą prawdomówność, jestem w stanie zademonstrować dowód, który powinien go przekonać, że naprawdę zostałam uśpiona chloroformem.

- Jaki dowód? Gdzie?

- W blaszance z węglem - powiedziała z determinacją.

Pytanie Frankie.

Frankie odsypiała swoje przygody do późnych godzin następnego dnia. Było wpół do jedenastej, kiedy zeszła do kawiarni. Tam już czekał na nią Bobby.

- Jak się miewasz, Frankie, lepiej późno niż wcale!

- Coś ty taki niezdrowo ożywiony, mój drogi? - rzekła, osuwając się na krzesło.

- Raz, dwa, Frankie, mów szybko, co zjesz? Mają tu rybę, jajka na boczku i szynkę.

- Wezmę parę grzanek i słabą herbatę - zgasiła go Frankie. - Co ci jest?

- To chyba ten cios w tył głowy. Pootwierają mi się w mózgu jakieś klapki. Aż kipię od energii i pomysłów. Nie mogę się doczekać, kiedy weźmiemy się do roboty.

- Może byś trochę pobiegał, żeby ochłonać - zaproponowała zbolalym głosem.

- Już biegałem. Byłem u inspektora Hammonda. Musimy zgodzić się na razie na wersję, że był to dowcip. - Ależ, Bobby...

- Tylko na razie. Sami musimy rozwikłać tę sprawę, Frankie. Nie zależy nam na aresztowaniu Rogera Bassington-ffrencha pod zarzutem uwiedzenia. Chcemy go mieć za morderstwo.

- I dostaniemy go - Frankie zaczęła odzyskiwać ducha.

- No, już lepiej - pochwalił ją. - Napij się jeszcze herbaty.

- Co z Moirą?

- Nie najlepiej. Ma zszarpane nerwy. Przeraziła się śmiertelnie. Przed chwilą wyjechała do Londynu, do jakiejś prywatnej kliniki koło Queen's Gate. Tam się poczuje bezpieczniej, tu wciąż się

bała.

- Ona zawsze jest taka wystraszona.

- Każdy by był, wiedząc, że nie cofający się przed niczym morderca, Bassington-ffrench, krąży na wolności.

- Przecież nie ją chce zamordować. Poluje na nas.

- Myślę, że teraz jest zbyt zajęty ratowaniem własnej skóry, żeby przejmować się nami - rzekł Bobby. - No, Frankie, musimy zabrać się do roboty. Cała sprawa zaczęła się od śmierci i testamentu Johna Savage'a. Coś tam nie gra. Albo testament jest fałszywy, albo Savage'a zamordowano.

- Jeżeli maczał w tym palce Bassington-ffrench, to wszystko wskazuje na fałszerstwo. To jego specjalność.

- Mogło być i fałszerstwo, i morderstwo. Musimy to wyjaśnić.

Frankie przytaknęła.

- Zrobiłam notatki na temat testamentu. Świadcami byli Rose Chudleigh, kucharka i Albert Mere, ogrodnik. Chyba nietrudno będzie ich znaleźć. Poza tym, trzeba sprawdzić kancelarię notarialną, która spisywała testament. To Elford & Leigh, szacowna firma, zdaniem pana Spragge.

- Dobra, od tego zaczniemy. Ty zajmij się prawnikami. Wyciągniesz z nich znacznie więcej niż ja. Ja zapoluję na Rose Chudleigh i Alberta Mere.

- Co z Badgerem?

- On nigdy nie wstaje przed lunchem. Nie przejmujemy się nim.

- Jak by nie było uratował nam życie. Musimy go wyciągnąć z kłopotów.

- O ile go znam, zaraz wpakuje się w nowe - stwierdził Bobby. - Ale, ale, spójrz na to.

Wręczył jej brudny kartonik. Była to fotografia.

- To Cayman - rozpoznała od razu Frankie. - Skąd to masz?

- Znalazłem wczoraj, wpadło za telefon.

- Teraz nie ma już najmniejszych wątpliwości, kim są państwo Templeton. Czeka.

Pokazała fotografię kelnerce, która przyniosła grzanki.

- Zna go pani? - spytała.

Kelnerka przyjrzała się zdjęciu z przechyloną głową.

- Tak, poznaję tego pana, zaraz, zaraz... tak, ten pan to właściciel Tudor Cottage, nazywa się Templeton. Teraz z żoną wyjechali, gdzieś za granicę zdaje się.

- Co to za człowiek?

- Trudno powiedzieć, naprawdę. Nie przyjeżdżali tu za często. Czasem wpadali na weekendy. Nikt ich bliżej nie znał. Pani Templeton była bardzo sympatyczna. W jakieś pół roku po tym, jak kupili Tudor Cottage, pewien bogacz zmarł i zapisał pani Templeton cały swój majątek. Wtedy wyjechali. Ale nie sprzedali Tudor Cottage. Czasem tu ktoś przyjedzie na weekend, pewnie wynajmują domek. Chyba już nie wrócą tu na stałe.

- Mieli kucharkę nazwiskiem Rose Chudleigh, tak? - indagowała Frankie.

Ale dziewczyna wyraźnie nie była zainteresowana kucharką. Podniecał ją tylko wielki spadek. Na pytanie Frankie nie umiała odpowiedzieć. Poszła sobie, zabierając pustą podstawkę do pieczenia grzanek.

- Sprawa jest jasna jak słońce. Caymanowie przestali się tu pojawiać, ale utrzymują domek jako melinę dla gangu.

Tak, jak to ustalono wcześniej, Bobby i Frankie podzielili się obowiązkami. Frankie wzięła Bentleya, podreperowawszy nieco swój wygląd zakupionymi na miejscu kosmetykami. Bobby wyruszył na poszukiwanie Alberta Mere, ogrodnika.

Spotkali się znowu na obiedzie.

- No, i co? - zapytał Bobby.

Frankie pokręciła głową.

- Nie ma mowy o fałszerstwie - powiedziała ze zniechęceniem. - Pan Elford poświęcił mi mnóstwo czasu. Uroczy staruszek. Doszły go słuchy o naszych wczorajszych wyczynach i strasznie chciał się dowiedzieć czegoś więcej. Nie mają tu wiele rozrywek. W każdym razie udało mi się owinąć go dookoła palca. Zabraliśmy się do omawiania sprawy Savage'a. Wmówiłam mu, że słyszałam, jak jacyś jego krewni wspominali o fałszerstwie. Staruszka aż poderwało - fałszerstwo w żadnym razie nie wchodzi w grę! Był naocznym świadkiem sporządzania testamentu przez pana Savage'a, któremu wyraźnie zależało, żeby mieć wiarygodnego świadka składania podpisu. Natomiast, jeśli chodzi o nasze drugie podejrzenie, to znaczy morderstwo, to nie będzie łatwo teraz cokolwiek się dowiedzieć. Lekarz, który stwierdził zgon Savage'a, umarł niedługo potem. Ten lekarz, z którym rozmawialiśmy wczoraj, jest tu nowy.

- No to wygląda na to, że wykosiło nam świadków - zauważył Bobby.

- Co to znaczy? Kto jeszcze umarł?

- Albert Mere.

- Myślisz, że ktoś sprzątnął ich wszystkich?

- Nie przesadzajmy. Z Albertem Mere było chyba jak należy: miał już siedemdziesiąt dwa lata, biedaczysko.

- Dobrze, niech będzie, że tu przyczyną zgonu był uwiąd starczy - zgodziła się Frankie. - A jak ci się udało z Rose Chudleigh?

- Po Templetonach znalazła miejsce gdzieś w północnej Anglii, ale wróciła tutaj i wyszła za mąż za faceta, z którym chodziła przez siedemnaście lat. Niestety, zdaje się, że jest mocno opóźniona w rozwoju i zupełnie nie potrafię się z nią dogadać. Może tobie pójdzie lepiej.

- Idę do niej - rzekła Frankie. - Umiem postępować z niedorozwiniętymi. A propos: gdzie Badger?

- O, rany! Zapomniałem o nim na śmierć. - Wstał i wyszedł. Po paru minutach był z powrotem.

- Spał jak suseł - wyjaśnił. - Już wstaje. Pokojowa mówi, że dobijała się do niego cztery razy, ale nie dawał znaku życia.

- Chodźmy więc wybadać naszą umysłowo niedorozwiniętą - Frankie podniosła się. - A potem muszę kupić szczoteczkę do zębów, koszulę nocną, gąbkę i jeszcze parę drobiazgów niezbędnych cywilizowanemu człowiekowi. Zeszłej nocy byłam tak za pan brat z naturą, że nie pomyślałam o tym wszystkim. Po prostu ściągnęłam wierzchnie ubranie i zwałam się na łóżko.

- To tak jak ja.

- Chodźmy odwiedzić Rose Chudleigh.

Rose Chudleigh, obecnie pani Pratt, mieszkała w niewielkim domku, zagraconym do granic możliwości, pełnym pieków z porcelany. Sama pani Pratt miała wdzięk krowy, obfitą figurę, rybie oczy i, sądząc z objawów, trzeci migdał.

- Znow jestem - zwrócił się do niej Bobby radośnie.

Pani Pratt sapiała ciężko i patrzyła na nich bez cienia zainteresowania.

- Słyszeliśmy, że mieszkała pani u pani Templeton - spróbowała Frankie.

- Tak, psze pani - potwierdziła pani Pratt.

- Ona zdaje się wyjechała za granicę - ciągnęła Frankie.

- Tak słyszałam - zgodziła się pani Pratt.

- Długo pani u niej pracowała?

- U kogo?

- U pani Templeton. Czy długo pani pracowała? - Frankie starała się mówić powoli i wyraźnie.

- Raczej nie. Tylko dwa miesiące.

- O, a ja sądziłam, że dłużej.

- To Gladys pracowała u niej dłużej, psze pani. Pokojówka. Była tam pół roku.

- Było was dwie?

- Tak jest. Ona, pokojówka i ja, kucharka.

- Była pani przy śmierci pana Savage'a, prawda?

- Że co?

- Czy była pani, kiedy umarł pan Savage?

- Pan Templeton nie umarł, przynajmniej nic o tym nie słyszałam. On wyjechał.

- Nie pan Templeton. Pan Savage! - nie wytrzymał Bobby. Pani Pratt przyglądała mu się z tępa miną.

- Ten dżentelmen, który zapisał jej cały swój majątek - dopowiedziała Frankie.

Coś na kształt przebłysku inteligencji przemknęło przez oblicze pani Pratt.

- Ach, tak! Ten człowiek, który tu umarł!

- Właśnie - Frankie była dumna ze swojego osiągnięcia. - Często tu przyjeżdżał?

- Ja nie widziałam, psze pani. Byłam u nich krótko. Gladys wiedziała więcej.

- Ale to panią poproszono o poświadczenie tożsamości podpisu na testamencie, tak?

Pani Pratt patrzyła tępo.

- To panią poproszono, żeby patrzyła pani, jak on podpisuje papiery i sama się podpisała?

Kolejny przebłysk inteligencji.

- Tak, psze pani. Mnie i Alberta. Nigdy przedtem nic takiego nie musiałam robić. Nie podobało mi się to. Powiedziałam Gladys, że nie lubię nic podpisywać, faktycznie, a Gladys powiedziała, że wszystko na pewno jest w porządku, bo jest tam pan Elford, który jest notariuszem. Bardzo miły pan.

- Jak to wyglądało? - indagował Bobby.

- Przepraszam?

- Kto panią wezwał, żeby pani podpisała? - spytała Frankie.

- Pani. Przyszła do kuchni i powiedziała, że mam pójść do ogrodu i zawołać Alberta i że oboje mamy pójść na górę do tej sypialni, którą oddała panu... temu panu poprzedniej nocy. W łóżku siedział ten pan, wrócił z Londynu i poszedł prosto do łóżka, wyglądał na bardzo chorego, ten pan. Nie widziałam go nigdy przedtem. Był śmiertelnie blady. Był tam pan Elford, bardzo miły, mówił, że nie ma obaw, że mam napisać swoje nazwisko, ja się podpisałam i jeszcze dodałam „kucharka” po nazwisku i swój adres. Albert też się podpisał, a ja poszłam do Gladys, cała w nerwach i powiedziałam, że jeszcze nie widziałam nikogo, kto wyglądałby tak, jakby stał nad grobem, a Gladys powiedziała, że poprzedniej nocy był w dobrej formie i że na pewno w Londynie coś się stało, co go tak wykończyło. Wyjechał do Londynu skoro świt, kiedy jeszcze wszyscy spali. Potem powiedziałam jej, że nie lubię podpisywać żadnych papierów, a Gladys powiedziała, że wszystko jest w porządku, skoro był przy tym pan Elford.

- A pan Savage, ten pan, kiedy on umarł?

- Gladys znalazła go rano. Wieczorem zamknął się w pokoju i nie chciał nikogo widzieć. Rano był już sztywny, a obok leżał list. Adresowany do koronera. Dla Gladys to był straszny szok. Potem było przesłuchanie i w ogóle. Dwa miesiące później pani Templeton powiedziała mi, że się wyprowadza za granicę. Ale znalazła mi świetne miejsce na północy Anglii, z dobrymi zarobkami, i dała mi też ładny prezent i w ogóle. Bardzo miła pani, ta pani Templeton.

Pani Pratt była wyraźnie zadowolona z własnej elokwencji. Frankie wstała.

- No, cóż. Bardzo pani dziękujemy. - Wyjęła z torebki banknot. - Proszę przyjąć ten, hm, drobny upominek. Tyle czasu pani nam poświęciła.

- Serdecznie dziękuję, psze pani. Kłaniam się pani i jej narzeczonemu.

Frankie oblała się rumieńcem i wycofała się nieco szybciej niż to było konieczne. Bobby dogonił ją dopiero po paru minutach. Był zaaferowany.

- No, tak. Zdaje się, że powiedziała nam wszystko, co wiedziała... - zaczął.

- Tak - rzekła Frankie. - To trzyma się kupy. Wygląda na to, że Savage rzeczywiście napisał ten testament, a jego lęk przed rakiem był autentyczny. Nie sądzę, żeby można było przekupić lekarza z Harley Street. Myślę, że postarali się Savage'a załatwić, gdy już napisał testament, zanim mógł zmienić zdanie. Ale jak to można udowodnić, nie mam pojęcia.

- Tak. Możemy podejrzewać, że pani T. dała mu „coś na sen”, ale nie ma na to dowodu. Bassington-french mógł sfalszować list do koronera, ale teraz też nie ma szans na udowodnienie mu tego. List pewnie został zniszczony zaraz po rozprawie.

- A więc wracamy do starego problemu, czego Bassington i spółka obawiali się z naszej strony? Co takiego, ich zdaniem, wiemy?

- Czy nie widzisz tu nic dziwnego albo podejrzanego?

- Właściwie nie. Może jedną rzecz. Dlaczego pani Templeton posłała po ogrodnika, żeby poświadczył testament, kiedy przecież miała w domu pokojówkę. Dlaczego nie pokojówka?

- Ciekawą rzecz powiedziałaś, Frankie - coś w głosie Bobby'ego sprawiło, że spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Dlaczego?

- Widzisz, zostałem chwilę i spytałem panią Pratt o nazwisko i adres Gladys.

- No, i?

- Pokojówka nazywa się Evans!

Evans

Frankie osłupiała.

Bobby z podniecenia podniósł głos.

- Widzisz, zadałaś to samo pytanie, które zadał Carstairs. Dlaczego nie pokojówka? Dlaczego nie Evans?

- O rany, Bobby, nareszcie jesteśmy w domu!

- To samo musiało uderzyć Carstairsa. Węszył wokoło, tak jak my, szukając, co tu śmierdzi, i ta sprawa go uderzyła tak samo jak nas. I, co więcej, jestem przekonany, że ten trop zaprowadził go do Walii. Gladys Evans to walijskie nazwisko. Evans była Waliijką. Pojechał za nią do Marchbolt. A za nim pojechał jeszcze ktoś, więc Carstairs miał jej nigdy nie odnaleźć.

- Ale, dlaczego nie Evans? Dlaczego jej nie poprosili? Ten drobny punkt musi być ważny. Mając dwie służące w domu, posyłają po ogrodnika.

- Ponieważ zarówno Chudleigh, jak i Albert Mere byli przygłupi, a Evans musiała być pewnie bystrą dziewczyną.

- To nie wystarczy. Coś jeszcze kryło się za tym. Był przecież tam pan Elford, a on nie jest w ciemię bity. Tutaj tkwi sedno sprawy, czuję to. Gdybyśmy tylko zgadli. Dlaczego Chudleigh i Mere, a

nie Evans?

Nagle stanęła jak wryta i przykryła oczy rękami.

- Czekaj, czekaj, coś mi świta. Jedną sekundę...

Stała przez chwilę nieruchomo, wreszcie odjęła dłonie od twarzy i spojrzała na partnera z błyskiem w oku.

- Bobby - wyrzuciła - jeżeli gościsz w domu, gdzie jest kucharka i pokojówka, której osobiście dajesz napiwki?

- Pokojówce, rzecz jasna - rzekł zaskoczony. - Nie daje się napiwków kucharce. Głównie dlatego, że nie widuje się jej, siedzi w kuchni.

- A ona nie widuje ciebie. Może przez moment, z daleka. A pokojówka podaje ci do stołu, służy i tak dalej.

- Do czego zmierzasz, Frankie?

- Nie mogli wziąć Evans na świadka, bo ona wiedziałaby, że to nie pan Savage sporządza testament.

- Wielki Boże, Frankie, co masz na myśli? Któż to mógł być?!

- Oczywiście Bassington-ffrench. Nie rozumiesz? Udawał Savage'a. To on poszedł do doktora i zaczął robić tę hecę z rakiem. Potem posłano po notariusza, który mógł przysiąc, że na własne oczy widział, jak pan Savage podpisywał testament, jest na to jeszcze dwoje świadków, z których jeden nigdy go nie widział, a drugi to starzec, który, dam głowę, jest prawie ślepy, i który też nigdy Savage'a nie oglądał. Rozumiesz teraz?

- A gdzie był w tym czasie prawdziwy Savage?

- Och, przyjechał w dobrej formie i wtedy, myślę, podali mu narkotyk, schowali na przykład na strychu i trzymali go tam, dopóki Bassington-ffrench nie zakończył swojego przedstawienia. Potem położyli go z powrotem do łóżka, naszpikowali chloralem i Evans znalazła go rano martwego.

- Mój Boże, jestem przekonany, że trafiłaś w dziesiątkę, Frankie. Damy radę to udowodnić?

- Może tak, może nie, nie wiem. Powiedzmy, że pokażemy tej Chudleigh-Pratt zdjęcie prawdziwego Savage'a. Czy jest w stanie powiedzieć: „to nie ten człowiek, który podpisywał testament”?

- Wątpię. To przecież kretyńka.

- Myślę, że dlatego ją wzięli. Jest jeszcze jedna możliwość. Specjaliści mogliby stwierdzić, że podpis jest sfalszowany.

- Ale nie stwierdzili.

- Bo nikt nie wątpił w jego autentycznořć. Nikt nie brał pod uwagę jakiegokolwiek moŹliwości sfałszowania testamentu. Ale teraz to co innego.

- Przede wszystkim musimy znaleźć Evans. Ona moŹe nam niejedno powiedzieć. Pracowała u Templetonów pół roku, to juŹ coř.

Frankie jęknęła.

- To nie będzie łatwe.

- MoŹe spróbuujemy na poczcie? - zaproponował Bobby. Włařnie ją mijali. Wyglądała bardziej na sklepik z mydłem i powidłem niŹ na urząd pocztowy.

Frankie wkroczyła do řrodka i zaczęła akcję. WewnątrŹ była tylko naczelniczka poczty, młoda kobieta o wścibskim nosie. Frankie nabyła karnecik znaczków za dwa szylingi, zrobiła uwagę na temat pogody i rzekła:

- Tu u was jest zawsze ładniej niŹ w mojej okolicy. Mieszkam w Walii, w Marchbolt. Nie uwierzy pani, jak tam potrafi lać.

Młoda kobieta o wścibskim nosie stwierdziła, Źe tutaj teŹ potrafi padać, na przykłađ w ostatnie Źwięto lało jak z cebra. Frankie na to:

- W Marchbolt mieszka ktoř, kto stąđ pochodzi, ciekawa jestem, czy pani ją zna. Nazywa się Evans, Gladys Evans.

Młoda kobieta niczego nie podejrzewała.

- Oczywiřcie, Źe znam. SłuŹyła tutaj w Tudor Cottage. Nie pochodziła stąđ, była z Walii. Wyprowadziła się tam i wyszła za mąŹ. Teraz nazywa się Roberts.

- Włařnie - rzekła Frankie. - MoŹe mogłaby mi pani dać jej adres? PoŹyczyła mi płaszcz deszczowy i zapomniała odebrać. Gdybym miała jej adres, mogłabym go zwrócić pocztą.

- No tak. Zobacę, co się da zrobić. Dostałam kiedyř od niej widokówkę. Proszę zaczekać.

Zaczęła szperać w papierach na biurku w kącie. Wróciła z kartką w dłoni.

- Udało się - rzekła podając ją przez kontuar. Bobby i Frankie przeczytali ją razem. Była to ostatnia rzecz pod słońcem, której się spodziewali:

Gladys Roberts

Plebania Marchbolt

Sensacja w Orient Café

Nie bardzo wiadomo, jak Bobby'emu i Frankie udało się opuścić urząd pocztowy, nie budząc sensacji.

Na zewnątrz spojrzeli po sobie i roześmiali się jednocześnie.

- Na plebanii! Cały ten czas! - nie mógł złapać tchu Bobby.

- A ja szukałam wśród czterystu osiemdziesięciu Evansów - jęknęła Frankie.

- Teraz rozumiem, dlaczego Bassingtona-ffrencha tak rozbawiła wiadomość, że nie wiemy, kim jest Evans.

- No, ale z ich punktu widzenia, kryło się w tym wielkie niebezpieczeństwo. Ty i Evans mieszkacie pod jednym dachem!

- W drogę! Kierunek - Marchbolt.

- Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej - sentencjonalnie dodała Frankie.

- O, do diabła! Musimy coś zrobić z Badgerem - przypomniał sobie Bobby. - Masz jakieś pieniądze, Frankie?

Frankie otworzyła torebkę i wyciągnęła garść banknotów.

- Daj mu to i powiedz, żeby się jakoś dogadał z wierzycielami, i że mój ojciec kupi warsztat, i mianuje go kierownikiem.

- W porządku. Komu w drogę, temu czas.

- Skąd ten szalony pośpiech?

- Mam przeczucie. Coś wisi w powietrzu.

- To niedobrze. Ruszajmy więc.

- Załatwię tylko z Badgerem. Ty uruchom samochód.

- Nie kupię już sobie tej szczoteczki do zębów - rzekła Frankie.

W pięć minut później spieszenie opuszczali Chipping Somerton. Bobby nie miał prawa narzekać

na tempo jazdy, a i tak Frankie nagle zawołała:

- Bobby, jedziemy za wolno.

Bobby rzucił okiem na prędkościomierz, którego strzałka właśnie wahała się w okolicach osiemdziesięciu mil na godzinę i zauważył oschle:

- Nie sądzę, żebyśmy mogli coś na to poradzić.

- Możemy wynająć awionetkę. Jesteśmy parę mil od lotniska Medeshot.

- Jesteś genialna! - zawołał.

- Możemy być w domu za dwie godziny.

- Dobra, bierzemy awionetkę.

Wszystko zaczęło się zmieniać w fantastyczny sen. Po co ten szalony pośpiech? Bobby nie miał pojęcia. Podejrzewał, że Frankie też nie ma. Ot, przeczucie.

W Medeshot Frankie spytała o pana Donalda Kinga i po chwili pojawił się przybrudzony młodzieniec, który wydawał się nieco zdziwiony jej widokiem.

- Cześć, Frankie - powiedział. - Kopę lat. O co chodzi?

- Potrzebuję awionetki z pilotem. Da się zrobić?

- Ależ, naturalnie. Dokąd chcesz się udać?

- Chcę do domu.

Pan Donald King był zdziwiony.

- Po prostu, do domu?

- Nie tylko, ale z grubsza o to chodzi.

- W porządku. Zrobi się.

- Zapłacę czekiem.

W pięć minut później byli już w powietrzu.

- Frankie - zaczął Bobby. - Po co my to robimy?

- Nie mam najmniejszego - pojęcia - odparła szczerze. - Ale mam przeczucie. A ty nie?

- Ciekawe, ja też. Ale nie rozumiem tego. Przecież pani Roberts nie odleci na miotle!

- Nigdy nic nie wiadomo. Pamiętaj, nie wiemy co zamierza Bassington-ffrench.

- To prawda - rzekł po namyśle.

Kiedy dotarli na miejsce, zapadał już zmierzch. Awionetka wylądowała w zamkowym parku, a w pięć minut potem Bobby i Frankie pędzili chryslerem lorda Marchingtona do Marchbolt.

Zaparkowali przed bramą, nie można było podjechać pod sam dom, bo podjazd plebanii nie został przystosowany do przyjmowania takich drogich i wielkich samochodów.

Wyskoczyli i zaczęli biec.

Na stopniach zobaczyli szczupłą postać. Rozpoznali ją od razu.

- Moira! - zawołała Frankie.

Moira odwróciła się i zachwiała lekko.

- Ach, cieszę się, że was widzę. Nie wiem, co mam robić.

- Ale skąd się tu wzięłaś?

- Sprowadza mnie pewnie to samo, co was.

- Dowiedziałaś się, kim jest Evans?

Przytaknęła.

- To długa historia...

- Wejźmy do środka - zaprosił Bobby.

Ale Moira cofnęła się gwałtownie.

- Nie, nie - rzekła pośpiesznie. - Chodźmy gdzie indziej i porozmawiajmy. Muszę wam coś powiedzieć, zanim wejdziemy do domu. Jest tu w miasteczku jakaś kawiarnia albo coś takiego? Gdzieś, gdzie można usiąść i pogadać?

- Tak - zgodził się niechętnie Bobby, z ociąganiem odstępując od drzwi. - Ale właściwie dlaczego...

Moira tupnęła.

- Zobaczysz, kiedy ci powiem. Chodźmy prędej. Nie mamy ani chwili do stracenia.

Ustąpili pod jej naciskiem. W połowie głównej ulicy był lokal pod szumną nazwą Orient Cafe. Nazwa nie znajdowała odbicia w wystroju wnętrza. Weszli. Było pusto, jak zwykle o tej porze - wpół do siódmej.

Usiedli przy stoliku w kącie. Bobby zamówił trzy kawy.

- No, więc? - zapytał.

- Zaczekaj, aż będzie kawa - powiedziała Moira. Kelnerka z miną obrażonej księżniczki przyniosła trzy filiżanki letniej kawy.

- No, więc? - spytał znów Bobby.

- Nie wiem, od czego zacząć - rzekła Moira. - To się zdarzyło w pociągu, którym jechałam do Londynu. Mówię wam, nieprawdopodobny zbieg okoliczności. Szłam właśnie korytarzem, gdy...

Nagle przerwała. Siedziała przodem do drzwi. Pochyliła się w przód, wypatrując czegoś intensywnie.

- Musiał mnie śledzić - powiedziała.

- Kto? - zawołali chórem Bobby i Frankie.

- Bassington-ffrench - wyszeptała.

- Widziałaś go?

- Jest na zewnątrz. Widziałam go z rudą kobietą.

- To Caymanowa! - zawołała Frankie.

Wyskoczyła wraz z Bobbym za drzwi. Moira wołała za nimi, ale nie zważali na to. Rozejrzeli się po ulicy, ale po Bassington-ffrenchu nie było ani śladu.

Moira dołączyła do nich.

- Uciekł? - spytała drżącym głosem. - Uważajcie, on jest strasznie niebezpieczny.

- Nie może nam nic zrobić, dopóki trzymamy się razem - zapewnił ją Bobby.

- Weź się w garść, Moiro, nie bądź takim tchórzem - dodała Frankie.

- No, dobrze. Nic na razie nie możemy zrobić - powiedział Bobby, prowadząc całe towarzystwo z powrotem do stolika. - Mów dalej, Moiro.

Podniósł do ust swoją filiżankę. W tym momencie Frankie straciła równowagę i potrafiła go. Kawa wylała się na obrus.

- Przepraszam - powiedziała Frankie.

Pochyliła się do sąsiedniego stolika. Stały tam dwie buteleczki ze szklanymi korkami, jedna z octem, druga z oliwą. Frankie wzięła tę z octem, wylała go do popielniczki i zaczęła do niej wlewać

kawę ze swojej filiżanki.

- Co ty do licha wyprawiasz, Frankie, oszalałaś? - Bobby był zbulwersowany.

- Biorę próbkę tej kawy, żeby George Arbuthnot mógł zrobić analizę - wyjaśniła.

Zwróciła się do Moiry.

- Gra skończona, Moira! Zrozumiałam wszystko w mgnieniu oka, teraz, kiedy wyskoczyliśmy za drzwi! Obserwowałam cię, kiedy potraçałam Bobby'ego i wylałam mu kawę. Musiałaś wrzucić coś do kawy, kiedy wysłałaś nas biegiem do drzwi, żebyśmy szukali Bassington-ffrencha. Gra skończona, pani Nicholson vel Templeton, albo jak cię tam zwa.

- Templeton!?! - wykrzyknął Bobby.

- Spójrz jej w twarz! - wołała Frankie. - Jeżeli zaprzeczy, zaprowadź ją na plebanię i zobaczymy, co powie pani Roberts.

Bobby spojrzał. Oblicze Moiry, zwykle tak pociągające i wzbudzające nieokreśloną tęsknotę, było odrażająco zniekształcone przez dziką wściekłość. Z jej ślicznych ust bluznął potok najohydniejszych przekleństw.

Szperała w torebce.

Bobby, chociaż wciąż oszołomiony, zareagował bez zwłoki. W ostatniej chwili udało mu się podbić jej rękę z pistoletem.

Pocisk przeleciał nad głową Frankie i utkwiał w ścianie Orient Café.

Po raz pierwszy w historii lokalu kelnerka przyspieszyła kroku. Z rozpaczliwym wrzaskiem: „Ratunku! Mordują! Policja!” wybiegła na ulicę.

List z Ameryki Południowej

Minęło parę tygodni.

Frankie właśnie otrzymała list. Na kopercie był znaczek jednej z pomniejszych republik południowoamerykańskich.

Przeczytawszy, wręczyła go Bobby'emu.

W liście było co następuje:

Droga Frankie!

Gratuluje z całego serca! Ty i twój młody przyjaciel eks-marynarz pokrzyżowaliście plany mojego życia. A tak ładnie wszystko się zapowiadało.

Macie ochotę dowiedzieć się wszystkiego? Mogę wam powiedzieć. Moja przyjaciółka sypnęła mnie przed sądem tak dokładnie (z zawiści, jak sądzę, kobiety niezmiennie są zawistne), że teraz żadne moje wyznania nie mogą mi już zaszkodzić. A poza tym - zaczynam nowe życie. Roger Bassington-ffrench umarł.

Zawsze byłem czarną owcą. Nawet w Oksfordzie miałem małą wpadkę. Bez sensu, to musiało się wydać. Ojciec mnie z tego wyciągnął, ale musiałem wyjechać do kolonii.

Wkrótce poznałem Moirę i związałem się z nią. To było to! Już jako piętnastolatka była zdeklarowanym przestępcą. Kiedy ją spotkałem, robiło się wokół niej gorąco, policja amerykańska deptała jej po piętach.

Lubiliśmy się nawzajem. Zamierzaliśmy się związać na całe życie, ale najpierw musieliśmy zrobić to i owo.

Po pierwsze, zaplanowaliśmy jej małżeństwo z Nicholsonem. To pozwoliło jej zmienić skórę i zmylić pogonię. Nicholson właśnie wybierał się do Anglii założyć zakład dla nerwowo chorych. Szukał taniej rezydencji. Moira ściągnęła go do Grange.

Była związana z gangiem narkotykowym. Nicholson, chociaż nie był wtajemniczony, był dla niej bardzo użyteczny.

Ja miałem zawsze dwa cele w życiu. Chciałem zostać właścicielem Merroway i chciałem mieć do dyspozycji nieograniczone sumy pieniędzy. Bassington-ffrenchowie odgrywali wielką rolę w państwie za panowania Karola II. Później ród podupadł. Czulem się na siłach przywrócić mu znów blask. A na to trzeba pieniędzy.

Moira często jeździła do Kanady, aby się spotykać ze „swoimi ludźmi”. Nicholson ubóstwiał ją i wierzył w każde jej słowo. Jak wszyscy mężczyźni Narkotykowy biznes wymagał, żeby podróżowała pod różnymi nazwiskami Savage’a spotkała jako pani Templeton. Wiedziała o nim i jego majątku wszystko. Wpadła mu w oko, ale nie stracił dla niej głowy do tego stopnia, żeby zapomnieć o zdrowym rozsądku.

My jednak uknuliśmy spisek. Znacie go w ogólnych zarysach. Facet, którego poznaliście jako Caymana, zagrał rolę potulnego męża. Savage został kilkakrotnie namówiony do przyjazdu i pobytu w Tudor Cottage. Za trzecim razem zrealizowaliśmy nasz plan. Nie muszę go opisywać - znacie go. Wszystko poszło jak z płatka. Moira podjęta pieniądze i ostentacyjnie wyjechała za granicę, w rzeczywistości - z powrotem do Staverley i Grange.

Tymczasem ja dopracowywałem szczegóły moich własnych projektów. Musiałem usunąć z

drogi Henry'ego i Tommy'ego. Z Tommym mi się nie powiodło. Parę świetnie przygotowanych „wypadków” spaliło na panewce. Z Henrym nie zamierzałem bawić się w „wypadki”. Cierpiał na przewlekłe bóle reumatyczne po kontuzji na polowaniu, więc zademonstrowałem mu działanie morfiny. Zaczął ją brać w dobrej wierze. Był taki łatwowierny. Wkrótce wpadł w nałóg. Zaplanowaliśmy wysłanie go do Grange na leczenie, gdzie miał „popęlnić samobójstwo” albo przedawkować morfinę. Tym zajęłaby się Moira. Ja miałem pozostać poza wszelkimi podejrzeniami.

Wtedy pojawił się ten Carstairs. Zdaje się, że Savage napisał do niego parę stów z pokładu statku, wspominając o pani Templeton i nawet załączając jej fotkę. Carstairs wkrótce potem pojechał na ekspedycję. Kiedy wrócił z głuszy, usłyszał o śmierci i testamencie Savage'a. To było nie do wiary. Powątpiewał w prawdziwość tej historii od początku do końca. Wiedział na pewno, że Savage nie przejmował się żadną chorobą i nie wierzył, żeby akurat teraz przejął, się rakiem. Postanowienia testamentu też mu do Savage'a nie pasowały. Savage to twarda sztuka, rasowy biznesmen. Mógł wdać się w romans z urodziwą kobietą, owszem, ale Carstairs nie wierzył, że mógł jej zostawić niewiarygodną sumę pieniędzy, a na dodatek resztę zapisać na cele dobroczynne. Ta dobroczynność to był mój pomysł. To dodawało testamentowi szlachetności, odsuwało podejrzenie o fałsz.

Carstairs był zdecydowany wyjaśnić sprawę. Zaczął węszyć.

I tu pech dal znać o sobie. Jacyś znajomi przywieźli go do nas na obiad, a on zobaczył zdjęcie Moiry stojące na fortepianie i rozpoznał ja jako kobietę z fotografii przysłanej przez Savage'a. Pojechał do Chipping Somerton i zaczął tam węszyć.

Ziemia zaczęła nam się palić pod stopami - chociaż myślę czasami, że niepotrzebnie wpadliśmy w panikę. W każdym razie Carstairs to był bystry facet.

Pojechałem za nim do Chipping Somerton. Nie udało mu się odnaleźć kucharki, Rose Chudleigh, bo wyprowadziła się na północ, ale wpadł na ślad Evans, dowiedział się, jakie ma nazwisko po mężu i wyruszył do Marchbolt.

Sprawy zaczęły przyjmować zły obrót. Gdyby Evans zidentyfikowała panią Nicholson jako panią Templeton, mogłoby być z nami krucho. Poza tym, ponieważ przebywała z nami dłużej, mogła wiedzieć to i owo.

Zdecydowałem, że Carstairsa trzeba sprzątnąć. Sprawiał za wiele kłopotów. Pomógł mi przypadek. Byłem tuż za nim, kiedy podniosła się mgła. Podkradłem się bliżej i załatwiłem sprawę jednym popchnięciem.

Ale nadal byłem w kropce. Nie wiedziałem, jakie kompromitujące materiały mógł mieć ze sobą. Tu pomógł mi bardzo Twój przyjaciel eks-marynarz. Zostawił mnie sam na sam z ciałem, nie na długo, ale wystarczająco jak dla mnie. Carstairs miał zdjęcie Moiry, pewnie żeby je pokazać pani Evans, i parę listów. Zabrałem to, a podrzuciłem zdjęcie pani Cayman.

Wszystko się udało. Pseudo-siostra ze szwagrem przyjechali i zidentyfikowali ciało.

Wydawało się, że nie będzie żadnych komplikacji i wtedy Twój Bobby popsuł wszystko. Okazało się, że Carstairs przed śmiercią odzyskał przytomność i coś powiedział. Wymienił nazwisko Evans - a pani Evans była służąca akurat na plebanii.

W tym momencie mieliśmy prawdziwego pietra, muszę to przyznać. Potraciliśmy głowy. Moira nalegała, żeby go usunąć. Zaryzykowaliśmy jeden plan, ale się nie powiódł. Potem Moira powiedziała, że się sama tym zajmie. Pojechała do Marchbolt swoim samochodem. Wykorzystała nadarżającą się okazję - wsypała mu morfiny do piwa, kiedy się zdrzemnął. Ale ten drań to przeżył. Prawdziwy pech.

Jak Ci mówiłem, to pod wpływem drobiazgowych pytań Nicholsona nabrałem podejrzeń co do Ciebie. Ale wyobraź sobie, co przeżyła Moira, kiedy pewnej nocy wykradała się na spotkanie ze mną i spotkała się twarzą w twarz z Bobbym! Rozpoznała go od razu - przyjrzała mu się dobrze, kiedy spał tamtego dnia. Nic dziwnego, że była tak śmiertelnie przerażona. Kiedy zorientowała się, że to nie ją podejrzewa, zaczęła się gra.

Przyszła do niego i opowiedziała mu parę wyssanych z palca historyjek. Dał się złapać na haczyk bez trudu. Sugerowała, że Alan Carstairs był jej dawnym kochankiem, naopowiadała strasznych rzeczy o Nicholsonie. Zrobiła wszystko, co było w jej mocy, żeby odwrócić Wasze podejrzania ode mnie. Ja z kolei przedstawiałem wam ją jako słabą, bezbronną istotę. Moirę, która potrafiłaby z zimną krwią usunąć z drogi każdego, nie mrugnawszy nawet okiem!

Sytuacja stawała się poważna. Mieliśmy pieniądze. Sprawa z Henrym była na dobrej drodze. Z Tommym nie musieliśmy się spieszyć, można było jeszcze poczekać. Nicholsona mogliśmy się pozbyć, kiedy nadejdzie czas. Ale Ty i Bobby stanowiliście groźbę. Wasze podejrzania skupiły się na Grange.

Może zainteresuje Cię, w jaki sposób Henry popełnił samobójstwo. To ja go zabiłem. Kiedy rozmawiałem z Tobą w ogrodzie, wiedziałem, że nie mam czasu do stracenia. Postanowiłem załatwić to z miejsca. Pomógł mi samolot, który właśnie wtedy przeleciał. Wszedłem do gabinetu, gdzie Henry zajęty był pisaniem, powiedziałem: „Spójrz tu, stary” i zastrzeliłem go. Hałas samolotu zagłuszył odgłos strzału. Następnie napisałem czuły liścik, wytarłem swoje odciski palców z rewolweru, zacisnąłem dłoń Henry’ego na kolbie i pozwoliłem mu upaść na podłogę. Włożyłem klucz od gabinetu do kieszeni Henry’ego i wyszedłem, zamknąwszy drzwi z zewnątrz kluczem od jadalni, który też pasuje.

Nie będę zanudzał Cię szczegółami, jak umieściłem w kominie petardę, która wybuchła w cztery minuty później. Ty i ja byliśmy wtedy razem w ogrodzie i słyszeliśmy „strzał”. Samobójstwo doskonałe. Jedyne podejrzanie, na którą pada podejrzanie, to znów ten biedak Nicholson. Ten osioł właśnie wtedy wrócił po coś, laskę, czy coś takiego!

Rycerskość Bobby’ego zaczęła nieco doskwierać Moirze, więc wyjechała do Tudor Cottage. Byliśmy pewni, że wyjaśnienia Nicholsona uznacie za mało wiarygodne i wzmogą one tylko Wasze podejrzania.

Tam, w Tudor Cottage, Moira pokazała, co potrafi. Kiedy po hałasach na górze

zorientowała się, że zostałem napadnięty i uwięziony, wstrzyknęła sobie dużą dawkę morfiny i położyła się do łóżka. Kiedy zeszliście do telefonu, wymknęła się na strych, uwolniła mnie i wróciła. Po chwili morfina zaczęła działać, więc kiedy przybył doktor, mógł stwierdzić najprawdziwszy narkotyczny sen.

Zacząła jednak tracić zimną krew. Obawiała się, że dotrzecie do Evans i rozszyfrujecie sprawę samobójstwa i testamentu Savage'a. Bata się także, że Carstairs mógł napisać do Evans przed przyjazdem do Marchbolt. Upozorowała więc wyjazd do prywatnej kliniki do Londynu, a naprawdę pośpieszyła do Marchbolt - tylko po to, żeby już na progu zobaczyć Was! Nie pozostało jej nic innego, jak Was zlikwidować. Obrąła najprostszą metodę, ale moim zdaniem miała duże szanse. Wątpię, żeby kelnerka ją zapamiętała na tyle, żeby dać policji użyteczny rysopis kobiety, która była z Wami w kawiarni Moira pojechałaby do Londynu i położyłaby się w klinice. Mając z głowy Ciebie i Bobby'ego mogłaby spokojnie czekać, aż sprawa przycichnie.

Ale wyście ją przejrżeli, a ona straciła głowę. A na procesie wsypała mnie!

Chyba miałem jej już trochę dosyć...

Ale nie wiedziałem, że ona o tym wie.

Rozumiecie, ona miała pieniądze. Moje pieniądze! Gdybym się z nią ożenił, mógłbym z czasem się nią znudzić. Lubię urozmaicenie.

A więc zaczynam wszystko od nowa.

I pomyśleć, że zawdzięczam to Tobie i temu paskudnemu młodzieńcowi, Bobby'emu Jonesowi.

Ale nie mam wątpliwości, że powiedzie mi się.

A może nie?

Nie zmieniłem się jeszcze.

Ale jeśli się nie uda za pierwszym razem, trzeba próbować znów i znów.

Żegnaj, moja droga, a może do widzenia? Tego nigdy się nie wie, prawda?

Twój oddany przeciwnik, czarny charakter

Roger Bassington-ffrench

Bobby zwrócił list, a Frankie wzięła go z westchnieniem.

- Co za niezwykły człowiek - powiedziała.

- Od początku miałaś do niego słabość - zauważył lodowato.

- Miał jakiś urok - rzekła. - Podobnie, jak Moira - dodała. Bobby zarumienił się.

- Najdziwniejsze jest to, że klucz do zagadki tkwił cały czas tutaj, na plebani! - powiedział. - Wiesz, Frankie, że Carstairs rzeczywiście napisał do Evans, to znaczy do pani Roberts?

Frankie potwierdziła.

- Napisał jej, że przyjeżdża się z nią spotkać i że chce uzyskać wiadomości na temat pani Templeton, która jest według wszelkiego prawdopodobieństwa niebezpiecznym międzynarodowym przestępcą, poszukiwanym przez policję.

- A kiedy został zepchnięty z urwiska, pani Roberts nie skojarzyła faktów - stwierdził Bobby z goryczą.

- To dlatego, że ten, który spadł, to był Pritchard. Ta identyfikacja zwłok to było sprytne posunięcie. Jeżeli spadł Pritchard, to jakże mógłby być Carstairs? Nasz umysł łatwo ulega sugestii.

- Najzabawniejsze jest to, że rozpoznała Caymana - ciągnął Bobby. - Otwierała mu drzwi i zapytała, kogo ma zaanonsować. A on powiedział, że nazywa się Cayman, na co ona: „To dziwne, jest pan jak dwie krople wody podobny do pana, u którego służyłam poprzednio”.

- Tak, to był szczyt wszystkiego - rzekła Frankie. - Ale nawet Bassington-french pozwolił sobie na wpadkę w paru miejscach. A ja, jak idiotka, nawet tego nie zauważyłam.

- Naprawdę?

- Tak. Kiedy Sylvia mówiła, że zdjęcie w gazecie bardzo przypomina Carstairsa, powiedział, że w rzeczywistości nie zauważył żadnego podobieństwa. A później powiedział mi, że nigdy nie widział twarzy zmarłego.

- Ale jak wpadłaś na to, że to Moira, Frankie?

- Chyba to, co ludzie mówili o pani Templeton, nasunęło mi podejrzenia. Wszyscy mówili o niej „taka sympatyczna młoda dama”. Tego w żadnym razie nie da się powiedzieć o tej Cayman. Żadna służąca nie opisałaby jej jako „miłej pani”. A kiedy dotarliśmy do plebanii i Moira tam była, przyszło mi nagle do głowy: a może Moira to pani Templeton?

- To było genialne!

- Przykro mi z powodu Sylvii - powiedziała. - Kiedy Moira wyspała Rogera, gazety wciąż się rozpisywały o rodzinie. Całe szczęście, że doktor Nicholson się nią opiekuje. Wcale nie będę zdziwiona, jeśli skończy się to małżeństwem.

- Wygląda na to, że wszystko dobrze się zakończyło - rzekł Bobby. - Badger nieźle sobie radzi z warsztatem, dzięki twojemu ojcu. I także dzięki niemu ja mam tę wspaniałą posadę.

- Czy rzeczywiście wspaniałą?

- Zarządzanie plantacjami kawy w Kenii za takie pieniądze?! Ja myślę! Nawet nie śniłem o takiej okazji.

Zamilkł na chwilę.

- Ludzie przyjeżdżają do Kenii na wycieczki - powiedział.

- Sporo ludzi mieszka tam na stałe - odparła kokieteryjnie. - Ach! Frankie, chciałabyś? - Zaczerwienił się, zająknął, wreszcie doszedł nieco do siebie. - Chciała... chciałabyś?

- Chciałabym - rzekła Frankie. - To znaczy, do licha, chcę!

- Zawsze darzyłem cię uczuciem - wyznał stłumionym głosem. - Litowałem się nad sobą, wiedziałem, że to nie uchodzi.

- To pewnie dlatego byłeś taki niesympatyczny tamtego dnia na polu golfowym.

- Tak, było mi wtedy strasznie smutno.

- Hm, a co z Moirą?

Bobby był wyraźnie zakłopotany.

- Jej twarz miała w sobie coś pociągającego - przyznał.

- Na pewno miała ładniejszą twarz niż ja - zgodziła się Frankie wspaniałomyślnie.

- To nieprawda. Ale miała w sobie jakiś wabik. Jednak wtedy, kiedy byliśmy uwięzieni na tym strychu, a ty okazałaś się taka dzielna, Moira przestała dla mnie istnieć. Nawet nie byłem ciekaw, co się z nią stało. Byłaś ty, tylko ty. Ty, tak rewelacyjna. Tak niesamowicie dzielna.

- W środku wcale nie czułam się dzielna. Trzęsłam się jak galareta. Ale chciałam, żebyś mnie podziwiał.

- Podziwiałem cię, kochanie. Podziwiałem, podziwiam i zawsze będę podziwiał. Czy jesteś pewna, że nie znenawidzisz Kenii?

- Będę ją uwielbiać. Anglii mam już po uszy.

- Frankie...

- Bobby...

- Zapraszam tutaj - powiedział pastor, otwierając drzwi i gestem wskazując drogę gościom z Dorcas Society.

Zaniknął je pośpiesznie i przeprosił.

- Mój... ee... jeden z moich synów. Jest ee... zaręczony. Ktoś z członków Dorcas Society zauważył dowcipnie, że to, iż jest zaręczony, widać było wyraźnie.

- Dobry chłopak - rzekł pastor. - Przedtem raczej nie brał życia na serio. Ale ostatnio znacznie spoważniał. Właśnie obejmuje zarząd plantacji kawy w Kenii.

Tymczasem jeden z członków Dorcas Society szepnął do drugiego:

- Widziałeś? Czy on aby nie z lady Frances Derwent się całował?

W godzinę wieść obiegła całe miasto.